

K. Makuszyński

KORNEL MAKUSZYŃSKI

PO MLECZNEJ
DRODZE

WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA“

82-3

Prawa autorskie co do przekładów, przedruków i przeróbek
zastrzeżone.

Copyright by Kornel Makuszyński, nineteen hundred twenty.



34409

Wytłoczono w własnych zakładach graficznych w Bydgoszczy

KORNELA MAKUSZYŃSKIEGO:

POŁÓW GWIAZD	wydanie III
RZECZY WESOŁE	wydanie VI
ROMANTYCZNE HISTORJE	wyczerpane
DZIWNE POWIEŚCI	wyczerpane
W KALEJDOSKOPIE	wyczerpane
ZABAWA W SZCZĘŚCIE	wydanie III
AWANTURY ARABSKIE	wydanie nowe
PERŁY I WIEPRZE	wydanie nowe
PO MLECZNEJ DRODZE	wydanie nowe
BARDZO DZIWNE BAJKI.	XV tysięcy
STRASZLIWE PRZYGODY.	wyczerpane
DUSZE Z PAPIERU	serja I — wycz.
DUSZE Z PAPIERU	serja II — wycz.
DUSZE Z PAPIERU	serja III
SŁOŃCE W HERBIE	wyczerpane
NARODZINY SERCA.	wyczerpane
POCHWAŁA „ŚLUBÓW PANIEŃSKICH“	wyczerpane
PIEŚŃ O OJCZYŹNIE	w przygotowaniu
PIOSENKI ŻOŁNIERSKIE	50 tysięcy
ŻOŁNIERZ, DJABEL I DZIEWCZYNA	25 tysięcy

Mój czytelniku!

Jest dla mnie sprawą doskonale obojętną, czy weźmiesz do ręki książkę tę z miłością, czy z należytą pogardą, książka bowiem jest to stworzenie żywe i tak przezorne, że serce swoje zostawia w rękach tego, co ją pisał, na pokaz rynku zaś ma twarz jedynie. Chodzi wśród ludzi, jak biedna sierota, której przed zbiegowiskiem ludzkim każe tańczyć oprowadzający ją po świecie cygan-wydawca i tańczy i śpiewa, zwykle na temat z „Mignon“. Godną jest tedy poklasku gentelmana, lub westchnienia opasłej damy, która ma dobrą duszę i otłuszczenie osierdzia. Serce zaś swoje, takie czyste, jak łza, ukaże książka temu jedynie, kto zna mowę serca, oczy zaś ma tak przenikliwe, że dojrzeć je potrafi w głębi siedmiu skrzyń, na siedem zamkniętych zamków, w gąszczu słów, splątanych misternie za zasłoną z dziwnej mgły, co na oczy pada i na duszę. Do tego książka przemówi, jakby zaklęciem, jednym jakimś cichutkiem słowem, najbiedniejszym z tysiąca, słowem, w którym zazwyczaj drukarska jest pomyłka, niepozornem i niewy-

myślnem. Przez nie właśnie, jak przez serce, wycięte w okiennicy, pada tysiąc i jeden promieni.

Nie dlatego ci to mówię, czytelniku, aby mi obłąkaną radość sprawiała rozmowa z człowiekiem, który miał dwa ruble i nie wiedząc, co z nimi uczynić, kupił książkę. Dlatego to mówię, że mi się tak podoba i że mi smutno. A dlatego mi smutno, żeby się krytykom moim zdawało, że mi jest wesoło, krytyk bowiem jest to człowiek szanowny, który zawodowo nie wierzy, lubi paradoksy i nie zna anatomji, żółć bowiem uważa za serce; jeśli się zaś uśmiecha, to uśmiechem posążku Buddy, który patrzy w środek swego brzucha i mniema, że to środek wszechświata. Poza tem jest to człowiek tragiczny, który boleśnie kiwa głową; dlaczego to czyni, nie wiem, lecz wtedy jest podobnym do wielkiego wahadła, które mierzy kroki śmierci. Śmierć zaś, największy krytyk na tym padole łez i kobiecej twórczości literackiej, nie znosi śmiechu i radosnego śpiewu. Jest to niezbitym dowodem jej talmudycznej genealogji i źródłem rabinackiej, śmiertelnej powagi krytyków literackich.

Ten tragiczny stan rzeczy jest początkiem handlowego artykułu, który się zowie „śmiechem przez łzy“; produkt ten posiada popularność miętownego proszku do zębów, wody kolońskiej lub gumowych obcasów Bersona, mających przeszkadzać wstrząśnieniom mózgu. Heu me miserum! Jak zbro-

dniarz z Cayenny, jak nieszczęsna Manon, kochanka kawalera de Grioux, noszę na sobie piętno, etykięte „przylepioną i przypiętą“, na której widok gentelman, który za dwa zbywające ruble kupił książkę, powiada boleśnie: „ten człowiek śmieje się smutno!“

Przeto tęsknię za śmiechem radosnym, czynię to zaś z wielu, wielu powodów. Myślę tak sobie, że maluczko, a trzeba się będzie przestać śmiać, albowiem nie będzie czasu na to, trudno zresztą śmiać się człowiekowi, co zęby zacisnął i w wielkiem milczeniu usuwa niezweglone belki. Trzeba wtedy będzie, aby ktoś śpiewał potężnie tym, co pracują.

A tym, co się dziś smucą i tęsknią i żalą, posyłam książkę tę, która się uśmiecha tym uśmiechem, co umrze niedługo, uśmiechając się jeszcze. Proste są w niej historje i niewymyślne, co jednego tylko pragną: aby kogoś od jego bolących odebrać myśli, aby dać jedną chwilę wytchnienia i przez niezgrabnie wycięte serduszko okiennicy pokazać snop słonecznych promieni. Jeśli się kto na chwilę jedną uśmiechnie za moją sprawą — szczęśliwy będę. A jeśli w kim serce żywiej zabije — będę szczęśliwszy jeszcze. Więc komu z tych, co wytchnienia pragną, trzeba będzie uśmiechu, niech zbierze nawet łzy z tej książki cichej i niech je w uśmiech przetopi, niech wszystkie smutki jej i biedy wydadzą mu się radosne.

Albowiem to jest wszystko, co mogę dać lu-

dziom smutnym: ciche serce moje, co się uśmiecha na wspomnienie dawnych dni, kiedy nam skrzydła rosły i kiedy się zdawało, że słońce jest blisko ziemi, uwiązane promieniami do szczytów drzew. Oto jest grosz mój wdowi, oto historia dni szczęśliwych, mizerna, biedna, opowiedziana z lękiem, bez ozdoby słów i bez strojenia ich w kwiaty. Jest to bajeczka, opowiadana tym, co są na popasie tułactwa, aby choć na noc jedną odegnać od nich tęsknotę, co ich żre.

Poto te wstępy czynię i poto mówię to wszystko, aby wyjawić, czemu na zapomnianych ugorach kwiatnych szukam wspomnień i uśmiechów. Nie dla siebie... nie dla siebie... (Jeśli by zaś kto łzę zabłąkaną wśród biednych słów moich dojrzał, niechaj wie, że to nie łza, lecz radość wspomnienia i niechaj wtedy mnie uwierzy, nie krytykowi, który jest tragediante!...)

A potem, postawiwszy krzyżyk na wspólnym grobie „ludzi śmiechu“, pójdziemy — o przyjaciele! — siać zboże.

— — — — —

Teraz zasię spraszam wszystkich na ucztę radosne, ja i mój niechlujny przyjaciel, Eustachy Szczygieł, niestety malarz. On to, nieboszczyk Szymon Chrząszcz i ja zajmowaliśmy się w bujnej młodości naczem czynieniem najwymyślniejszych wstępów życiu, indywiduum to bowiem, zezowate z przyrodzenia, zachowywało się wobec tak dostojnego

zgromadzenia, jak nasze, wcale niegodnie. Chłodem i głodem starało się nas pogniebić, odczyć radości i śmiechu, wyjałowić w nas serca i skrzywić duszę. Odeszło jednak we wstydzie i pohańbieniu, co opowiedziałem niezręcznie i nudnie w ostatniej książce mojej, nazywającej się, Bóg raczy wiedzieć, dlaczego? — „Perły i wieprze”. Tam też znajduje się historia znajomości mojej i srogiej przyjaźni z malarzem Szczygłem, osobą godną pokazywania jej we wszystkich menażeryjach świata. Ponieważ los sprzął mnie z nim na długo i ponieważ zamierzam właśnie opowiedzieć dalszą sprośnego żywota naszego historję, nie od rzeczy będzie powtórzenie krótkiego opisu osoby Szczygła dla owych, którzy mieli szczęście nieczytania wymienionej powyżej ze słusznym wstydem z mej strony — mojej książki.

Eustachy Szczygiel tedy był to „malarz smutny”. Człowiek ten w wolnych chwilach ilustrował polskie pismo humorystyczne i z przyzwyczajenia zesmutniał tak śmiertelnie, że żal było na niego patrzeć; bali się ludzie, że ten człowiek uśmiechnie się po raz pierwszy w życiu wtedy, kiedy się powiesi w przystępie radosnego oblędu. Pił zawsze na smutno i tańczył na smutno. Wtedy wyglądał, jak nieboszczyk, który z własną płasą trumną. Bardziej stylowego człowieka nie widziałem w mojem życiu; znajomi jego opowiadali, że wewnątrz jest on zupełnie obląkanie wesóły, melancholijny jest tylko na fizjo-

gnomji, to niby tak, jak gdybyś cyrk ustawił na środku cmentarza. Kiedy był szczerze i pogodnie wesołym, czynił wtedy coś z gębą, wykrzywił ją na moment tak, jakby miał skonać, zadławiwszy się ością, i wydawał dziwny jęk, niemożliwy do powtórzenia. Był to nędzarz pierwszej klasy i do tego wszystkiego miał kochankę, do której nie powiedział w życiu ani słowa. Żyliśmy w przyjaźni ścisłej, on zaś do tego związku wniósł serce złote i duszę byłby z siebie dał, by poratować przyjaciela w czasach, kiedy dobry Pan Bóg w zupełności zapomniał o takich, jako my, gorliwych chrześcijanach. Lecz nam radość nie zawsze było i niebo nas błogosławiło: jednego suchotami, nędzą innych, by nas nauczyć tęsknoty za rajem, dokąd nam wcale nie było spieszno, żadne więc fałszywe obietnice nie zdołały uczynić z nas świętych ze sztuczną palmą w prawej dłoni, chodziliśmy tedy po ziemi, jako bogowie, serca niosąc w dłoni. Wędrowaliśmy po mlecznej drodze, licząc gwiazdy, lzy i pocałunki. Inne rachunki nigdy nas nie obowiązywały, stąd urosła pewna do nas niechęć ze strony życia, kapituły i policjantów. Serca jednak mieliśmy czyste i dusze radosne, co się jasno okaże na następnych tej księgi stronicach.

I.

Pogrzeb przyjaciela naszego malarza Szymona Chrzaszczka, odbył się po chrześcijańsku i bez mów pochwalnych, gdyż przyjaciel nasz niczego w życiu nie ukradł, nikogo nie skrzywdził i nie był prezesem żadnej instytucji, aby go trzeba było dobijać w trumnie kamieniem młyńskim pogrzebowej mowy. Otarłem łzę ja i stu przyjaciół; Szczygieł, który w pierwszej chwili od zmysłów odchodził, nad grobem załkał jakoś dziwnie i tylko z tajoną pasją patrzył na księdza. Zdawało mu się bowiem, że ten urzędnik boży, ekspedjujący dusze na drugi świat, śpiewa nad grobem z pewną niedbałością i pod nosem, jakgdyby z łaski. Był to bowiem pogrzeb wielce tani, nieboszczyk zaś miał na sobie garderobę, w której mógł odrazu rozpocząć wszystkie czynności świętego, taka była przewiewna i tak bardzo przypominała apostolskie chlamidy z samodziału. Wytłumaczyłem jednakże później Szczygłowi, że nasz przyjaciel poszedł wprost do nieba i bez księżej protekcji, Pan Bóg bowiem, choć srodze nas doświadczał, jednakże stanowczo miał do nas słabość.

Mieszkanie, które zaszczycałiśmy dotąd naszą obecnością, słusznie mniemając, że zaszczyt ten uwalnia nas od płacenia czynszu, miało dla nas zbyt przykre wspomnienia, tu bowiem umarł najmiłszy nasz przyjaciel. Postanowiliśmy tedy przenieść się do dzielnicy bardziej arystokratycznej, wysokość bowiem wydatku na mieszkanie nie przerażała nas nigdy. Tą sprawą martwił się zawsze właściciel domu, którego Bóg pokarał kamienicą — nigdy my. Upatrzyliśmy sobie tedy ze Szczygłem jeden z wytworniejszych domów, w którym na dole była pralnia i szynk, pod dachem zaś wygodne apartamenty, zbliżające człowieka do niebios, uczące go podniesienia ducha i wzniosłych myśli. Ludzie, miłujący samotność, miłują też takie mieszkania wśród gwiazd. W wieku romantycznym zwałoby się ono „orlem gniazdem”, harcujące zaś po dachu koty nie miałyby na tę piękną nazwę najmniejszego wpływu. Myśl ludzka jednakże podobną jest do jadowitej żmii, co pełza w prochu ziemi, dlatego też owe przybytki gwiazdne są u tłumu w niesłusznej pogardzie, w miłości zaś jedynie są u ludzi wielkiej pracy, ludzi wolnych i szlachetnych: szwaczek, malarzy, filozofów i poetów.

Z radością tedy zajęliśmy apartament na wzniesieniu pięciu pięter nad poziomem morza, apartament już przez to samo niezmiernie miły, że niczem nie przypominał szablonu ordynarnych bankierskich

pałaców i miał w swojej konfiguracji cudowny rozmach fantazji. Jest rzeczą nieprawdopodobną, aby człowiek, który to zbudował, skończył inaczej, niżeli w zakładzie warjatów, przez co samo już zasługiwał na nasz szacunek, jako człowiek genialny. Apartament ten szczególnie składał się z trzech wspólnych komnat, z których ani jedna nie była do drugiej podobna. Najobszerniejsza z nich, nazwana „salonem“, była przez to oryginalną, że przez jej środek przechodziła ku dachowi główna odnoga komina tego domu, co sprawiało, że atmosfera naszego salonu miała w sobie miłe ciepło z małą tylko domieszką gryzącego dymu, który się dobywał ze szczelin wśród cegieł. Okna tej ubikacji były umieszczone w dachu, pokój więc ten został mianowany pracownią Szczygła i moją. Ciągły widok na niebo rozweselał nam duszę i skłaniał ku kontemplacji. Miłą też dla nas była wiadomość, że przechadzający się po lazurowej łące nieba i strzegący baranków chmur święci pańscy spojrzą czasem w dół i wtedy słodkim głosem mówi na ten przykład święty Gaudenty do świętego Selefona: „Czy widzisz, bracie? — ci znowu poszli z domu na całą noc!“ — „Takie to już nasienie djabelskie!“ — odpowiada mu święty Selefon.

Komnata obok salonu z prawej strony była naszą sypialnią, miała zaś kształt przez to dziwny, że powała jej była ścięta, z tego też tylko powodu

nie zawiesiliśmy kryształowego pająka. Okna tu nie było zupełnie, w słusznem mniemaniu genialnego budowniczego, że do snu żadne światło nie jest potrzebne, a brak okna nie powoduje wydatków na zasłony i firanki. Myśleliśmy poza tem, że urządzenie to ma jeszcze jedną dobrą stronę: w pokoju tym nie można było umrzeć, gdyż biedna dusza któregokolwiek z nas stanowczo nie miałaby wyjść którędy. Jedną była z tem naszym cubiculum niewygoda, że było ono małe, a Szczygieł był długi, przemyślnie tedy i pomysłowe urządzenie umożliwiło dopiero używalność tej stylowej sypialni, podczas snu bowiem Szczygieł wyciągał nogi przez drzwi do „salonu“. Nie jest to podobno przyjęte w żadnej wytwornej rezydencji, nie mniej jednak jako pomysł praktyczny zasługuje na uwagę i wyróżnienie. Był to równocześnie doskonały środek przeciwko włamaniu, zdumienie bowiem rzezimieszka, któryby chciał wtargnąć do naszej sypialni, byłoby tak bezgraniczne „w obliczu“ tych dwóch chudych, długich, haniebnie obrosłych piszczeli Szczygła, że rzezimieszek cofnąłby się, żegnając się krzyżem świętym. Miało to urządzenie również i złe swoje strony, byłem bowiem zawsze uwięziony do chwili, w której podobało się wreszcie memu przyjacielowi podnieść się z barłogu, podczas zaś jego snu w żaden sposób nie można było przyjmować w salonie gości wytwornych, gość bowiem wytworny miał zawsze

wrażenie, że w drugim pokoju ktoś leży na katafalku. Wrażenie było zawsze i nie mile i niesamowite. Szczygieł bowiem czasem tak potrafił jęknąć przez sen, że aż się serce krajało, tak jakby nieboszczyk, któremu się serdecznie nudzi, prosił o pogrzeb i Anioł Pański.

Trzeci apartament nasz nie miał nazwy i nie był przeznaczony do szczególnego użytku. Wprawdzie nazywaliśmy go „pokojem stołowym“, był to jednak jedynie czczy epiteton ornans, nazwa metafizyczna; tak samo woła się po imieniu gwiazdy i morza na księżycu. Nikt nigdy w pokoju tym nie ucztował, z tego prostego powodu, że jedynie człowiek haniebnie zdeprawowany i szukający rafinowanych dreszczów, mógł odczuwać potrzebę osobnej sali do zjedzenia serdelka. Apartament ten wobec tego przybrał miłą klasztorne archiwum, jednakże bez omszałych gąsiorów winnych, lub raczej pozór muzealnego zakątka w magnackim domu. Pęd do kolekcjonerstwa jest zaletą bardzo rozpowszechnioną, nawet u maluczkich; dlatego to może w domach „inteligentnych“ oddaje się na ten użytek łazienkę, wanna zaś jest sarkofagiem w stylu egipskim, grobowcem cichym, w którym składa się wszelkie rupiecie, wszelkiego rodzaju szczotki i ściereczki, przedewszystkiem zaś słoiki z konfiturami. Rzecz prosta, że woda zasadniczo szkodzi tym przedmiotom, więc się jej nie używa, zresztą powszechny



nabożny podziw otacza jednego człowieka, który się w życiu swoim nie kąpał i z tego powodu żył sto sześć lat.

Nasz zakątek muzealny był bardziej arystokratyczny, czyli, że ochraniał jedynie przedmioty historycznej wagi, rzadkiego pochodzenia, lub dzieła sztuki. Nie było w nim wprawdzie rycerza z blachy, na którego piersi przez uderzenie ostrym końcem pogrzebacza od kominka, wywołuje się straszliwe wspomnienia uderzeń kozackiej rohatyny, lub janczarskiego jatagana, aby przodek był tem dzielniejszy, — były tam jednakże okazy piękne i godne zbadania, jeżeli nie ze względu na swój wiek, to ze względu na dziwne przyzwyczajenia i zalety. Był tam zegar „wyprawny“ Szczygła, odziedziczony po najstarszym członku wesolej tej rodziny, ogromne pudło, w którym wiecznie panowało milczenie. Nieboszczyk ten jednakże nie umarł, lecz tylko spał, bo przynajmniej raz na rok nie wiadomo czemu, zazgrzytał, jęknął glucho, jakby mu się coś staszliwego przez sen przypomniało i wybił jakąś godzinę, uderzając młotkiem sto trzydzieści do stu pięćdziesięciu razy. Wtedy padało na nas nieme przerażenie i słuchaliśmy tej zagrobowej litanji, patrząc na siebie wielkimi oczyma. Zdawało się nam, że antenat Szczygła, kiedyś właściciel tego straszliwego zegara, ma mowę do swego spadkobiercy, który zhańbił uczciwą rodzinę, zostawszy

malarzem. Szczygieł, wysłuchawszy tego jęku, zwrócił się do mnie i mówił zawsze smutno:

— Ha!

— Co ci jest, Szczygieł?

— Ktoś z nas umrze!

— To twój zegar, mnie to nie dotyczy.

Żaden z nas jednak nie umarł, bo przede wszystkim przyzwyczailiśmy się przez całe lata do tej karawaniarskiej maszyny, pozatem było to nawet rzeczą pewną, że ten jęk z za grobu powodowały myszy, które trącały mechanizm.

Archiwum dokumentów naszych rodzinnych składało się z nadań i przywilejów, opatrzonych pieczęcią władcy panującego i listów miłosnych; te pierwsze to były pozwy sądowe, zwyczajna napaść rozmaitych szewców, krawców, kamieniczników i innej hołoty, bezczelnie trudzącej władze rządowe, które grubym głosem wzywały ludzi przy zdrowych zmysłach, aby dotrzymywali swoich przyrzeczeń płatności. Było to nieuczciwie ze strony owej hołoty, gdyż władze narażały się jedynie na śmiech. Raz tylko jeden widzieliśmy łyż rządowe. Oto przysłali do nas takiego człowieka, który ma prawo zabrać złoto, srebro, klejnoty, drogocenne meble, fortepian i dywany. Przyszedł ten człowiek, pochodził, popatrzył, potem cichutko zapłakał, albowiem on, któryby był zabrał beczkę Dyogenesowi, nie znalazł u nas nawet trumny.

Listy miłosne z naszego archiwum stanowiły komplet pierwszorzędny; w istocie były rzadkiej piękności, należy bowiem wiedzieć, że miłosna korespondencja nasza była szeroka i obejmowała wszystkie stany; ze studjów nad tem archiwum serdecznem, doszedłem do przekonania, że dwa są zawody, które cudownie sprzyjają bujności i różnaitości miłosnego stylu; oto najpiękniej, najrozmaiciej i najbardziej kwiecicie piszą szwaczki i panienki z pralni. Tłumaczy się to tem, że dziewice od igły i od żelazka, wykonując jednostajne i mało skomplikowane ruchy, wymagające pochylenia głowy i piersi, co wywołuje ucisk na serce, mają czas do rozmyślań i do kontemplacyjnego ujęcia sprawy, do czego w zupełności nie jest zdolną na przykład panna od telefonu, wyrażająca się stylem zwartym, rwanym na strzępy monosylabowe, suchym, jakby zirytowanym i nieserdecznym, czyniącym z miłosnego dialogu słowików, żydowski handlowy szwargot przez telefon. Irytujące za to przez przeciwieństwo są listy aktorek i panien z wypożyczalni książek, obie te bowiem dziewicze kategorie przepisują zazwyczaj z zasadniczą zmianą autorskiej ortografji listy swoje: pierwsze z ról, drugie z książek. Stąd pochodzi listów tych ton tragiczny i niespodziewane zakończenia. Aktorka pisze w zakończeniu jednego listu w naszym zbiorze:

„...Czy ci jeszcze mało? Stargałeś mi duszę

na strzepy, że nie zostało we mnie nic... nic... Nawet oddech sprawia mi ból... Boże! Boże!... Ale dziś śnił mi się ptak, ogromny, czarny ptak. A wiesz ty co to znaczy ptak czarny? Milczysz? To znaczy śmierć!!! (Odchodzi na lewo).“

Panienska od wypożyczania wszelkiej literatury używa zwrotów bogatych i świadczących o tem, że jej męka miłosna należy do rafinowanych.

„...Leżę na perskim dywanie i biję rękoma, jak skrzydłami zraniony ptak. O, męko! Przeklinam miłość moją i tę chwilę, w której zobaczyłam w twoich oczach złoty błysk. 26 sierpnia. Dziś była we mnie tylko jedna myśl: umrzeć, umrzeć!“

Wobec tej pięknej literatury dziwnie serdecznie wyglądają listy szwaczek i praczek, ciche, niewymyślne i bardzo rozplakane. Należy przyznać, że czyniły one na nas zawsze wrażenie najgłębsze i przechowywane były ze czcią należną, jako okruchy biednego jakiegoś serca, co albo było pokłóte igłą, albo takiego, które życie wyprasowało na nic.

W archiwum naszym znajdowały się poza tem rozmaite pamiątki rodzinne, znoszona nasza garderoba, przeznaczona do użytku historii i wszystkie realne dowody naszej wielkiej sławy, popularności i stosunków z największymi ludźmi. Gwoździem do ściany przybita wisiała tam wspinała fotografia, którą Szczygiel dostał od jednej znakomitej śpie-

waczki z własnoręczną jej prześliczną dedykacją: „Kraków jest pięknem miastem” i — podpisem.

Wyliczenie wszystkich cennych przedmiotów, które zdobiły nasz apartament, jest niemożliwem, nie tyle może ze względu na ich różnorodność ile z uwagi na wspomnienia, związane z każdym z nich. Każde wywołuje łzy, lub ten cichy uśmiech jedną stroną twarzy, który wygląda na grymas z powodu bólu zęba, w rzeczywistości zaś jest złotym uśmiechem serca, które sobie coś cudownego przypomni.

Rzecz prosta, że przybytek nasz, taką przemiłą owianą atmosferą, dziwnie dobrze oddziaływał na nasze dusze. Było nam dobrze, chociażby z tego prostego powodu, żeśmy do siebie wcale nie gadali. Szczygieł był zawsze niemowa, gdyż nieartykułowany bulgot, który czasem z siebie wydawał, mógł uchodzić za pełną szlachetnej mądrości mowę ludzką jedynie na wyspach polinezyjskich, lub na zgromadzeniu pelikanów. W obcowaniu z tą lichą imitacją człowieka, z tym długim i chudym przyjacielem moim i ja wreszcie zapomniałem mówić. Przypatrywałem się też czasem godzinami malowaniu Szczygła w najgłębszym milczeniu i doskonale rozumiałem, co on w czasie tego do mnie gada, choć tylko otwierał czasem usta, jak dogorywający karp i nawet nie wydawał z siebie jęku. Czyniliśmy wtedy wrażenie dwóch nałogowych melancholików, którzy dostali urlop z zakładu warjatów, na święta. Nie było

jednak, przynajmniej w naszej dzielnicy, ludzi weselszych i bardziej radujących się życiem niżli my, co można było doskonale poznać po roześmianych moich oczach i po śmiertelnie smutnej twarzy Szczygła, wyglądającej tak, jakby nie należała ona do niego, lecz do kogoś, co już bardzo dawno umarł, co się parę lat męczył przed śmiercią i teraz jest niezmiernie zboleły, że twarz jego nosi taka kreatura, jak Eustachy Szczygieł.

Stan nasz majątkowy był zawsze jednaki. Wielkie fortuny dziedziczne rzadko kiedy ulegają zmianom, co tem mniej groziło naszej, wobec uporządkowanego trybu życia i wielkiej jego skromności. Zachowaliśmy upodobania spartańskie, wyłączywszy z nich tylko używanie krynicznej wody, jako jedyne go napoju, w słusznem mniemaniu, że przesada w tym względzie, ochładza temperament i nastraja człowieka zbyt filozoficznie. Mimo jednak wielkiej oględności w jedzeniu, ze względu na możliwe artrytazy, uczyły nasze, szczególnie wieczorne, obiadów bowiem nie jadaliśmy z uwagi na idjotyczną pospolitość tego obyczaju, miały w sobie wytworność uczt książęcych i dostojność greckiego symposjonu. Dialogi nasze bardzo poprawiały źle przyrządzone przyprawy do produktów zasadniczych, po czem poznaliśmy, wbrew Pismu świętemu, wielkie właściwości sycące słów i zniewalającą siłę fantazji nawet w sprawach tak niechlujnych, jak jedzenie. Pod tym względem byłem mistrzem Szczygła, który do spraw owych

odnosił się brutalnie i z gestami Piętaszka, co doił kozy. Z czasem tedy i Szczygieł nabrał manier. Na razie, dobywając z papierowego zawiniątka śledzia, jak mumię z powijaków, Szczygieł długo pasował się ze słowami, potem zawsze rzekł:

— Śmierdzi bydlak!

Na to ja mówię mu miękko i głosem zciszone, jakiego się powinno używać przy stole:

— Minogi mają zwykle taką woń słodkawą.

— Idjota! — mówił Szczygieł.

Kiedy zaś mój przyjaciel poznał, że wykwinтна rozmowa przy stole podnosi niepomiernie smak spożywanych potraw, starał się nie być tak ohydnie ordynarnym, przeciwnie, uwagi jego, chociaż nie były ściśle odpowiednie ze względu na swoją treść, miały jednak w sobie wdzięk uwag człowieka, który może być dopuszczonym nawet do królewskiego stołu. To też kiedyśmy kończyli biesiadę przegryzaniem jakiejś rzepy, mówiłem w formie doskonałego uznania:

— Te selery są doskonale wybielone. I chester jest pierwszorzędny.

— Świat jest piękny — odpowiada Szczygieł.

Wobec tego wypijaliśmy za zdrowie świata butelkę jakiegoś bardzo szlachetnego wina, które tylko w pierwszej chwili sprawiało wrażenie octu już nie siedmiu, ale czternastu złodziei, w miarę

jednak, im bliżej było dna butelki, przypominało najszlachetniejsze napoje.

Jasnym jest tedy, że żyliśmy w pogodzie ducha, jako bogowie lub mędracy, w przyjaźni niezmaconej, opartej na wzajemnej wyrozumiałości i litościwej pogardzie wzajemnej. Nikt od nas niczego nie żądał i my od nikogo; głupie zaś przyzwyczajenie Szczygła chodzenia nieraz przez cały dzień nago, jedynie z przepaską rzymskiego niewolnika, w celu zaoszczędzenia ubrania, nikomu nie szkodziło ze względu na wysokie położenie naszych apartamentów. Patrzący zaś na nas z nieba święci, mogli jedynie uważać haniebną nagość Szczygła za cnotliwą pogardę dla rzeczy ziemskich. Zresztą zawodowy męczennik, siedem razy kanonizowany, głodzony przez trzydzieści lat przez gnębieli prawdziwej wiary, nie mógłby stanowczo utrzymać konkurencji z męczeńską chudością mojego przyjaciela. Tłumaczyłem mu jednak, że nadmierna chudość nie jest patentem na niebo, prawdziwi bowiem słudzy boscy są korpulentni i zażywni. Nigdy bowiem w życiu nie widziałem chudego proboszcza, chyba, że biedak miał kamienie żółciowe.

Nowy nasz apartament, wolny od wszelkich złych wspomnień i jeszcze nie obdużony, działał na nas dziwnie kojąco. Zauważyłem z radością, że ten źle podchowany niemowa, Szczygieł, zaczyna samodzielną rozmowę i widocznie się cywilizuje

Po ludzku to on nigdy gadać nie umiał i stanowczo nigdy się nie nauczył, postępy jednakże czynił ten buszmann kochany. Kiedyś myśląc, że wyszedłem, począł malować; długo milczał i tylko czasem westchnął cichutko i tak boleśnie, że zdawało się, młoda jaskółka wypadła z gniazda i woła matki. Potem, ni stąd ni zowąd, ryknął do jakiegoś człowieka na obrazie:

— Głowę więcej na lewo, bo rozbiję!

Widocznie gentleman nastraszył się mojego przyjaciela, bo po chwili Szczygieł był już w dobrym humorze i cichutko sobie podśpiewywał przy robocie. Był to zadowolony pomruk niedźwiedzia, który ma głos przepity, w każdym razie jednakże dla Szczygła był to śpiew anielski i napełnił go słuszną dumą. Inna z tem sprawa, że gdyby był wiedział o mojej przy tem obecności, byłbym żywy nie wyszedł, Szczygieł bowiem jest dziwnie wstydlivy, szczególnie zaś wstydzi się ludzkich oznak radości.

II.

Obok naszego apartamentu były dwa jeszcze takie same, przez całą długość strychu, aby się porządni ludzie, wyniesieni tak wysoko, nie snuli samotnie. Sąsiedztwo jest instytucją piękną i nieodzowną; gdyby bowiem człowiek nie miał sąsiadów, musiałby chyba oczerniać samego siebie, sobie samemu życzyć śmierci, aby był pogrzeb, czyli bardzo miłe zdarzenie, kiedy można wiele widzieć i słyszeć; zamarłoby wtedy życie towarzyskie i człowiek stałby się gorszym, mając bowiem sąsiada, ma równocześnie miarę porównawczą i może powiedzieć z dumą: przecież jest na świecie rzeźmieszek większy ode mnie. Działa to kojąco i uszlachetnia, pobudzając ambicję w tym kierunku, aby nie być ostatnim. Posiadanie sąsiada jest równocześnie jedną z najmilszych rozrywek i potrafi doskonale wypełnić czas, któryby w razie przeciwnym człowiek musiał spędzić w ohydnych towarzystwie, bo sam z sobą; tak zaś można podsłuchiwać przez ścianę i umierać ze śmiechu, odkrywszy, że sąsiad bije żonę, lub odwrotnie, że jęczy przez sen, więc

widocznie ma zmartwienie, że kaszle długo w nocy, więc się widocznie źle prowadził i chce skonać. Z tych względów ma się zysk oczywisty, który się wyraża w świadomości szczęścia. Człowiek jest stanowczo szczęśliwy, kiedy widzi cudze nieszczęście.

Sąsiedztwo ma jednakże i swoje złe strony, będąc czasem źródłem niepokoju; uczciwy człowiek nie zaśnie, chociażby do rana i dręczy się nieobecnością sąsiada, uczciwy człowiek bowiem ma jedną zawsze słabostkę, chce mianowicie koniecznie wiedzieć, kiedy i skąd sąsiad jego powraca późną nocą? Kiedy zaś, umęczony bezsennością, usłyszy wreszcie kroki na schodach i obracanie klucza, zapiera oddech w piersi i słucha, kiedy zaś — nie daj Boże — usłyszy, że sąsiad najbezpieczniej w świecie nuci sobie pod nosem przy rozbieraniu, lub rzuca butami z wielką fantazją w przeciwległą ścianę, wtedy uczciwy człowiek uśmiecha się w ciemności, zadowolony, że się jego przypuszczenia sprawdzają, albowiem trzeba chyba kraść, aby tak wesoło spędzić nocę.

Rzecz prosta, że z tych powodów interesowało nas nasze sąsiedztwo; jeśliby bowiem sąsiedzi nasi mieli nas sądzić wedle powyższych spostrzeżeń, w takim razie najmniejszej nie ulegało wątpliwości, żeśmy kradli już w kołysce, nikt bowiem w całym domu później i weselej, niżli my, nie wracał do domu. Ceremonja zaś przy wślizgiwaniu się do

naszej sypialni też się w wielkiej ciszy nie odbywała, albowiem wszelkie ćwiczenia gimnastyczne czyni się zwykle z wielkim rozmachem i radosnem dodawaniem sobie odwagi przez dziki jakiś okrzyk. Szczygieł w tych wypadkach mało wprawdzie gadał, lecz bałwan potrafił czasem jęknąć z radości tak przejmująco i tak jakoś strasznie, że w podsłuchującym sąsiedzie powinno serce zlodowacieć i zamrzeć. Puszczyk, taki z najhaniebniejszych, nie potrafi z takim głębokim i bolesnem przekonaniem jęknąć nad domem, w którym już ktoś siedem lat kona.

Należało tedy poznać naszych sąsiadów i samym widokiem apollinowych naszych fizjognomji utwierdzić ich w przekonaniu, że mimo późnych powrotów i niechlujnego zachowywania się, jesteśmy ludzie jako tako uczciwi, choć biedni, szlachetni, choć ścigani przez los i że potrafimy z niesłychanym wdziękiem wszystkie kości połamać temu z naszych sąsiadów, któryby przez jedną chwilę o tem wątpił. Szczygieł, który był porywczy, chciał to uczynić od razu i bez wstępów, głęboko przekonany, że cała kamienica musi mieć o nas najgorsze wyobrażenie, kto nas bowiem raz zdaleka chociażby widział, ten inaczej sądzić nie mógł, a jemu się to stanowczo nie podoba i tak dalej. Na nieartykułowany bełkot mojego przyjaciela, przypominający rozprawę filozoficzną człowieka, który ma tyfus

i czterdzieści stopni gorączki, nie zwracałem najmniejszej uwagi, dobrze wiedząc, że straszliwy ten człowiek, któryby gotów był gębą wymordować pół miasta, jeśliby pół miasta spojrzało krzywo na niego, lub na mnie, — nie potrafi zabić muchy, bo i mucha to jest boże stworzenie.

Niezależnie jednakże od tego wszystkiego, należało, aby ludzie tak dystyngowani, jak my, poznali swoich sąsiadów, albo sposobem niecywilizowanym przez złożenie im wizyt, albo po prostu, sposobem uczciwym, przez zagadnięcie ich na schodach przy spotkaniu. Pierwszy z tych sposobów przejmował nas zgrozą, jako wymysł hrabiów i innych takich wysoko postawionych osób, co mają nawet bilety wizytowe, służących do tego, aby nikogo nie zastać w domu, bo i co z takim gadać, kiedy go się zastanie? Na sposobność natknięcia się przypadkowego na współlokatorów wspianego strychu, można było długo czekać, gdyż o tej porze, w której myśmy się zwykle znajdowali w drodze do naszego apartamentu, kędyś nad ranem, prawdopodobnie nikt już z mieszkańców z dołu do góry, lub też z góry na dół dla naszej wyłącznej przyjemności, po schodach nie łąził.

Dowiadywaliśmy się przezornie u stróża kamienicznego, jakich nam Bóg dał sąsiadów w cudownych strychowych apartamentach, stróż jednak był filozof niewątpiący, to też odrzekł nam z wielką

pewnością i z czci godnem nieprzekupnem przekonaniem.

— Jakież drańcie tam mieszka, bo porządny lokator nie mieszka na strychu. Ot, arystokraty z pod dachu!

Nie było to zwrócone wprost do nas, bo nawet taki rzezimieszek dziedziczny, jakim jest stróż, znać powinien zasadę towarzyską, że o obecnych się nie mówi. Spojrzałem ja na Szczygła, on na mnie i powiedzieliśmy sobie w głębokiem milczeniu, odchodząc dostojnie, że wół nie może wiedzieć o upodobaniach aniołów, zamieszkujących wyżyny i że ten człowiek powinien skończyć na szubienicy, aby raz w życiu poznać upojenie, jakie sprawia przebywanie na wysokościach.

Wiedzieliśmy to tylko, że z prawej strony naszego lokalu, mieszkał ktoś bardzo rozgadany, albo mówca, albo aktor, albo poseł, lecz człowiek jakiś bardzo systematyczny. Regularnie bowiem co niedzieli, jeżeli zaś w ciągu tygodnia przypadało uroczyste jakieś święto, to i w ten dzień także, ten ktoś, obok nas z prawej mieszkający strony, coś długo i bardzo głośno wygłaszał, jakby wielką mowę, lub wielką rolę. Poprzez ścianę dochodził nas głos uroczysty, jakby dostojny, głos, jakim się wyśpiewuje hymny w Wielki Piątek, lub jakim się czyta Ewangelję. Potem na cały tydzień zapadała cisza, jakby ten człowiek na sześć dni zasypiał. Przyzwy-

czailiśmy się do tego tak, że kiedy w niedzielę zaczęli rano dzwonić u Karmelitów, mimowoli każdy z nas zaczynał nasłuchiwać. Z ostatniem uderzeniem wielkiego dzwonu, który miał serce pełne i jakby nabrzmiałe miłością dźwięków, podnosił się głos z poza ściany. Słuchaliśmy pilnie, lecz można było czasem, lecz rzadko, schwycić jedno tylko jakieś słowo, wtedy, gdy ten ktoś, tak dziwnie mówiący, głos podniósł uroczyście.

— On, zdaje się, jest derwisz! — szepnął raz do mnie Szczygiel.

Dałem mu jednak znak niecierpliwy, aby milczał, chociaż wiedziałem dobrze, że nas z poza ściany nie słyhać; rzecz bowiem jest dziwna, lecz było w tym półspiewie i półzawodzeniu coś niesamowicie uroczystego. Wieczni kpiarze czuliśmy przez skórę, że można sobie pokpić czasem z wszystkich świętych, bo to i Panu Bogu się podoba, jeśli kto jest wesoły, i nam dobrze robi, lecz z tego, co tam dziwnym głosem woła, czy modli się, czy pomstuje — jakoś nie wypada. Wyglądało to przedewszystkiem na modlitwę, gdyż ten głos uroczysty płynął do nieba czy też do piekła tylko w dnię świąteczne, zdarzały się jednak, bardzo zresztą rzadko i takie dnię, podczas których odpoczywaliśmy tylko my obaj, cały świat zaś pracował z bożego nakazu, — a ten człowiek, nasz tajemniczy sąsiad, odprawiał swoje nabożeństwo. Dowiadywaliśmy się znów

u stróża, czy przypadkiem dzień nie jest świąteczny mimo wszystko, mruknął jednak ten Madej zbój, że jego tyle to właśnie obchodzi, co chińskiego cesarza, bo on jest uczciwy socjalista i u niego święto jest pierwszego maja.

Mieliśmy wobec tego cichy żal do naszego śpiewającego sąsiada, że wprowadza nieporządki do kalendarza i że nas bałamuci; po jego bowiem czarnych mszach dowiadaliśmy się ściśle, kiedy jest święto, to też każdego dnia, kiedy nasz sąsiad kończył swoją antyfonę, Szczygieł długo się przygotowywał do dłuższego gadania i po pół godzinie wreszcie zawsze wyjąkał:

— Znowu święto... trzebaby już może... co?... jakoś ładniej,... ha!

Uczciwy człowiek, przywykły do uczciwego wyrażenia swoich myśli, nicby z tego delirycznego bredzenia nie pojął, ja jednakże, ponieważ tresowałem tego niedźwiedzia, rozumiałem też i jego marmrot. Połączywszy te gorączkowe jęki i słowa z jego gestami, można było przy śmiertelnym wysiłku fantazji pojąć, że Szczygieł postanowił się ogolić na święto. Była to jednak groźba nieszkodliwa, bo do Wielkiej Nocy było daleko, a małe święta małe na nim czyniły wrażenie.

Ogarnęło nas tedy pragnienie poznania tego dziwnego człowieka, który żył z nami pod jednym dachem i stał się nam bliskim, niewiadomo czemu,

jednak, gdyby jednej niedzieli nie zadudniała poza ścianą jego antyfona, czy jak to nazwać, byłoby nam nijako. Historia ta zresztą poczyniała nabierać cech jakiegoś tajemniczego obrzędu, my zaś zostaliśmy mimowoli członkami nieznanego bractwa, nie wiedząc, czyśmy zostali czcicielami djabła, czy koguta, czy słońca, czy jakiegoś bożka, który jest zewowaty i ma sto wymion. Słuchając przez wiele niedziel, przez wiele świąt nam znanych i przez wiele nieznanych, tego podniosłego głosu, który kogoś, zdaje się, wzywał, kogoś zaklinał, komuś groził — i błogosławił komuś, — przywykliśmy zapadać w milczenie i już nam przez myśl nie przechodziło, aby jakąkolwiek czynić na ten temat uwagę. Byliśmy przez ścianę obecni „na nabożeństwie“ i asystowaliśmy z całą powagą.

Nie byliśmy ludzie wybitnie pobożni i zdaje mi się, że Szczygieł nie był w kościele od czasu chrztu świętego, jeśli wogóle taki szympans był wogóle chrzczony; ja tam lepszy nie byłem, a mimo tego mieliśmy w niebie, jako katolicy, markę znakomitą, bo nikt się chyba lepiej od nas nie modlił i nie modlił się piękniej. Ludzie myślą, że to strasznie się Panu Bogu podoba, jeśli stara zjełczała dewotka wyklepie codziennie, uderzając żółtymi zębami, jak kastanietami do tańca, dwadzieścia litanij i niezmierną ilość pacierzy, albo jeśli wielka pani zagada do Stwórcy Niebieskiego po francusku, modląc

się o to, żeby nie miała dzieci. Ja zaś myślę, że kiedy się taki biedaczyna jak Szczygieł, albo inny taki modli, taki Szczygieł, który dobrze gadać nawet nie umie i coś tam niby bełkoce, oczy przewróciwszy w stronę nieba białkami do góry, to się w niebie jaśniej czyni. Bo taki to się nie modli wedle patronu. Szczygieł kiedy chce serdecznie uczcić Pana Boga, wtedy maluje rozkwitłą jabłoń, taką śnieżystą i przezystą, jak chmury najbielsze. Twarz ma przytem śmiertelnie ponurą, a wewnątrz to się niezmiernie raduje: coś w tym bożku pogańskim wtedy śpiewa i coś w nim jaśnieje na chwałę bożą, a jabłoń kwitnie, jak życie młode i obraz pachnąc poczyna, jak kadzielnica. A wtedy Pan Bóg dobrotliwy, — odsuwa przedobną ręką cisnący się tłum natarczywy, prałatów, bankierów, dewotki i baby kościelne i powiada: Pozwólcie mi wysłuchać modlitwy tego oto, który się do mnie modli przezystem sercem i rozkwitłą duszą!

A mnie, kiedy czasem przy chuderlawej świecy, wśród niezmiernej ciszy nocnej, uda się wynaleść w głębinie wielkiej serca takie jakieś słowo, że w jego blasku noc się jak dzień rozświetla i kiedy słowu temu biednemu, a mającemu oczy przezyste i niebieskie, skrzydło przypinam, aby leciało ponad ziemią, śpiewając dobrą nowinę ludziom spracowanym, — wtedy mi się zdaje, że się niebo ku mnie pochyla i że mnie ktoś słucha.

Ktoś dobry niezmiernie, słucha modlitwy mojej tak pokornej, tak pokornej...

Och! ale to zupełnie do rzeczy nie należy. Idzie o to, żeśmy bardzo pobożnie słuchali dziwnego nabożeństwa „człowieka z za ściany“ i że nam było w owej chwili nieco smutnie, bo głos był raczej smutny, jakby coś rozpamiętywujący.

Wszystkie oto nasze wysiłki, czynione w tym celu, by poznać naszego sąsiada, poszły na marne; ten człowiek, albo nigdy nie wychodził, albo bardzo rzadko. Czuliśmy jego obecność, choć się zachowywał bardzo cicho, lecz czasem doleciał do nas jakiś szmer, lub stuknięcie; wiedzieliśmy, że „on“ tam jest i że coś czyni, lecz „on“ powracał nam ciągle na myśl. Czasem Szczygieł malował w wielkim milczeniu, patrząc z podełba na swój obraz, ja pisałem, lub czytałem i godzinami całemi nie mówiliśmy słowa, z tego przedewszystkiem powodu, że rozmowę o niczem uważaliśmy za przywilej arystokracji i z tego także, że Szczygłowi większą przyjemność czyniłoby rzezanie go tępym nożem, niż towarzyska rozmowa.

Raz jednak Szczygieł, czyniąc obłąkane ruchy pędzlem i paletą, powiada:

— Ja już wiem...

— Co wiesz?

Ten podczłowiek pokazuje na ścianę i mówi:

— On...

— Aha! „on“... I cóż takiego wiesz?

— Kto on taki?...

Spojrzałem na Szczygła zdumiony i równocześnie zaciekawiony mocno; mimowoli zciszyłem głos i mówię szeptem:

— Gadajże prędko i o ile możliwości po ludzku. Któż to taki?

Ale Szczygieł począł rozciągać twarz na rozmaite strony i miał minę człowieka, który się zadławił ością. Umiał malować, ale nie umiał gadać, bo mu to nie było potrzebne i nic na to nie można było poradzić.

Wreszcie powiada:

— Kiedy ja nie wiem, jak się taki nazywa?

— Jaki taki?

— Taki, jak on.

— Powoli, Szczygieł, powoli... Tylko się bardzo nie nateżaj. Co ci więc przyszło na myśl? Czy to ksiądz, czy minister, czy morderca, czy fałszerz monety?

Szczygieł spojrzał na mnie z litościwą pogardą i mówi:

— Nie, nie to... On jest taki, co to za dawnych czasów... Czy ja wiem? Ani ojca, ani matki... Zaraz sobie przypomnę...

— Bogdajeś skonał! — powiadam mu z tkliwym uznaniem.

Zapomniałem o tej rozmowie, przypominającej

szwargot tresowanej papugi z cywilizowanym człowiekiem, a Szczygieł przez dwa dni nic do mnie nie gadał. Dopiero trzeciego dnia w nocy, kiedy spałem jak najlepiej, bandyta ten trąca mnie w ramię bardzo mocno. Myślałem, że pożar, albo że się dach nad nami zapadł.

— Co się stało? — pytam z przerażeniem.

— Nic! — powiada Szczygieł, — ale sobie przypomniałem. „On“ jest eremita. O!

Opadłem widocznie z sił z nadmiernej wściekłości, gdyż ten człowiek jeszcze żyje.

Ponieważ tedy rozmowa ze Szczygłem nie należała do rzeczy najłatwiejszych, przestałem z nim wogóle rozmawiać o sprawach niecodziennych, wymagających znajomości nieco większej ilości słów; z racji jednakże tego „eremity“ wygłosiłem do mojego przyjaciela długą i serdeczną mowę, w której mu oświadczyłem stanowczo, że wstyd przynosi rodzajowi ludzkiemu; że poprostu jest rzeczą nieprzyzwoitą, aby człowiek tej, co on długości, człowiek zresztą mimo przewagi cech małpich, niepospolity, dobry towarzysz i przyjaciel, malarz zaś, wedle zdania ludzi najgłupszych, znakomity — był tego rodzaju niemową; że na zbawienie duszy go zaklinam, aby się starał wypogodzić twarz, bo z taką fizjognomją nie zechcą go po śmierci przyjąć ani w niebie, ani w piekle i że się będzie tułał po wszechświecie, strasząc gwiazdy; że ja się wogóle

dziwie, jak mogę utrzymać stosunki przyjacielskie, z taką figurą, ale taki to już mój los nieszczęsny, „że cię kocham, złodzieju jeden“, bo mi już wszystko jedno: upadły człowiek szuka takiego samego towarzystwa.

Szczygieł słuchał z miną niezmiernie smutną człowieka, któremu umarło siedmioro dzieci, prosty więc z tego był wniosek, że się niezmiernie radował; czasem dziwnie jęknął, kiedy mu się zdawało, że nieco przesadzam w wyszukiwaniu odpowiednich dla niego określeń, w rezultacie, kiedy kończyłem moją mowę, porwał mnie w objęcia, ucałował serdecznie i zmusił mnie do odtąnczenia z nim dookoła pracowni jakiegoś śmiertelnie poważnego tańca. Co z takim robić? Albo zmiażdżyć mu zdeformowaną czaszkę jednym uderzeniem pięści, aby rozwodniony mózg trysnął na powalę, albo ucałować go z kolei, co też uczyniłem, bo zbyt mam miękkie serce. Wogóle serca nasze, to jest jakaś ciężka pomyłka Pana Boga; widocznie przy sortowaniu tych organów dokonano w niebie fatalnej zamiany i zamiast jakimś dwom dzieciom dać serca nasze, nam zaś serca tęgie, mocne, nieczułe ani na ból, ani na radość, oschłe, mądre, praktyczne i miarowo bijące,— dali nam jakieś serca, niezmiernie śmieszne. Ja miałem jakie takie, ale Szczygieł miał stanowczo serce zwarjowane i bez najmniejszej wątpliwości godne rozsądnej pogardy ludzi rozsądnych. Serce

to ani biło porządnie, ani nie umiało niczego zrobić praktycznie; tłukło się zawsze w chudej jego piersi, jakby się czegoś niezmiernie spieszyło i przemyślało przez całe swoje życie idjotycznie nad tem, jakby co komu uczynić dobrego? Takie śmieszne, głupie serce... Niech Szczygieł dojrzy gdzie jaką łzę u kogokolwiek, a już jest z tem sercem awantura; widzę, że mój przyjaciel zęby tylko zacisnął, bo w nim ten sprzęt niezdarnej i niemądry skowyczy. Wtedy by koszulę z siebie zdjął. I tak jest ciągle. Serca nasze najwidoczniej przeciw nam się sprzysięgły i za nic na świecie nie chcą uderzać rytmem świata, tylko oszalałym nieznośnym rytmem własnym. Po kiego licha? — Licho wie, — pewnie po to, abyśmy leżli przez ten łotrostwami wybrukowany padół zawsze głodni i zawsze oberwani i uśmiechali się w stronę słońca tym uśmiechem, który twarz zagnęła ściska skurczem, aż bolesnym. Po drodze Szczygieł szuka złotego odbłasku słońca na błocie, a ja szkiełka rymu... Pewnie nam z tem dobrze, bo nam ludzie zazdroszczą. Pewnie więc jesteśmy szczęśliwi, bo ludzie naokoło są tacy smutni, jakby każdy nieszczęście własne połknął, a my jedni patrzymy przed siebie jako tako... Licho go wie, może tak właśnie wygląda szczęście.

Rozmyślałem na ten oszalały temat, leżąc nazajutrz na mojem dostojnem łożu, które dlatego było dostojne, że było przez siano w poduszce

i przez słomę w sienniku, wspomnieniem ziemi, kiedy Szczygiel trącił mnie wzrokiem i szepnął:

— Słyszysz?

Zamieniłem się cały w słuch. Był dzień powszedni, a „on“ odprawiał swoje nabożeństwo. Albo dziś lepiej było słyhać, albo nasz sąsiad głośniejszy wygłaszał słowa, bo w dzwoniącej ciszy doszedł nas, uroczysty, jakby księży głos, mówiący:

— Módlmy się za brata Sylwestra Ryłskiego, zwanego Gilem, męczennika, postrzelonego w serce w kalenickim lesie...

Dalsze słowa, jakby te, któreśmy słyszeli, były wezwaniem głośniejszym, zginęły w cichej pewnie modlitwie.

Spojrzeliliśmy sobie ze Szczygłem w oczy: Zdało się, że nas głos z poza ściany wzywał do modlitwy. Nikt z nas nie szepnął ani słowa, tylko ja, — sprawy sobie z tego nie zdając, — podniosłem rękę do czoła i do piersi i szepnąłem cięhutko: W imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

Szczygiel zakrył twarz rękoma i coś szeptał.

III.

Żyliśmy w sposób nie zwracający uwagi długie tygodnie, a Duch boży unosił się nad nami. Mimo tego jednakże język Szczygła nie uczynił się ognisty, lecz zawsze przypominał tępy nóż ze złamanem ostrzem. Nie wychodziliśmy niemal z domu, chyba na wyprawy myśliwskie do miasta, po pożyczkę, lub po pożywienie; ponieważ zaś już zima pocięła tłuc siwym łbem o nasze cienkie ściany, zauważyliśmy, że spacer, szczególnie wieczorne, nie należą do nadzwyczajnych przyjemności, bogate bowiem nasze futra zamówiliśmy dopiero wprost u syberyjskich łowców soboli.

Jest to poglądem błędnym i godnym wygwizdania, jak wszystkie dramaty moich przyjaciół, że wolny naród poetycki czy malarski, jest zawsze biedny. Wcale nie. Złoto się czasem wala po wszystkich kątach domu, lecz nikt z tego bractwa nie posiada sztuki oszczędzania i wielkiej wagi nie przywiązuje do dochodów stałych. Handel czy rzemiosło hańbiło kiedyś polskiego szlachcica, — hańbi też dzisiaj jedyną prawdziwą szlachtę, jaką pozostała,

bractwo apollinowe, dlatego też chude okresy egipskie wypadają co dni siedem, zamiast co siedem lat. Zresztą, — mój Boże! — czy jest co miłszego nad biedę? Nie o tę myślę, co jest sina z głodu i toczy oczyma, które mogą zabić. Niech jej Bóg przebaczy i niech ją ratuje. Mówię o nędzy filozoficznej, biedzie dostojnej, dumnej i rozpartej w swoim powozie, co przypomina karawan, o nędzy, przyjaciółce wolnego ludu. Kto pojmie jej dostojność, ten pojmie słuszne i głębokie oburzenie łajdackiego kapitalisty na widok malarza, który ma całe buty i nie daj Boże, nosi rękawiczki. Jest to bowiem widok niepojęty i fakt przewrotowy. Jak ma być dobrze na świecie, kiedy poeta przywdział futro? Co to może być za poeta? W tym kierunku tradycja ma swoje głębokie przekonanie. Stąd też przechodzi dziwna nieśmiałość wszystkich wielkich ludzi, którzy wszedłszy w tłum, przystojnie odziani, wstydzą się swego stroju, jakby był ukradziony. Pomnik po śmierci jest to rzecz słuszna i godziwa, całe spodnie jednakże za życia, to jest bezczelność.

Lecz tak już jest i zmieni to chyba czcigodny Antychrystus, nie należy się tedy ludziom cichym sprzeciwiać urządzeniom społecznym, które widocznie mają sankcję niebieską, ta zaś się wywodzi z uznania praw większości faryzejskiej i ścisłego, talmudycznego traktowania spraw tego świata...

Było nam tedy miło w biedzie naszej, bynaj-

mniej nie powieściowej i przysięgam, że trzeba by nam było dać parę lat czasu na zastanowienie, czy mamy zmienić kolej żywota i wleźć po kolana w złoto. Dziwnie nam było dobrze na duszy i dziwnie wesoło, chociażby dlatego, że akcje stalowe może spadły na łeb i na szyję, a nas to nic nie obchodziło. Żywot zaś wiedliśmy bujny i pełen ruchu, największą zaś przyjemność czyniło nam wysiłanie wrodzonej zresztą pomysłowości w celu oszukania życia; cieszyliśmy się bowiem jak dzieci, gdy nam się udało nakarmić, kiedy śmierć głodowa pytała już na dole u stróża o nasz adres, lub kiedy nam się udało ogrzać, kiedy już wedle wszelkich obliczeń powinniśmy być zakonserwowani w lodzie, jak najmilszy student Anzelmus w powieści Hoffmana — w kryształach.

Radowała Pana Boga ta nasza mądra przebiegłość, więc może dlatego zrządził w nieskończonej Swojej dobroci, aby ludzie stawiali parkany, żeby Szczygieł mógł od czasu do czasu wyrwać jaką deskę i z ponurym triumfem przywlec ją do domu na opał. Bo to jego wydział i należy mu przyznać, że czynił to po mistrzowsku; zrodziła się z tego pewna u niego manja, nie mógł bowiem przejść spokojnie mimo drewnianego sprzętu, żeby jednym rzutem oka nie ocenić jego wartości przy spaleniu się. Ponuro i z niejaką rozpaczą przyglądał się słupom telegraficznym, wszelkim altanom i schodom. Prze-

chodzenie przez nasze schody, które uginały się jak klawisze, obiecując, że się zbytnio przed wyrwaniem nie będą broniły, sprawiało mu serdeczną mękę. Wtedy mu mówiłem miękko i łagodnie:

— Uspokój się, Szczygiel, przyjdzie i na to kolej!

Dziękował mi wzrokiem za pociechę, ja zaś równocześnie byłem przekonany, że gdybym leżał w trumnie, to by mnie mój przyjaciel pochował bez najmniejszej ceremonji w prześcieradle, trumnę zaś by spalił. Ostatnimi czasy próbował w tajemnicy przedemną wyrywać deski z sąsiedniego strychu, co miało fatalne następstwa; przyłapała go na tem jakaś służąca, która wieszła właśnie bieliznę, a zapomniała na ten właśnie czas, powiesić się sama. Awantura była pierwszej klasy i mogło to nam popsuć reputację w całej kamienicy, gdyby nie moje przysięgi przed stróżem, że Szczygiel chciał się dostać do tej „panienki”, aby ją ucałować w same usta, tak mu się strasznie podobala. „Panienka” była wprawdzie ospowata, jak sama ospa, piersi za to miała zamaszyste, łotr stróż tedy zrozumiał motyw nieodpartego przymusu miłosnego u Szczygła i łaskawie przebaczył. W następstwie tej sprawy, „panienka”, która najchętniej w świecie przyjęła takie tłumaczenie, zaczęła oczekiwać Szczygła codziennie na strychu, — głębokie zaś jej westchnienia z zamaszystej piersi płoszyły wszystkie

kawki z dachu. Ale Szczygieł kradł wtedy deski już w innej stronie.

Tydzień ten wogóle był obfity w sensacje.

Zaprosili nas jednego dnia na obiad do domu, gdzie były trzy panny; było im wprawdzie bliżej do grobu, niż do wesela, Szczygieł jednak bronił się mocno przed bywaniem w tym szanownym domu, w którym jednakże jeść dawali doskonale, zauważyliśmy bowiem, że kobieta brzydka, nie mogąc dać ujścia wzburzonemu swojemu sercu w opętaniu miłosnem, kieruje zapaty swoje najwłaściwiej do kuchni. Szczygieł jednak był podejrzliwy i mówił:

— Uważaj, ho! ho! już ja się na tem znam...

— Na co mam uważać i na czym ty się znasz?

— Łapią nas! Ale niedoczekanie...

Ale mimo tego poszliśmy po dłuższem opatrywaniu garderoby; kiedyśmy zaś wychodzili z mieszkania, poznaliśmy wreszcie, kto jest naszym sąsiadem z lewej strony, co łatwo było poznać, bo równocześnie z nami wychodziła ze swoich drzwi niewiasta, przy niej zaś płała się dziewczynka czteroletnia, śliczne dziecko. Pani miała wysmukłą postawę i o ile można było poznać z pod kapelusza, wspaniałe kasztanowate włosy, dziwnie ciepłego koloru, pewnie ciężkie jak złoto. Twarz ani brzydka, ani piękna, lecz w rodzaju tych, których Pan Bóg stwarza tysiącami wedle jednego wzoru; byłaby o tedy twarz fabrycznie tandetna, gdyby nie dobrze,

podkrążone oczy i dobrze ufarbowane usta, co ludziom mającym całe życie z farbą do czynienia, poznać nie trudno. Oczy pani owa, a nasza najmiłościvsza sąsiadka, miała sprytne i doskonale wyszkolone, rzec można, oczy wygimnastykowane. Spryt ich polegał na rozpoznawaniu szybkim rzutem sytuacji i na błyskawicznym malowaniu w nich odpowiedniego wyrazu. Przy nagłym z nami spotkaniu, oczy naszej sąsiadki powiedziały nam błyskawicznym stylem, że są bardzo zdziwione naszym widokiem, że się spodziewały właśnie takich, a nie innych ludzi, że są dość uradowane i że nic nie mają przeciwko temu, żeby spoglądać na nas przyjaźnie. W odpowiedzi Szczygieł postawił oczy w słup i wyglądał z tem jak człowiek, który się napił czegoś niezmiernie mocnego, ja zaś rzekłem jej oczyma, że nam jest równie bardzo miło, że ją przepraszamy za niechlujne nasze sąsiedztwo, że jesteśmy ludzie wolni, bez sprzętów i bez żon i że bardzo byśmy radzi wiedzieć, czy to śliczne dziecko jest owocem wzajemnego układu w urzędzie parafjalnym, czy też gwiazdką, spadłą z nieba jednej majowej nocy? Pani ze złotymi włosami nic na to nie odpowiedziała, lecz schowawszy klucz do torebki, ujęła dziewczynkę za rękę i poczęła schodzić po schodach. Musiała przejść obok nas, więc cofnęliśmy się ku ścianie z powodu wielkiej ciasnoty miejsca, Szczygieł zaś — djabli go wiedzą, czemu? — zdjął

z szacunkiem kapelusz. Miał zaś przytem minę z tego przypadkowego spotkania tak uradowaną, że dziecko, spotkawszy się z jego śmiertelnie rozradowanemi oczyma, krzyknęło głośno z przestachu i zaczęło się tulić do matki. Matka zaś rzekła cicho:

— Nie bój się Haneczko, ten pan nic złego ci nie zrobi.

Uśmiechnęła się przytem w naszą stronę i zeszła na dół. Szczygieł zamienił się w słup soli; w jednej chwili stracił humor i stał z kapeluszem w rękę tak zrozpaczony, jakby się miał za chwilę ożenić. Żał mi go się uczyniło, więc mu mówię:

— Choć, Eustachy, panny czekają...

On nic na to, tylko kapelusz z nagłą furją nacisnął na łeb i iść począł w dół, „chmurny, jak noc“. Na ulicy nagle przystanął i powiada:

— Psiakrew! dzieci gębą straszę!

Powiedział to z taką rozpaczą, żem mu zaczął perswadować:

— Co tam sobie z tego robisz, Szczygieł? Raz kiedy byłem smutny, to się mnie jedno dziecko tak przestraszyło, że dostało konwulsji. Przystojni to my nie jesteśmy obaj, ale szlachetność w wyrazie twarzy także coś znaczy.

Nie poprawiło to Szczygłowi humoru i obiad z pannami był dość pogrzebowy. Mój przyjaciel przewracał oczami przy każdej potrawie, tak jakby

się dławił, co się jednak pannom podobało, bo orzekły, że Szczygieł jest „demoniczny“. Wiadomo zaś, że kobieta oszaleć potrafi dla największego idjoty, byle miał na twarzy wszystkie demoniczne cechy, chudość wielką, zielonawą bladość i pochmurne oczy; należy do tego mówić cokolwiek niezrozumiale. Pod tym względem był Szczygieł demonem non plus ultra.

Ze spotkania jednakże naszej sąsiadki wynikła ta prosta korzyść, że mogło to dać początek zaniebdanym cokolwiek przez nas stosunkom towarzyskim; należało jedynie obmyśleć sposób prosty i niezbyt brutalny, żeby o nas nie pomyślano, że jesteśmy zwyczajne chamy, lecz ludzie z wielką towarzyską oglądą, posiadający przytem wrodzony wdzięk, takt, dowcip i grację. Nie było się wprawdzie kogo poradzić, czy mamy prawo, czy też obowiązek złożenia wizyty, cóż znaczy jednak jałowa znajomość form towarzyskich, tam, gdzie kogo ciągnie serce? Serce zaś ciągnęło nas do ludzi, samotność bowiem już nam nieco ponadgryzała duszę, jak korzenie drzewa nadgryza złośliwy robak. Dziwna rzecz, lecz z nas dwóch bardziej towarzyskim był Szczygieł; wprawdzie podchowany nieco, najdzikszy nawet goryl, zdobyłby się bez wielkiego trudu na ten sam rodzaj konwersacji, do której był zdolny bliski jego krewny Szczygieł, można było jednakże mojego przyjaciela pokochać za samą

jego obecność. Są ludzie, których się tylko pragnie mieć w pobliżu. Mogą śpiewać, lub milczeć, tańczyć lub spać — to jest w tym wypadku obojętne; dobrze jest, jeżeli oni są i źle jest, jeżeli ich niema. Ja potrafię ze Szczygłem nie gadać dwa tygodnie, ale mi nieswojo i smutno, jeśli się gdzie na pół dnia zapodział. Kochali go więc ludzie bardzo, a on serdecznie kochał ludzi. To był prawdziwy, wielki artysta, który umiał bezgranicznie kochać i kochać bez fałszu, bez obłudy i bez korzyści. Miał przy tem swój dziwaczny, swoisty humor i dowcip; człowiek uczciwy, który do tego rodzaju wesołości nie przywykł, powinien stanowczo skończyć samobójstwem, jeśli go Szczygieł chciał rozweselić, człowiek uczciwy bowiem musiał w takim wypadku zwątpić w Boga, w świat, w życie i w ludzi. Nie było bowiem niczego smutniejszego na świecie, nad radosny humor mego przyjaciela. Kiedy jednak czasem Szczygieł wyraził swoje własne, głęboko przemyślane zapatrywanie na poważną kwestję, można było skonać dwa razy z rzędu: raz z powodu formy sentencji, drugi raz z powodu jej treści.

Serce zaś miał takie ten dziwny człowiek, że za ludźmi tęsknił, bo by się zaraz z każdym chciał dzielić wszystkim, co posiadał. Inna rzecz, że tej wspaniałej połowy jego majątku, nie wziąłby nawet najbardziej zachłanny żyd, miałby bowiem z temi gratami niepotrzebny tylko kłopot.

Z powodu spotkania na schodach uczynił się w te pędy bardzo wrażliwy na sąsiedzkie stosunki; uważałem, że stąpa ciszej, niż zwykle, a klnąc, stara się dla efektu wymówić tylko pierwszy wyraz głośno, resztę zaś szeptem. Elegancja jego z powodu sąsiedztwa z kobietą zaczęła jednak z każdym dniem przybierać formy irytujące; wymyślił sobie, dajmy na to, że wody z kubła nie wolno nam od tej pory wynosić do zlewu na schodach, jak to było zawsze dotąd i jak Pan Bóg przykazał, bo się można spotkać z „nią“. Był dotąd „on“, ten jakiś zacny człowiek z prawej strony, lecz był nieszkodliwy, teraz już była i „ona“, bardziej szkodliwa, gdyż tę wodę wylewał Szczygieł teraz przez okienko w dachu, co szczególnie w zimie jest niewygodne. Poza tem hamował wszelkie moje wybuchy radości, bo „może dziecko śpi“.

Postanowiłem wreszcie pomiarkować rozwydrzenie mego przyjaciela i pójść z nim w odwiedziny do sąsiadki; sam byłem też niepomiernie ciekawy, rozmyślałem więc długo, do czego niespodzianego zdolnym jest Szczygieł na wizycie, aby wszystko przewidzieć i nie narazić czcigodnych osób naszych na niepotrzebną kompromitację. Co tedy mógł zrobić Szczygieł? Mógł w chwili, kiedyby nam już otwierano drzwi, uciec; to byłoby niczem, bo jabym uciekł wtedy także. Mógł w zaambarasowaniu, ponieważ był dziecinnie nieśmiały, wy-

wrócić stół, krzesło i jeszcze jaki sprzęt. To ostatecznie drobnostka, gdyż sprzętów niema, szczególnie w salonach pod strychem, tak wiele, więc by się to wreszcie skończyło. Mógł śmiertelnie ponurą gębą znowu przestraszyć dziecko. I na to jest rada, bo ten upiór ma czasem taką słodycz w oczach, jakby był synem pobożnej jakiej zakonnicy, co miała prześliczne oczy. Mógł powiedzieć ni stąd, ni zowąd coś takiego, że wyrzucenie za drzwi jest tylko karą symboliczną i nic nie znaczącą. Co do tego punktu, stanowczo uspokoić się nie mogłem, postanowiłem tedy mieć na ten temat dyskurs z moim przyjacielem. Powiadam mu tedy:

— Szczygieł, cobyś powiedział na to, gdybyśmy złożyli wizytę?

— Komu?

— „Jej“.

W Szczygła, widzę, piorun trzasnął, ale osunął się po twardej czaszce i zostawił mu tylko w oczach śmiertelny przestach; powiada jednak:

— Ja się nie boję!

— Nie pytam się o to, czy się boisz, czy nie, ale powiedz prawdę, Eustachy, — umiesz ty się zachować na wizycie?

Szczygieł poczerwieniał i powiedział nieśmiało:

— Ja pochodzę z bardzo porządnej rodziny... Goście bywali... Oj, oj, ...czemu nie?

Rzecz prosta, że jeżeli goście bywali, to pewnie była bardzo porządna rodzina, a Szczygieł wskutek tego był najwytworniejszym człowiekiem na przedmieściu. Mała z tego jednak pociecha, mówię mu więc:

— Wiesz, przyjacielu, że cię bardzo kocham?

— Wiem.

— Ale wiedz także o tem, że jeślibyś tam powiedział choć jedno niechlujne słowo, to żywy nie wyjdiesz.

— Nie powiem, — szepce on pokornie.

— Daj słowo!

Szczygieł długo rozważa, wreszcie mówi:

— Jak na to można dać słowo? Czasem przecież tak to samo, z języka... Czy ja wiem?

— No, to niech ci nic z języka nie spływa.

Szczygieł jednak wciąż gwałtownie rozmyśla i nie ma odwagi spojrzenia mi w oczy; udaje, że coś tam dłubie pędzłem, wreszcie począł smutno pogwizdywać. Wiedziałem, że to jest taki mały, obłąkały wstęp do jakiejś mowy.

Wreszcie rzekł:

— Jak uważasz, doskonale wiem, co i jak... U ministra przecież byłem dziękować za medal i był zachwycony... Minister przecież nie byle kto, ale z kobietą jakoś ciężko. Ona bardzo w oczy patrzy. Powiedz mi więc coś tak, ni to, ni owo, co

z nią gadać. Ty jesteś pyskаты, więc umiesz... Literat! Ha!

I odetchnął ciężko, jak człowiek, który ogromny głaz wytoczył na szczyt góry, niezmiernie mnie jednak uradował tą mową, świadczącą, że całą duszę ma nietylko na palecie, lecz ją z powrotem na czas jakiś do swego wnętrza przywołał.

Począłem mu tedy dawać popularne wskazówki, mając na względzie haniebny stopień jego towarzyskiego wykształcenia.

— Przyjdiesz, uklon się i siądz. Mówić to ja będę, ale ty się zato do dziecka po ludzku uśmiechnij, nieszczęśliwy człowieku, a potem odpowiadaj tylko na pytania, ale nie blaguj zanadto. Aha! i nie wstawaj za każdym razem, jeśli do ciebie przemówi, bo tego prawdziwy hrabia nie robi. Tak się, uważasz, zachowuj, jakbyś już wszystko na świecie widział i jakby cię nic nie potrafiło zdziwić. Kiedy ja wreszcie wstanę, wstawaj i ty...

Szczygieł głęboko w sercu schował moje uwagi i musiał je sobie wiele razy powtórzyć przez noc, gdyż głęboko przez sen jęczał, pewnie mu się tedy śniło, że jest na wizycie. Nazajutrz był bardzo poważny i poruszał się z pewną gracją, chociaż zasadniczo brakowało mu harmonji w ruchach, długie bowiem jego nogi plątały się zawsze, jakby szukały z rozpaczą punktu oparcia, ręce zaś Szczygieła czyniły wrażenie takie, jakby ich Szczygieł

miał za wiele. Lecz i wiatrak potrafi być malowniczy.

Im bliżej jednak było do tej wizytowej egzekucji, mój przyjaciel widocznie tracił kontenans. Postanowiliśmy tam pójść przed południem, przeto około dwunastej, dałem znak do pochodu. Szmery za ścianą naszego archiwum dowodziły, że księżna jest w pałacu. Obejrzałem jeszcze raz Szczygła, poprawiłem mu krawat, który na bezludnej wyspie mógł służyć za chorągiew do dawania sygnałów i powiadam:

— W imię Boże, Eustaszku, chodźmy...

— Tak! — odrzekł on krótko, ponuro i prawie z rozpaczą.

Słyszałem najwyraźniej, że w tym długim człowieku serce głośno bije, taki był tem wszystkiem przejęty, kiedyśmy stanęli u „jej” drzwi. Zapukałem dyskretnie raz i drugi, bo dzwonka nie było. Długo nikt nie odpowiadał; wtedy Szczygieł szepnął:

— Może nogą, bo nie usłyszy?

Zabiłem go spojrzeniem i dyskretnie pukam po raz trzeci. Skrzypnęło coś w mieszkaniu i dziecinny głosik pyta za drzwiami:

— Kto się puka?

Bardzo nam się zrobiło przyjemnie, że to małeńka dziewczynka, którą matka zowie Haneczką, wyszła na nasze spotkanie, bośmy nabrali odwagi; Szczygieł tylko usiłował na gwałt uczynić twarz do

czegoś miłego podobną, aby dziecka nie nastraszyć, ja zaś odpowiedziałem najmiłszym głosem, na jaki mnie było stać:

— Niech Haneczka powie mamusi, że dwaj panowie, co obok mieszkają, przyszedli do mamusi i do Haneczki.

Biedactwo długo myślało, potem mówi:

— A mamusi niema, Haneczka sama.

— A gdzie mamusia?

— Poszła, ja nie wiem.

— A Haneczka co robi?

— Haneczka siedzi na ziemi.

— Sama siedzi?

— Nie, z lalką.

Zabrakło nam na chwilę tematu do rozmowy, choć nam widocznie czyniła wielką przyjemność, bo i Haneczka chciała wyraźnie porozmawiać sobie z tym panem, co „się puka”.

Powiadam więc:

— A Haneczka może głodna?

— Nie wiem...

— A smutno Haneczce?

— Nie wiem.

— Aha! to dobrze...

— A kiedy mamusia wróci?

— Nie wiem.

— Więc kiedy wróci, niech Haneczka powie,

że ci panowie, co tu obok mieszkają, byli tutaj pod drzwiami. Powie Haneczka?

— Powie...

— My za to będziemy Haneczkę bardzo kochali. A Haneczka nas kocha?

— Kocha!

— To bardzo dobrze. A jak dziewczynce będzie smutno, albo kiedy lalka będzie głodna, to niech Haneczka zapuka rączką w ścianę. Mocno, tak, żebyśmy słyszeli. Zapuka Haneczka?

— Zapuka.

— Pa, Haneczko! My teraz już idziemy do domu, a Haneczka niech idzie do lalki.

— Haneczka idzie..

Poszło maleństwo, a myśmy długo jeszcze stali pod drzwiami, nasłuchując, co tam ta śliczna dziewczynka czyni?

Szczygieł był serdecznie uradowany, że go ominęło nieszczęście, równocześnie zaś rozrzewniony rozmową z Haneczką; wracając zaś, wyrócił białka oczu i powiada w formie westchnienia, czy też skargi:

— Ludzie mają takie śliczne, mądre dzieci, a ja co?

Nic mu nie odrzekłem, zauważywszy, że nagle uderzenie krwi na mózg, jest objawem częstszym, niżby się to zdawało.

IV.

Nasz sąsiad z prawej strony obwieścił nam dzisiaj jak muezzin ze szczytu minaretu jakieś wielkie święto, wygłaszał dziś bowiem mowę swoją mistyczną bardzo długo. Wogóle dzień był uroczysty i obfity w zdarzenia. Bardzo wczesnie rano odwiedziło nas dwóch przyjaciół, wcale wesołych ludzi, którzy pluli przez dwie godziny, gdzie się dało, zapowietrzyli fajkami cały apartament, którego zbytkownemu urządzeniu serdecznie się dziwili, wreszcie nas jeden zaprosił na ślub. Kiedy malarz się żeni, to się wtedy w niebie nawet odbywa sroga uroczystość z wywieszeniem chorągwi i z defiladą aniołów po rajach z palmami w rękach, niebo się bowiem cieszy pobożnie z tego, że wreszcie choćby jeden długowłosey wstępuje na prawą drogę i będzie płodził prawe dzieci z jakąś dorodną dziewczicą. Wyszowaliśmy przyjacielowi serdecznie z głuchą jednakże uciechą w dobrych sercach, że to właśnie on, a nie my; przyjaciel jednak nie mógł oznaczyć dokładnie dnia ślubu, termin bowiem ten ściśle zależał od rejentalnego stwierdzenia, czy dziewczica

w istocie posiada tych pięćset rubli posagu, o których głuche chodziły tylko wieści i o których ona sama mówiła tajemniczo, szczególnie nad ranem, ostatni składając pocałunek na dumnym czole naszego przyjaciela.

Z trudem pozbyliśmy się wesółych przyjaciół, którzy zdradzali żywą chęć pozostania na obiedzie, kategorycznym oświadczeniem, że na obiad zaprosić ich nie możemy, z tego nieznacznego względu, że obiadu wogóle nie będzie. Niedługo jednak po ich wyjściu zawitały do nas dwie damy, obie chude i obie w czerni, co przyjęliśmy z niezadowoleniem, bo chudość i czerń zawsze zwiastują nieszczęście; za nimi szedł jakiś obrosły na gębie Kaliban z wielkim koszem w ręku. Obie rozpatrywały się pilnie po pracowni, myszkując oczyma, w trakcie tego zaś jedna zakryła chustką nos, bo jej się widocznie nie podobała zadymiona atmosfera naszego salonu, druga zaś głosem zgasłym, pochodzącym jak gdyby z żołądka, głosem w każdym razie nie z tego świata, oświadczyła krótko, że strasznym jest los pijaków i że wobec tego ksiądz biskup chce otworzyć przytułek i że ma nadzieję przez zbiór fantów na loteryję dobroczynną zebrać krocie i że panowie, — to niby my — pewnie nie odmówią. Słuchaliśmy tego wszystkiego z wielkiem namaszczeniem, nic nam bowiem tak ciężko nie leżało na sercu, jak los tych ludzi nieszczęśliwych. Wobec tego Szczy-

giel podszedł do ściany, długo szperał wśród obrazów i wydobywszy jeden, z wielkim szacunkiem wręczył damie chudszej, która spojrzawszy, krzyknęła. Na to rzekła druga:

— My tego przyjąć nie możemy.

— Szkoda — rzekł Szczygiel — to bardzo ładny kicz.

— To jest świństwo! — odrzekła dama chudsza od chudszej i ukazały nam pogardliwie w kabląk zgięte swoje plecy, odchodząc.

Obraz był istotnie ładny, chociaż może trochę niestosowny na dobroczynną loterję na raucie, którego protektorem miał być biskup, przedstawiał bowiem niezmiernie dekoracyjne oddanie się Fazyfe, córki króla Minosa, bardzo przystojnemu bykowi.

— Za darmo nie chcą nawet brać moich obrazów, — rzekł beznadziejnym głosem Szczygiel.

— Zginiesz pod płotem, — odpowiedziałem, — zresztą musieli ci to przepowiedzieć w kołysce.

Napadła nas jednak z tego powodu niefrasobliwa wesołość, mimo przekonania, że jeżeliśmy nie pomogli do stworzenia przytułku dla alkoholików, to sami sobie kopimy grób, bo nie będziemy mieli na starość dachu nad głową. Było nam jednak przewiewnie na duszy, choćby dlatego, że przez szyby w powale mogliśmy oglądać cudowne widowisko, jak się kłębi i puszy i szaleje wielkimi płatami padający śnieg. Pan Bóg widocznie z powodu

święta w dobrym był humorze i przypomniawszy sobie stare żydowskie dzieje, sypał hojnie manę na świat. Szkoda tylko, że katolicki naród odzwyczaił się od jedzenia śniegu, bo tego dnia byliśmy i my także syci. Niebo jednakże dobrotliwe i ciche, patrzy lazurem swoich oczu jedynie w serce człowieka, nigdy w żołądek. Głód zresztą nie jest najgorszym przyjacielem człowieka, przeciwnie przez zaostrenie myśli, przez rozbudzenie fantazji i tym podobne wpływy moralne, czyni mu wiele dobrego. Oczy, okna duszy, są u człowieka głodnego nie zwykłymi oknami z przezroczystą szybą, — są to bogate, różnokolorowe witraże, człowiekowi bowiem robi się wtedy w oczach raz czerwono, raz czarno, raz niebiesko. Wrażeń tych boskich nie zna człowiek syty, który również nie słyszał nigdy głosów wewnętrznych, jak człowiek głodny, którego wnętrze jest ożywione i wydaje dziwne pomruki, podobne do pomruków głodnego lwa, lub straszliwego tłumu, co idzie stawiać barykady. Słodkie omdlenia i muzyka sfer, ujawniająca się przez harmonijny, ciągły, dźwięczący szum w głowie, są również udziałem ludzi głodnych. Wiedział — jednym słowem — dobry Bóg, co czyni, posyłając głód na ziemię, któraby inaczej sparszywała w dostatkach i w nadmiarze tłuszczu, jak jedna wielka Capua. Głód jest rzeczą błogosławioną i tak potrzebną, jak burza, co oczyszcza po-

wietrze i głód jest rzeźbiarzem, który czuwa pilnie, aby nie rozlały się przepyszne, boskie formy ludzkiego rodzaju, lecz by po jałowej, wyschłej, na kość ziemi, chodził sprężystym krokiem człowiek, którego on wyrzeźbił: nadobnie chudy, z twarzą zieloną, przypodobioną kamei z jasnego szmaragdu, ascetycznie piękny, z brzuchem zapadłym, aby powiedzieć nie było można, że bogiem jego jest brzuch. To jest chrześcijańskie nadziemskie piękno ciała, które jedynie czasem, dla wykreślenia granic między tłumem, a jego przewodnikami i dla oznaczenia hierarchji koniecznej, rozwielfmożnia się siedmiofałdzistym rozlewem kanonicznego brzucha. Zwyczajny olimpijczyk, który się porywa na maratoński bieg przez ściernisko życia, winien być chudy i żylasty, gdyż inaczej nie otrzyma wielkiej nagrody i nie będzie z niego najmniejszej w niebie radości. Takim oto chłystkom, jako my, nie nakazaną jest też zbyt srogo modlitwa przed i po jedzeniu, chociaż sama modlitwa bez jedzenia, wedle najdonioślejszych świadectw Ojców Kościoła, nigdy nie zaszkodziła. I to też jest czysty, idealny zysk głodomorów, bo właściwie modlitwa przed jedzeniem jest prośbą o apetyt, modlitwa po jedzeniu jest słuszną podzięką niebu za nieudławienie się ością, za wyborny smak, który Stwórca dał sterletom lub wątróbkom gęsim; słusznie się też dzieje, że ostatnie słowa takiej modlitwy pomie-

szane są z wyciągiem ziół, który mnisi, słudzy boscy, za natchnieniem niebieskiem, dobywać się nauczyli. To są likiery święte i ustanowionem być powinno, aby likierem takim, który na pieczęci nosi znak krzyża i za którego chemiczną czystość ręczy kurja watykańska, można było chrzcić w braku w.c. y.

Rozmyślania na podobne tematy, nie tylko, że są pouczające, mają przytem właściwości sycące; zawsze się człowiekowi czyni mniej głodno, kiedy się przygląda temu fata morgana i wciąga w siebie metafizyczne zapachy najprzedniejszego jadła. Mniej się wtedy żre serce własne, co stanowczo należy do zajęć głupich, niepraktycznych i gorszących; człowiek uczciwy i po bożemu żyjący, zjada bażanta, jedynie zaś gorszyciele maluczkich, hołota bez czci, wiary i przesądów, zjada serca własne i swoich bliźnich, ludzi spokojnych, którzy na ręcznikach haftują napisy: „daj Boże dzień szczęśliwy“, a na tacach: „Czem chata bogata, tem rada“, ludzi bogobojnych, którzy po bożemu płodzą dzieci, chodzą do łaźni i nie czytają poezji. Słusznie wtedy mniema zacny człowiek taki, że zła, hałaśliwa, niespokojna dusza prometejska, która powinna być oddaną pod policyjny dozór, nosi źródło swojego obłąkania w wątrobie, ta zaś cierpi przez zachłanność i zbytek w jedzeniu. Posty więc przez mądrych, bogobojnych ludzi nakazane, są instytucją rozsądną

i nieodzownie potrzebną, jako hamulec i obroża dla tych indywiduów zbyt bujnych, zbyt krwistych, nieokielznanych i wściekłych; nie dotyczą one wcale ludzi bogatych i zrównoważonych, którzy z temperamentów swoich mięsistych, jedynie dobry czynią użytek. Rzecz jest słuszna. Taki Szczygieł, długi, jak rozpacz, kościsty, jak mieszczańska śmierć, nie jedząc mięsa całymi tygodniami, dokazuje na świecie rzeczy niemożliwych, niepokoi całą dzielnicę samym swoim wyglądem, gorszy nieświadomych obrazami, patrzy impertynencko na ludzi poważnych i zasłużonych, gwizdże przez nos na wszystkie najznakomitsze instytucje, nie chodzi do kościoła, nie spowiada się nigdy, na cel dobroczynny nigdy nic nie da; wyobrazić więc sobie po prostu nie można, coby taki dziki człowiek czynił i czego by nie dokazał. gdyby mu dawać co dnia mięso, jak komu porządnemu, jemu i takim, jak on, tej całej holocie, tej menażerji zwierząt rozjuszonych, których tylko bicz głodu w karbach utrzyma; nie zostałyby wtedy śladu z kościołów, bo by je pazurami rozdrapała ta tłuszcza, powieśiwszy przedtem wszystkich, których objętość brzucha przewyższałaby nieco nawet objętość wedle ich skali.

Rozmyślając tak, spojrziałem ze zgrozą na Szczygła, chcąc sobie uprzytomnić, jak straszliwym byłby ten człowiek, nakarmiony i chlepcący krew

ciepłą z czaszki bardzo krwistego kapitalisty... Boże! jak ten mój przyjaciel potrafi być obłudny! Ale mądrych ludzi i niebo nie oszuka... Ukląkł na ziemi i straszliwymi grymasami twarzy zachęcał do nabrania odwagi nieszczęsną naszą domową mysz, dla której drobił okruszyny i rozsypywał po podłodze. O, zbójco!

Chciałem mu to właśnie rzec, kiedy usłyszałem jakieś szmery przy drzwiach.

— Kto tam? — krzyknąłem z miejsca, dla gości bowiem naszych okazywaliśmy jeśli nie pogardę, to w każdym razie wybitny brak uszanowania.

Nikt nie odpowiada, tylko dalej drapie.

— To pies, albo wiewiórka — powiada Szczygieł, któremu najrozmaitsze pomysły przychodziły do głowy.

— Albo śmierć?! — odpowiadam — w takim razie niech poczeka.

Gość pod drzwiami był jednakże cierpliwy, jak krawiec z rachunkiem. Przypomniawszy więc sobie zwrócone do nas pytanie naszej przyjaciółki, małej Haneczki, zawołałem w stronę drzwi jej stylem:

— Kto się puka?

Coś pisnęło pod drzwiami dziwnym głosem, wobec czego Szczygieł zebrał w jedną nadmiernie wydłużoną całość porozrzucane szeroko swoje członki i poszedł otworzyć drzwi. Nie mogłem widzieć

kto stoi za drzwiami, lecz się zdumiałem, spojrzawszy na twarz mojego przyjaciela. Stało się z nią coś strasznego, jakby poprzednio była z lodu i nagle poczęła tajać, jakby ją błyskawiczne paraliże zaczęły bezustannie to rozciągać, to kurczyć, jakby ten człowiek nie mógł czegoś przełknąć i niezmierną swoją mękę wewnętrzną okazywał publiczności na twarzy. Te fizjonomiczne kataklizmy dowodziły nadmiernego wzruszenia, podszedłem więc szybko, aby ujrzeć, co takie śmiertelne na nim uczyniło wrażenie?

Haneczka!

Stało maleństwo kochane z swoją lalką na ręku przed drzwiami, a Szczygieł dla jej nie robił te wszystkie sztuki z gębą, aby jej nie przestraszyć. Dziw to jest nad dziwy, że właśnie z powodu tych sztuk, którychby się najgorszy morderca przeraził, biedne to dziecko nie umarło z przestachu.

Odsunąłem więc gwałtem Szczygła i z najprzyjemniejszą miną uśmiechnąłem się do dziewczynki, potem wzięwszy ją za rączkę, wprowadziłem ją do salonu jak wielką damę; ona jednakże nie spuszczała oczu ze Szczygła, jak biedny, cichutki ptaszek, zahypnotyzowany strasliwą gębą węża: Szczygieł, który był wogóle nieśmiały, onieśmielił się jeszcze bardziej wobec tej czteroletniej dziewczynki i ustawicznie się kłaniał, uśmiech zaś jego w tej chwili godnym był uwiecznienia; tak przytem

wyglądał pociesznie, że dziewczynka z przestachu, bo już tę niesamowitą twarz pamiętała ze schodów, poczęła powoli przechodzić do wesołości, patrząc wciąż na pajacowate ruchy Szczygła, wreszcie roześmiało się maleństwo z całego serca, ja za nią śmiać się począłem jak dziecko, najgłośniej zaś z nas śmiał się Szczygiel.

Wprawdzie czarownica, żona kozła, w upojeniu miłosnem na Łysej Górze wydaje głosy miłsze i śmieje się dźwięczniej, jednak w śmiechu Szczygła było wszystko, co kto chciał: i głos organów i bek barani, gdakanie kury, trel słowicy i rzenie rozpustnej klaczy. Myślałem, że się dziecko bardziej jeszcze przestraszy tego śmiechu niż twarzy, ma-lutkiej jednakże ogromnie się to zaczęło podobać i śmiała się ślicznie, mrużąc oczęta. Kiedy zaś wreszcie zmęczyliśmy się wszyscy tym śmiechem, dziewczynka śmiało uczyniła krok w stronę straszliwego Szczygła i uśmiechnąwszy się, powiada:

— Jeszcze śmiać...

Boże drogi! Szczygiel był taki szczęśliwy, że się obawiałem przez chwilę, aby tego biedactwa nie zjadł w napadzie kanibalskiej radości; wtedy dał koncert. Do końca życia nie będę już słyszał takiego śmiechu. Tak serdecznie chyba się nikt nie śmiał od początku świata i chyba tylko w bardzo renomowanych szpitalach warjatów możnaby przypadkiem śmiech taki usłyszeć. Mieć twarz po-

nurą, jak otwarty grób i tak się śmiać, śmiać się oczyma, uszyna, głową, nogami i rękami, pewnie też sercem, wątrową i żołądkiem, to jeden Szczygiel potrafi. Więc znowu nas coś napadło i znowu śmialiśmy się przez jakiś czas, co nas w jednej chwili uczyniło przyjaciółmi, gdyż Haneczka bez najmniejszej ceremonji poczęła po chwili przechodzić z rąk Szczygła do moich i z powrotem, całowana po sto razy. Zdawało się nam, że ktoś do nas przez okno w dachu spadł ze słońca i rozradował nam duszę. Szczygiel zaś, zdaje się, oszalał; całował Haneczkę po oczach, po włoskach, po rękach i wydawał dziwne, grobowe okrzyki, przyjmowane przez nią z niezmiernem zadowoleniem. W rezultacie Haneczka nie chciała zejść już z kolan Szczygła i w międzyczasie rozwiązała mu chorągiewny krawat, zburzyła mu nieczesane od trzydziestu lat włosy, ciągnęła za uszy i za nos; miałem to wrażenie, że gdybym mu był w tej chwili chciał odebrać dziecko z rąk, w słusznej obawie, że mu rączęta i nóżki połamię w uścisku, byłby mnie zabił i nawet nie spojrzalby na mego trupa; gdyby to zaś Haneczce miało się podobać, rzuciłby go przez dach na ulicę. Była to zapewne pierwsza w życiu osoba, która przez targanie uszów i chwytywanie go rączką za nos, pieściła mego przyjaciela, zdaje się więc, że się w nim coś w środku zrobiło, zawyło coś, czy poczęło kwilić, bo oczy miał wilgotne i śmiejąc się

swoim dzikim śmiechem niewidocznie ocierał łzy z plugawych swoich oczu o warkoczyki Haneczki.

Ja pierwszy przyszedłem do przytomności i począłem po dziecinnemu rozpytywać ją o cel wizyty, samo bowiem to prześliczne biedactwo nie poszło do jaskini zbójców. Zapytałem więc najpierw o zdrowie lalki, bo to najważniejsze, potem o to, czy Haneczka widziała śnieg, następnie, czy jej się śniły aniołki, wreszcie o to, czy mamusia jest w domu. Szczygieł jak furjat, przenosił wzrok ze mnie na Haneczkę, każdą zaś jej odpowiedź nagradzał pocałunkiem, czego nie robił z mojami pytaniami, bo byłbym go pobił. Dawał mi równocześnie oczyma znaki, że to jest najrozumniejsze dziecko na świecie, że odpowiada ślicznie, że ma włosy jak jedwab. Tulił to pisklę do siebie, jak stary złądaczony gołąb, który sobie wreszcie przypomniał, że ma dzieci; Haneczka zaś szczebiotała bezustanku, gdyż wszystko ją niezmiernie ciekawiło i zdaje się, że jej się u nas podobało serdecznie, bo na górne szyby padał śnieg, na ścianach i pod ścianami było mnóstwo obrazów, stalugi Szczygła, rozparły się na środku pokoju, jak znarowiony koń, obok zaś na poręczy krzesła wisiało mnóstwo różnokolorowych szmat, w które stroił modele, na ziemi zaś tułał się wyszczerbiony hełm straży pożarowej, używany przeze mnie za popielniczkę, za skład węgla do samowaru lub czerpak do wody, przez Szczygła zaś jako hełm husarski,

jeśli na zamówienie bogatego żydowina, co sobie fabrykował przodków, malował jakowego towarzysza chorągwi pancерnej, co się nie bał nawet psa. Więc Haneczka patrzyła na wszystko uśmiechniętym wzrokiem i czasem tylko głęboko się zastanowiła. Szczygieł, jak małpa, jota w jotę czynił to samo; w chwilach zaś wielkiej ciekawości dziewczynka pytała tylko:

— A co to?

Szczygieł robił w tem miejscu taki ruch wargami, jakby także strasznie był ciekaw, ponieważ zaś na jego odpowiedź mogłoby biedactwo czekać do sądnego dnia, więc ja odpowiadałem:

— To są gwiazdki z nieba, które aniołkowie śpią na dach z radości, że Haneczka do nas przyszła.

Dziewczątka kiwnęło z uznaniem głową, a Szczygieł mrugnął również z uznaniem, dając mi niemy znak, że jest z moich odpowiedzi zadowolony.

— A co to? — pyta Haneczka, wskazując na obrazy Szczygła, który się, idjota zarumienił.

— To jest wiosna, — odpowiedziałem — teraz na dworze jest zimno, przeto drzewa i kwiatki i słońce bardzoby zmarzły, więc ten pan, co tak Haneczkę kocha, przyniósł to wszystko tutaj. A jak będzie ciepło, to otworzymy okienko i słońce wyłeci przez okienko, a drzewa i kwiaty zasadzimy w ogrodzie. Dobrze, Haneczko?

— Dobrze! — odpowiedziała z wielką powagą, więc ją Szczygieł wycalował za moją odpowiedź!

Haneczka potrafiła tak pytać przez godzinę, kiedy jej więc wytłumaczyłem wreszcie, co to jest gwóźdź w ścianie i kiedy już nie było żadnego przedmiotu, o którym by coś można powiedzieć, rozbawiona dziewczynka poczęła pytać na nowo i najmniej dziesięć razy pokazywała to samo i pytała: „a co to?“ Byłbym już nie umiał odpowiadać, Szczygieł jednak za każdym razem wzrokiem zagroził mi śmiercią i długiem przed nią konaniem, gdybym śmiał nie dać dokładnej odpowiedzi, wymyślałem więc nie stworzone rzeczy, wreszcie wpadłem w szal opowiadania i opowiadałem jej cały tom bajek. Wreszcie i ja powtórzyłem swoje pytania i zacząłem indagować Haneczkę, czy mamusia nie kazała nam przypadkiem czego powiedzieć?

Haneczce ani w głowie już nie było to, co tam jej mamusia kazała powiedzieć, jednakże przy pomocy mojej i przy straszliwym nateżeniu pamięci powiedziała swoim cudownym stylem dziecięcym:

- Mamusia mówiła przyjsć!
- Mówiła przyjsć?
- Tak!
- Zaraz?
- Nie wiem.
- A może jutro?
- Tak jutro!

— A może dzisiaj? — pytałem przezornie.

— Dzisiaj!

— Pewnie razem z Haneczką?

— Tak z Haneczką.

Była to pierwsza zgodna kobieta, jaką oglądałem w mojem życiu, więc ją ucałowałem serdecznie, na co Szczygieł pozwolił z zawiścią i niechętnie, uważając przy tem pilnie, abym jej jakiej przy tem krzywdy nie uczynił. I tak już wyczytałem w jego wzroku, że pytaniami zamęczam dziecko i że on się za to ze mną policzy. Odpowiedziałem mu również wzrokiem, że gdyby to niewinne dziecko wiedziało, na czyich siedzi kolanach, to wolałoby umrzeć i rzekłem mu głośno:

— Szczygieł, panna Haneczka prosi nas na herbatę, uczyni się więc podobnym do ludzi.

— Tak! — dodała Haneczka poważnie.

— A widzisz!

Szczygieł nie powiedział dotąd ani jednego słowa, widocznie z obawy, że dziecko może uciec z rozpaczliwym krzykiem, kiedy on się odezwie; teraz zaś był stanowczo w rozpacz. Zrozumiał, że trzeba iść przedtem nieco się ogarnąć, gdyż pieśczoły dziewczynki zdeformowały mu dziwacznie jako tako ogarnięty łeb, za nic w świecie jednakże nie chciał jej puścić z kolan. Ułitowałem się wreszcie nad nim i przyniosłem kawałek lusterka dziwnego kształtu, bo pochodził ten sprzęt z rozbitej wielkiej

całości, zawiązałem mu krawat, w końcu wśród wielkiej ogólnej radości uczesaliśmy go wspólnie z Haneczką, to znaczy, że co ja naprawiłem grzebieniem, który miał kły, nie zęby, to dziewczynka w tejże chwili wśród śmiechu psuła palcami. Szczygieł, strasznie czuły na kobiety, zażenowany był poważnie przy tej operacji, w rezultacie jednakże można go było znowu pokazać dorosłym ludziom, jeśli naturalnie dorosłym tym ludziom jest beznaście wszystko jedno, na co patrzają.

Dałem wreszcie znak do pochodu na „wizytę”; zatrzymaliśmy się na chwilę tylko przy drzwiach w celu wyrafinowanego dopełnienia elegancji Szczygła, w kącie bowiem przy drzwiach znalazłem jeden mankiet tego Petronjusza i wyraziwszy mu moje nieme ubolewanie, podałem mu go z niemą również uwagą, że jedynie najgorszy rodzaj ludzi składa wizyty z mankiem na lewej tylko ręce. Otworłem wreszcie pochód, raczej karawanę, bo za mną stąpił wielbłąd, niosąc na rękach, przytuloną do niego miłośnicie, największą naszą przyjaciółkę, słodką i najmiłszą Haneczkę.

V.

Haneczka powiodła jednakże Szczygła na zgubę, od dnia bowiem owej wizyty, miałem zaszczyt oglądać mojego przyjaciela dziwnie rzadko. Przesiadywał zwykle całe dni i znaczniejszą część nocy u naszej sąsiadki; ogromnie mnie to mało obchodziło i zupełnie na ten temat nie rozmawiałem ze Szczygłem, ponieważ połowę obowiązków spełniał sumiennie, choć nieco roztargniony, lecz zamiatał co drugi dzień apartament, przynosił i wynosił wodę i czasem prehandlował jakiś obraz, aby należy trybut wrzucić do kasy głównej.

Sąsiadka nasza, pani Jadwiga Zasielska, przyjęła nas z wielką atencją; poinformowawszy się zapewne przedtem u stróża o naszych nazwiskach, powiedziała nam parę przemitych komplementów, z których tego tylko można się było jasno dowiedzieć, że nie widziała ani jednego obrazu Szczygła i nie czytała ani jednej mojej książki, czemu też należy przypisać grzeczne jej wobec nas zachowanie. Opowiedziała całą historję z Haneczką po naszej pierwszej wizycie, bardzo lekko i zgrabnie

i wiele miłego o swojej ogromnej chęci poznania takich „znanych typów“. Mrugnąłem, słysząc o tych „typach“ na Szczygła, ale ten polinezyjczyk wpa-
trzył się w nią jak w tęczę i nie dostrzegł wy-
mownych moich uwag krytycznych; później słuchał
znowu historii lalki, którą mu opowiadała Haneczka,
na mnie więc, jako najbardziej cywilizowanego czło-
wieka, spadł obowiązek bawienia damy. Nie trzeba
było się jednak wysilać, pani Zasielska bowiem
miała w sobie coś z furczącej tokarni, z taką ła-
twością toczyła słowa i rzucała je w przestrzeń.
Dowiedziałem się więc bez wielkiego z mej strony
wysiłku, że pan Zasielski przeżył bankructwo i spot-
kał go los bankrutów honorowych, to jest kula
w łeb, ona zaś z dzieckiem powędrować musiała
na ten oto strych i pracować ciężko. Opowiedziała
te historie z całym szeregiem warjantów, które się
nie chciały jednakże z sobą zgodzić, jak się nie
chciała ze śmiechem, zaraz potem następującym,
zgodzić sieroca w jej oku łza, która się potoczyła
po jej twarzy prosto na grób męża, który uczciwie
zbankrutował. Daj mu tam Panie Boże, zdrowie,
lecz z tym mężem coś stanowczo było nie w po-
rządku, bo raz się zastrzelił w lutym, za pół godziny
w sierpniu, raz w głowę, raz znów w serce i gdyby
nie moja głęboka wiara, wiara w to wszystko,
o czem zwykła kłamać kobieta, mógłbym był po-
myśleć, że albo ten mąż miał rzadką właściwość

powracania z drugiego świata, aby się znowu zastrzelić, albo go też nie było na świecie. Co do tego nabrałem nawet wszelkiej pewności, nie dziwiąc się zbytnio, bo gdyby Haneczka nie była przez pół takim prześlicznym dzieckiem, jakim jest, to i tak zacnym chęciom matki, aby dziecku, jeśliby je miał prześladować najgłupszy wymysł obłudy ludzkiej, osłodzić złośliwość tej obłudy, należało wszelką przyznać słuszność.

Wrażenie czyniła nasza sąsiadka bardzo sympatyczne, poza tem jednym, że narzekała bezustannie na los, na ludzi i na wszystko i że za największą złośliwość losu uważała obarczenie przez dziecko. Wprawdzie niezmiernie je kocha, wprawdzie skoczyła by za niem z siódmego piętra, lecz miałem wrażenie, że zanim by skoczyła, poszłaby przedtem do fryzjera, aby uczesać loki. Patrzyłem więc z tem większem rozczuleniem na Haneczkę, tłumaczącą Szczygłowi tajemnicę kompletnego wytysienia lalki, odwróceniem zaś spojrzenia bynajmniej nie obraziłem pani Zasielskiej, bo ona przez cały czas rozmowy ze mną i tak nie patrzyła na mnie, czemu się bardzo nie dziwiłem.

W rezultacie zawiązaną została ścisła sąsiedzka zażyłość, z której tylko Szczygieł korzystał w zupełności, ja zaś jedynie pośrednio przez Haneczkę. Mieszkania nasze łączyły się przez sień i odtąd drzwi się nie zamykało, aby maleństwo mogło sa-

mem ich pchnięciem wejść do nas. Kochaliśmy to śliczne dziecko doprawdy, że bez pamięci, onò zaś nas całym sercem; zamykane dotąd w czasie nieobecności matki, odczuło całe wielkie szczęście towarzystwa takich starych, lecz dziecinnych jako my pajaców, a już chyba najbardziej zaślepiona matka nie mogła tak przepadać za dzieckiem własnym, jak Szczygieł przepadał za tem nieswojem. Zazdrosny był o nie do śmieszności i na cały dzień potrafił stracić humor, jeśli Haneczka ucałowała mnie pierwszego, potrafił zaś przez trzy dni nie jeść obiadu, aby czwartego móc Haneczce kupić słodyczy, lub nowe dla lalki warkocze, mniej zaś, zdaje mi się, malował teraz na wystawę do Salonu, więcej dla Haneczki, z portrecisty zaś zmienił się w rodzajowego malarza holenderskiej szkoły i dochodził mistrzowskiej wprawy w malowaniu świnki z zadartym ogonkiem jedną linią, psów, kotów, koni i ptaków, mniejby go zaś cieszył złoty medal, niż go cieszyło wesole, piskliwe, roześmiane, śliczne uznanie Haneczki.

Zdarzało się nieraz, że pani Zasielska niespodzianie, rano wyszedłszy, wracała dopiero późną nocą. Wtedy na nas spadał obowiązek karmienia i pielęgnowania dziewczynki, co się odbywało z obłąkaną radością, bo wtedy nie jedno, lecz troje dzieci rozbijało się po pracowni. Szczygieł karmił Hanię, ja zaś podłysiałą lalkę na wyraźny rozkaz

jej pani i musiałem jeszcze najczulszemi słowami przemawiać do drewnianej kukły, bo małpa jedna nie chciała jeść. Potem Haneczkę kładło się spać po obiedzie, my zaś chodziliśmy na palcach i nie rozmawialiśmy przez cały czas snu, czego przestrzegałem pilnie, chciałem bowiem umrzeć śmiercią naturalną, nie od uderzenia pięści Szczygła, który toczył groźnie oczyma na najmniejszy szmer i czasem tylko wzdychał z rozczulenia, patrząc na śpiącą dziewczynkę. W istocie, śpiąca szczególnie, była prześliczna. Czasem więc Szczygieł kilku pociągnięciami kredek przenosił ten promień twarzy na płótno i po przebudzeniu się Haneczki, pytał figlarnie ze śmiertelnym grymasem człowieka, chorego na skręt kiszek:

— A kto to?

Dziewczynka zdumiona odpowiadała:

— To Haneczka. Haneczka śpi!

Pod wieczór, znów nakarmioną, jak można było tylko najlepiej i senną, zanosił Szczygieł na rękach do mieszkania pani Zasielskiej i tam kładł małeństwo do jej łóżeczka. Pewnie jej przed snem opowiadał bajki, z czem się starannie przede mną ukrywał; siadał przy jej łóżeczku i nie ruszał się już potem, choćby pioruny były w próg. Wpatrzony w śpiącą dziewczynkę, coś tam pewnie w duszy gadał do siebie, bo oczy miał wtedy zawsze jakby przepełnione blaskiem i jakąś niezmierną, świętą dobrocią,

lecz nie śmiał nawet westchnąć. Tak siadywał godzinami, póki nie wróciła pani Zasielska, która mu z czasem nawet przestała dziękować za te usługi. Tego zresztą Szczygieł pragnął jak najmniej, bo bez wahania oddałby był majątek, gdyby go był miał, żeby mu tylko było wolno utulić do snu drogie maleństwo.

Takie wypadki nieobecności pani Zasielskiej zdarzały się coraz częściej; odpowiednio do tego nie było więc w domu i Szczygła. Zostałem tedy sam, albo jakby sam. Coś tam właśnie smażyłem na literackiej patelni, więc właściwie byłem temu bardzo rad.

Na strychowych szczytach naszych było tak cicho, jak na szczycie lodowca, chyba, że mróz trzeszczał, lub zadzwoniło coś w pustce; z prawej strony, gdzie mieszkał „on“, dochodziły długo w noc jakieś szmery; z lewej milczał w śmiertelnej niemocie Szczygieł przy posłaniu Haneczki, gwiazdy zaś w pogodną noc świeciły ponademną blade, jakby zamarłe na piekielnym mrozie. Nikt nie miał przyjść, ja nie miałem pójść do kogo. W takiej samotności człowiekowi się czasem zdaje, że na nic nie jest potrzebny, że się zabląkał na ten podgwiezdny strych, niewiedomo po co i że gdyby tu zamarł, nie byłoby ani dziury w niebie, ani by sobie nikt tem długo głowy nie zaprzętał. Wtedy się, niewiedomo czemu, pragnie łez i jakiegoś serdecznego żalu. Łza to jest

żywe stworzenie, które jest ciepłe, ma w sobie krew i żółć, zna jakieś tajemnice, bo narodzona jest w przepaści, więc się jej woła. To jest ostatnie żywe stworzenie, które nawiedza samotnego człowieka; najbiedniejszym przeto na świecie jest ten człowiek, którego opuściły już nawet lzy.

Bóg ze mną! Roi mi się coś smutno, choć wiem, że z jednej i drugiej strony są dokoła mnie żywi ludzie. To noc jest temu winna. Konająca wciąż i nie mogąca skonać lampa, nie jest w stanie odegnać mroku, który pełza ze wszystkich stron, jak plugawy zwierz, który się czai i pełza; przytem mieszkanie nasze powykręcane, pełne załamań i zakamarków, przypomina smoczą pieczarę, w której coś niesamowitego mieszka i coś niesamowitego co nocy na nowo się leże. Szczygieł dawno już mówił, że w tem mieszkaniu coś straszy. Zdaje się, że słusznie powiadał, bo mi ni stąd ni zowąd zaczyna bić serce i pot mi wychodzi na czoło; lecz to jedno jest dziwne, że strach nie z zewnątrz przychodzi, lecz z wewnątrz, gdzieś z pod żeber i pnie się ku sercu, potem aż do gardła sięga i do mózgu, bo się nagle wszystko dokoła poczyną kręcić i drgać w oczach, razem z tą suchotniczą, przerażoną lampą. Trę tedy dłonią czoło, jakbym chciał z głowy wytrzeć ten nieznaną lęk, niewiadomo przed czem. Przed tem zapewne co ma być, to bowiem, co było, nie było straszne, lecz chyba

dziwne. Dość dziwna historia krótkiej wojny z tem, co szarzało z prochu, jak proch szare, płaskie, jak ziemia, rozrastające się, jak grzyb pod podłogą. Nie, to właściwie nie było dziwne, to było wesołe, och i jak wesołe! Wywiesiliśmy sztandar, pomalowany na kolor krwi, huczny i buńczuczny, taki pełen dostojności jak chorągiew Proroka; zaśpiewano: sztuka rodzica, dziewica! — i w szyku zwartym, pysznym, dumnym, z wieńcami na głowach, szła przed siebie armja zbawienia. Każdy miał w oczach, jak w sajdaku wiązkę piorunów, a na uściech pogardę. Pochód miał obejść całą ziemię dookoła i palić i niszczyć i siec i razić widokiem samej chorągwi, od której wicher, co nią łopotał, przybierał barwę serdecznej krwi. Dziewice wychodziły nago tym, Cydom na spotkanie i każda chciała się oddać, by urodzić bohatera i półboga. Strach padł na wszystką ziemię, a w posadach drżały kościelne wieże, albowiem stało się, co było przepowiedziane w świętej malignie Apocalipsis i z hukiem miała pęknąć straszliwa pieczęć tajemnicy, pierwsza z siedmiu. Tak było i byłoby się stało strasznie i byłoby się miało pod koniec starożytnemu światu, gdyby popas tej armji, co szła z łap smoczych uwolnić najczystsza dziewice, sztukę, nie był wypadek w narożnej knajpie. Wtedy sztandar, który miał serdeczną barwę krwi, ochrzčili z koniaku i sodowej wody i powiedzieli sonet do narodu. Opadł od

krwawego płótna wichr i padł ciężko w proch, jak orzeł po strzale, przeto sztandar obsiadły wróble, aż się zwinął boleśnie i drżał od wielkiego wstydu...

Czasem, bardzo rzadko, zabłąkał się do tawerny cichutki jęk... Wtedy wszyscy stawiali oczy w słup, a ktoś, bardzo blady, mówił: Ona płacze! — Należało tedy podnieść srogi wrzask i śmiech, aby nie było słyhać, jak gdzieś daleko wśród gruzów, na pustkowiu „ona płacze“; i wtedy narodził się śmiech, najdziwniejszy, jaki być może, bo rzucony w oczy ludzkie, pali je, jak kwas siarczany, wepchnięty w usta, dławi, ciśnięty w powietrze, zaraża je, jak mór. To się djabli śmiali, nie ludzie. Śmiech ten łopotał i tłukł się po ciasnym, zadymionym lokalu, jakby całe wojsko nietoperzy.

I wszystko było śmieszne; i niebo i ziemia, i słońce i ludzie, wszystko święte i wszystko nieświęte. A żabi rechot z ludzkiego bagniska odpowiadał chórem.

Kiedy nie było już skąd wziąć garści tego śmiechu, wtedy wpadliśmy na doskonały pomysł ośmieszenia własnego serca. Aż dziw, że taki wynalazek cudowny tak późno przyszedł do głowy młodej, szalonej, luciferowej, pełnej buntu, błyskawic i oparów z wódki. Aż dziw... Więc się brało serce w ręce, i doprawdy, niema nic śmieszniejszego na świecie nad widok tego kawała mięsa, co drażnione myślą i słowem, urąganiem i kłatwą, woła-

niem i pogardą, — kurczy się i drży, łka i wyje, albo umiera śmiesznie, śmiesznie, śmiesznie. Sobie z tego piekielna rozkosz, a narodowi radość. Och, takie serce, jest jak dziecko, małe, dobre, śliczne dziecko, co stroi grymasy.

Dziwnie jest jednak męczącą ta niewinna zabawa, bo ten i ów, widocznie z przesytu śmiechem, nagle jakby kto nożem ciął, przestawał się śmiać i chyłkiem idąc, popod mury, jak rzezimieszek, pelzał do swego legowiska. Czasem to go naza-jutrz wynosili i wtedy jeszcze śmieszył ludzi, bo miał grymas ust tak potwornie wesoły, że się trudno było wstrzymać od śmiechu; śmieszny człowiek powinien, chociażby dla ugruntowania dostojności śmiechu, być wesołym nawet po śmierci.

U niektórych zaś skutki tego wesołego rozchęt-stania były zgoła nieoczekiwane, ten i ów bowiem przechodził nagle od radości do religijnego opętania, nie można sobie bowiem wytłumaczyć Inaczej bez-nadziejnego szepotu, który ciągle kogoś wzywał i ję-czał cichutko: „Jezus Marja! Jezus Marja!“ Była to jakaś nowa forma radości, tylko dziwaczna, równie niesamowita, lecz rzadziej praktykowana, następo-wała zaś po krótkiej, niespodzianej chwili, kiedy się cały świat ze wszystkim na nim, zakreślił w oczach i nagle czyniło się w oczach tak ciemno, jakby na-wet nadzieja słońca zagasła. Wtedy człowiek, tak nawiedzony, wykonuje śmieszne ruchy, bo się chwytą

ręką właśnie za serce, za sponiewierane i oplute serce. A wtedy ono mówi najcichszym szeptem: Jam jest, którem cię wywiodło z ziemi egipskiej...

Raz mi się zdawało, że oszaleję, ktoś bowiem całą noc rozmawiał ze mną i mówił do mnie, a ja oto miałem zaciśnięte wargi. Zdawało mi się, że to drobny deszcz pluszcze za oknem, albo cisza dźwięczy, albo gdzieś daleko zamierającym u drzwi moich szmerem gada do mnie miasto. A ktoś szeptał i szeptał, choć nie było słyhać słów. Szept był radosny i pewnie o czemś mówił radosnem: noc położyła mi miękko ręce swoje na oczy, więc pewnie dlatego, z wdzięczności za pieśczętę, jakiej nie ma równej, popłynęły z nich łzy. Wtedy to w wyznaniu najcichszem, co wszelki grzech przenikliwym szeptem samym zabija, kajałem się przed kimś, co twarz miał zakrytą, może dlatego, aby mnie nie porazić blaskiem oczu; kajał się ojciec, który za włosy darł i w oczy pluł własnemu dziecku, a ono bezbronne, cichym skowytem łkania, skarżyło się serdecznie. O serce moje, serce!

Jedno mi z owej nocy zostało; uśmiech, ten dobry i szczęśliwy, na który wielkiem trzeba zapracować cierpieniem; nie wypracowałem go bólem i nie wysłużyłem u męki, lecz w czas się opatrzywszy, znalazłem na samem dnie serca, które już we mnie marło, przerażone owym śmiechem dzikim i strasznym, co miał zagłuszyć rozpacz, wy-

pełnić pustkę, zabić nudę, przerazić świat i ludzi, śmiechem obłądnym, którego się boi nawet śmierć, przyjaciółka ludzi, co się śmieją pogodnie.

Chciałem uśmiechem tym jednym zacząć chleb, ze słodkich najslodszy, aby nim karmić, chciałem wyzłocić nim wodę, aby się w złote zamieniło wino, lecz chleb miał w sobie gorycz, a wino truciznę, nie można bowiem czynić cudów bez wielkiej wiary i miłości, wtedy bowiem cudotwórcą byłby każdy kuglarz, co podrzuca w górę tęczowe kule słów, zaklina w oczach ludzkich łzy, pokazując im swoje, nanizane kunsztownie i sposobem tajemnym fakirów przebija sobie serce nożem, nie cierpiąc.

Straszliwy wtedy cierpiałem głód nienasycony, zły i dręczący i zachłanny: chciałoby się pożreć i las i powietrze i wodę i wicher, aby się to wszystko rozszumiało huraganem w przepaści serca, aby było piorunem w każdą myśl nienawistną i aby na żywym paliło ogniu duszę młodą, szukającą swego Boga, niepodobnego do żadnego wizerunku, do żadnej legendy, do żadnego hymnu i w nim się potem rozplynać w śmiertelnej ciszy, wśród której najbardziej tajemnicze dzieją się sprawy. Na dziwną byłem chory chorobę i czyniłem, jak taki chory zawsze czyni: w każde wierzyłem lekarstwo. Powiedzianem jest: „cierpienie oczyszcza duszę“, lecz na to trzeba wielkiego cierpienia, człowiek zaś do niego nie jest

zdołnym. Trzeba być bogiem, żeby umieć cierpieć bardzo; człowiek zaś ucieka przed wielkiem cierpieniem albo pod dach spokojny szaleństwa, lub pod spokojniejszy jeszcze dach śmierci. Bóg przezornie nie nauczył człowieka znoszenia niezmiernego cierpienia, albowiem wtedy wyrósłby pod niebo w niezmiernej pysze anielskiej, świat bowiem wydałby mu się małym, jak ziarnko piasku, które w przepaść leci, spokojnie, jak rachunek. Człowiek nauczył się czcić jako świętych tych, co cierpieli maluczko, więc go mądry rządca świata nauczył małych tylko cierpień i małych radości, sercu zaś kazał ludzkemu, aby pękło, kiedy się nań zbyt wielkie zwali cierpienie, lub kiedy zbyt wielka zwali się nań radość, sobie warując prawo boskie Ogrojca i Raju.

Śmieszne tedy jest cierpienie ludzkie i moje było takim, kwilenie dziecka, które ma wzruszyć słońce. Owe cierpienie z grubej wyciśnięte książki i tego nigdy nie było warte, by się nad niem zadumać, nie było warte jednej uczciwej łzy matki, tulącej dziecko umarłe; owe tedy cierpienie rymowane, owe drogi krzyżowe przez stacje strof poetycznych, owe zgrzyty i jęki i płacze, wydają się jak cebula księdza Baki, środek niezawodny do wyciskania łez.

A wielkie widmo cierpienia, rozpięte na niezmiernym krzyżu gwiazd, ponad światem gdzieś wisi; czasem oczy otworzy, na udreconą ciźbę

ludzką patrząc i wtedy się na ziemi zdaje, że dzień jest dziwnie smutny, choć świeci słońce i na jedną chwilę wszystkie serca ludzkie przestają bić i wielka jakaś trwoga na jedną błyskawiczną część sekundy chwyta za gardła ludzkie i ciśnie. Taka ponad światem przeszła chwila, kiedy Chrystus Pan ostatnie wydał tchnienie.

Stąd się rodzi lęk, co się po świecie tuła i w dnie śpi, nocą zaś wypęta z zaułków jak z pieczar i w oczy zagłada. To jest jakoby szept tego czegoś, co się ponad ziemią waży, jak niezmierny ptak i wobec czego wszystko ludzkie jest małe i drobne. I śmierć ludzka jest mała, chytra, podstępna, pelzająca chyłkiem, nie śmiejąca zajrzeć w oczy, trwożąca się jęku. I wszystko jest pył i tchnienie... Prócz serca, prócz serca... Są bowiem talizmany z kruszców najdroższych, malutkie i znikome, zamknięte czasem w drobnym, szmaragdowym oku pierścienia, co w proch kruszą najpotężniejsze czarne siły merlinowe. Oto ono jest takim, ten w człowieku okrucz słoneczny, nieśmiertelny i wietrzysty, któremu daną jest najbardziej tajemnicza władza: moc przecucia Boga. Otrzeć się więc o nie potrzeba, by odegnać siłę nieczystą, która wątpi i truje, uczy truciznę rzucać w studnie i goryczą zaprawia chleb, która milczy, nie uśmiecha się nigdy i nigdy nie śpiewa. A ono, serce, jak pajak złocisty przedzie z siebie złoty blask, który przez

oczy pada roześmiane na pole i na las, na wody i na proch ziemi, aby się wszystko okryło zielenią i kwieciami, aby ożyło w wielkim szumie i w nieziemskim blasku na radość ludzką i na ludzkie szczęście... O, gdzież jest uśmiechu bez goryczy, słowo bezgłośne, uprzedzione ze słonecznego promienia, uśmiechu, który syci i poi, który leczy rany i uczy miłości!? Jeśli jest we mnie, wynijdź przez źrenicę które oczyszczone są przez łzy, abym błogosławił ziemi i ludziom... Albowiem ani cierpią, ani są szczęśliwi, lecz gnani z kąta w kąt, idą, nie wiedząc dokąd i nie wiedząc, kiedy im każe legnąć śmierć, w zegar patrząca... Umarł we mnie śmiech pusty, który oszalał z rozpaczy na widok przepaści, zatrul się żądłem własnym jak w legendzie skorpion, kiedy stanął w środku ognistego wieńca słów, rozpalonych do białości, skąd nie było wyjścia... Umarł i pogrzebion... Umarł we mnie nędzny smęt, nad dolą swoją płaczący... Umarł i pogrzebion. Obułem tedy nogi w sandały i trzeba mi iść na deszcz i słotę, aby, największą głosić wszystkim nowinę, że odnalezionem zostało serce ludzkie w szumie wód i w jęku rodzącej ziemi, w błysku spadającej gwiazdy i w porykiwaniach wichru pod kopułą najświętszego kościoła ziemi: odwiecznego lasu. Odnalezionem zostało i uśmiecha się przez oczy ludzkie tym uśmiechem, co odegna lęk i zmorę i nieszczęście i złudę i wszystko temu podobne, co

rośnie chwastem wśród złocistych, ciężkich kłosów żytnich.

Więc wypatruję zmęczonemi oczyma tego źródła wody czystej i leczącej, która młodości mojej młodość powróci, a z drobnych mąk, z różańca skarg, z litanji westchnień, z przedziwa tęsknot, z ognia pragnień, z mgły smutku, wysnuć bym pragnął jedno: uśmiech dobry, co kocha i przebacza, uśmiech, co jest jak ziarno złote i słowo mądrości. I wtedy będę szczęśliwy. Każde moje słowo nim napoję i każde będzie leczyć i cieszyć; pomażę nim jak olejem świętym myśl każdą, najbiedniejszą i najlichszą, a skrzydła jej wyrosną i lecieć będzie ponad szarością ziemi, błogosławiąc.

Jeśli by za uśmiech ten, który oczy sokratesowe w dwa zmienił słońca, trzeba zapłacić nędzą i głodem — obym zawsze był głodny! A jeśli go kupić można śmiercią, tedy bym chciał, abym umierał długo w tłumie ludzi, by każdy mógł go ujrzeć w oczach moich gasnących. Jeśli zaś matką jego jest miłość, gotowe do niej jest moje serce proste i gotową jest moja biedna dusza, niemocna i cicha, pragnąca skrzydeł od wschodu do zachodu słońca, a pełzająca przy ziemi... Niech padnie na mnie wielka, największa miłość, niech wypije moje oczy, niech się sercem mojem nakarmi i z całego niechaj mnie zmieni w jeden miłosny dźwięk, w jeden błysk i płomień, w cień, lub w swoje echo, że się stanie

dusza moja jak biała chmura, którą ku słońcu pędzi ten wicher, co niósł duszę Franczeski i Paola.

Biedne są słowa moje, więc nie słowami mówiłem, co mówię, lecz oczyma, bo mi się nagle stały wilgotne i w powiciu tęczowych pasm wirowało ze mną wszystko dookoła, cała szarość i nędza nasza, z której mi się nagle wyłoniła długa postać Szczygła.

Wszedł widocznie bardzo cicho, bom nie słyszał otwierania drzwi i przystanął z daleka. Otrząsnąłem się z dziwnych myśli, których mrok uczy i które podpowiada samotność i rzekłem, aby coś rzec:

— To ty Szczygiel?

— Ja.

— Późno już?

— Nie wiem, pewnie późno.

Głos Szczygła był wcale zbolaty i widocznie przyjaciel mój boleśnie nad czemś rozmyślał, bo powiada ni stąd ni zowąd:

— Wszystko zresztą jedno!

Był to, jak na Szczygła, aforyzm zbyt głęboki, rzecz tedy prosta, że był wynikiem jakiejś nadludzkiej tragedji, która się odbywała w szlachetnem jego wnętrzu. Bez kataklicznego powodu Szczygiel tak mądrych rzeczy nigdy nie gadał. Usiadł w ciemnym kącie i ćmił jakiegoś obrzydliwego papierosa. Milczeliśmy długo, każdy na swój temat. Nagle

Szczygiel porwał się, uderzył pięścią w stół i krzyknął bez najmniejszej ku temu przyczyny:

— Cholera, nie kobieta!

Spojrzał w moją stronę badając, czy sprawił na mnie wrażenie obłąkane, ponieważ jednak uśmiechnąłem się blado, dodał impertynencko:

— I ty także!

I poszedł spać.

VI.

Właściwie nie mogłem spać długo tej nocy, bo mimo tego, że mi wcale nie było do śmiechu, nie mogłem się od niego powstrzymać, Szczygieł bowiem tej nocy był nieporównany; nie wiem, co mu się tam stało, lecz postanowił udawać nieszczęśliwego, pewnie z miłości, bo innego powodu nie było. Wiedział, że nie śpię, bo od czasu do czasu zapalałem papierosa, wobec tego urządził ten szympanśkie całe przedstawienie, bo najprzód zaczął dziwnie smutno wzdychać i przewracał się na łożu, jakby był na torturach, kiedy mnie to zaś nie bardzo wzruszyło, począł jęczeć i to tak smętnie, jak gdyby mu ktoś w sercu wiercił czemś tępem. Przyłożyłem twarz do poduszki, aby się nie roześmiać, bo by mi tego nie darował, przypuszczałem zaś, że to jest jakaś straszliwa męka serdeczna z racji pani Zasielskiej, na którą Szczygieł ostatnimi czasy patrzył nieprzyzwoicie zachłannie. Ponieważ mi się nie zwierzał, nie chciałem o nic pytać, aby nie włączyć w jego miłosne tajemnice; wiedziałem jednakże doskonale, że ten cały jęczący koncert teraz w nocy

jest po to, aby mi się mógł zwierzyć, bo pewnie potrzebował jakiejś rady. Postanowiłem jednakże milczeć, chcąc go zmusić, aby zagadał po ludzku, a nie jęczał, jak podrzutek pod bramą. Pojęczał tak z pół godziny, tak że się zacząłem obawiać przejścia do ryku, któryby był zbudził całą kamienicę, znudziło mu się to jednakże wkońcu, bo parę razy ulżył sobie dość głośnym okrzykiem na temat: „Psie życie!” albo wypowiedzeniem kilku odwiecznych, głębokich prawd w tym rodzaju: „Raz kozie śmierć!” — „Było nie było”, — „Co tu dużo gadać?!” — odwrócił się na lewy, serdeczny bok i chrapać począł, jak zepsute organy.

Szczygieł wogóle jest stylowy i słyszał pewnie, że ludzie zakochani, mało, wcale, lub źle śpią, gryząc zębami schorzałe serce, bo i miłość jest pewnie przez to większa i bardzo z tem człowiekowi ładnie. Nie był jednak wytrenowany i spał, jak zabity, dawszy jęczący wyraz swojej znajomości miłosnych tradycji. Nazajutrz rano, spojrział na mnie z podelbą, wzrokiem morderczym, którym ugodzony byk nie miałby czasu westchnąć i padłby, jak rażony piorunem; potem nie pytany powiada:

— Źle spałem...

— O, o! — zdumiałem się szczerze, a Szczygieł uczynił groźny krok w moją stronę i rzekł głucho:

— Nie wierzysz?

— Wierzę, wierzę, ale mi się zdawało, żeś się przez sen uśmiechał.

— Ja? ja dziś przez sen płakałem: — powiada mi ten dziwny stwór boski, — a czemu, to moja rzecz...

Pokręcił się chwilę, potem mnie zdumiał tak, jak nigdy w życiu, wszystkiemu się bowiem mógł spodziewać, tylko nie tego, com usłyszał. Szczygiet długo się nad czemś zastanawiał, strojąc straszliwe miny, potem mówi:

— Pożycz mi swego pióra.

Jezus Marja! a temu co się znowu stało? Spojrzałem na niego, czy nie chory, bo gdyby był poprosił o maszynę do szycia, o żelazko do prasowania, o lunetę, o monokl, o co kto chce wreszcie, rzecz byłaby zrozumiała, bo i małpa może znać sposób używania tych przedmiotów, lecz pióro w rękach Szczygła to był miecz w rękach szalonego. Niczem się ten człowiek tak nie brzydził, jak właśnie piórem, a bezmiaru pogardy z jaką patrzył na moje pisanie, język ludzki nie wypowie. Tą samą zresztą pogardą darzył wszystko, co nie jest pędzlem: pióro, diuto, pastorał, berło. Teraz nagle zażądał pióra.

— Ha! — myślę, — trudno! warjaci mają najmniej prawdopodobne zachcenia.

Pytam go jednak na wszelki wypadek:

— Eustaszku, będziesz pisał?

— Nie używam pióra do czyszczenia zębów,
— odrzeczł Szczygiel.

— Bardzo dobrze, a cóż ty będziesz pisał?

— Testament, albo wiersze, co mi się podoba.

— Słusznie, słusznie! Masz pióro, tylko się nie skalecz; trzyma się je w palcach, tak jak pędzel, a od czasu do czasu trzeba je umoczyć w atramencie. Aha! I nie przyciskaj zanadto, bo papier podrzesz. Szczygiel.

— Co?

— A czy nie lepiej będzie, jeśli to samo namalujesz? To znacznie łatwiej.

— Namaluję ciebie, ale na katafalku.

— Niech ci Bóg zapłaci, przyjacielu. Masz pióro.

Szczygiel wziął je jednak ostrożnie i z nabożnym lękiem; przypatrywałem się temu szczerze rozradowany, jak biedaczysko przygotowywał się do pisania, widocznie do pisania listu, bo duży arkusz papieru złożył wedle listowego formatu i okroił go dookoła scyzorykiem, bo brzegi były „cierpane“, ale wskutek rozdarcia; zasiadł potem przy moim stole, jednym wdzięcznym i łagodnym ruchem ręki zgarnął z niego na ziemię wszystko, co na nim było, przytrzymawszy drugą jedynie kałamarz, widocznie więc list miał być zamaszysty i Szczygłowi trzeba było dużo miejsca.

Po chwili nie odwracając głowy, pyta:

— Co dziś za dzień?

— Dzień, w którym nas obu Bóg stworzył, —
odrzekłem, — niedziela!

Szczygieł się odwrócił zdumiony:

— Jakże to może być niedziela?

— Z porządku rzeczy, wedle przyjętego ogólnie
zwyczaju i wedle układu z niebem.

— Przecież „on“ dzisiaj nie gadał, jakże może
być niedziela?

Szczygieł mówił słusznie; nie zauważyliśmy
nawet, że już dzwony kościelne dawno umilkły,
a „on“ wedle zwyczaju nie uczcił święta wygłosze-
niem mistycznej swojej antyfony. Zdumienie nasze
nie miało granic; nabożeństwa te z poza ściany
odbywały się z najdokładniejszą punktualnością
i pedantycznie, dzień dzisiejszy od kilku miesięcy
był wyjątkiem. Na nic innego nie bylibyśmy zwró-
cili uwagi, lecz ten nasz sąsiad z prawej strony był
dla nas kimś bliskim i coś nieuchwytnego nas z nim
łączyło; obdarzyliśmy najserdeczniejszą sympatją
tego nieznanego samotnika, którego nie widzieliśmy
ani razu; ciekawi z początku, staraliśmy się później
raczej go unikać, niż spotkać, aby jakaś zwyczajna,
szara postać nie zepsuła nam tego, cośmy sobie
w rozwichrzonej fantazji naszej wykoncypowali.
Widzieliśmy, że ten ktoś żyje dziwnem życiem
i to nam wystarczyło; słyszeliśmy raz, lub dwa razy
w tygodniu miły jego głos i nagle stało się nam

nijako, że dziś, w niedzielę, ten eremita, jak go Szczygieł nazywał, zapadł w ciszę. Spojrzeliśmy sobie w oczy w niemem pytaniu, lecz żaden z nas nie mógł objaśnić drugiego, jednakże uczyniło nam się smutno i myśl o tem, zbudzona spostrzeżeniem Szczygła, już nas nie chciała opuścić.

Zajęliśmy się swoją pracą poranną, więc Eustachy począł podejrzaną białość papieru listowego plugawić podejrzaną purpurą swego osierdzia, ja zaś, ponieważ moja była kolej, krzątałem się koło gospodarstwa i począłem zaczynać w niem kwaśny nasz żywot codzienny; na razie miałem do spełnienia dwie prace heraklesowe: musiałem rozpalić w piecyku i wyrąbać lód z miednicy, w której woda przez noc zamarzła.

Praca pierwsza była trudniejsza, gdyż serce naszego apartamentu, żelazny mały piecyk na trzech nóżkach, mrugający jednym krwawem, przez pół pękniętem okiem z miki, było to narowiste bydlę, któremu z paszczy wyrastała potężna rura z blachy; rozpalenie w nim ognia należało do czynności prometejskich i wymagało nietylko znajomości fizyki, lecz głębokiego zaznajomienia się z psychologją tego złośliwego sprzętu. Humor naszego pieca zależał przedewszystkiem od stanu atmosferycznego; wiatr północny wprawiał go w wezuwjużsowe szaleństwo, gdyż wpychał mu z powrotem w gardziel blaszaną wszystek dym i czad, którym on z kolei

rzygał na nasz apartament; wyglądaliśmy wprawdzie w obłokach dymu jak olimpijscy bogowie, lecz nie było takiego przekleństwa, któreby wówczas nie padło na umorusany, zakuty łeb naszego pieca. Czasem żelazny zwierz ten odmawiał posłuszeństwa bez najmniejszej racji i nie było wtedy ludzkiego sposobu, aby go nakarmić ogniem, wszystko bowiem gasło i gasło. Podczas długiego z piecem tym obcowania, poznałem wszystkie jego chimery i wszystkie upodobania; otóż przekonałem się, że najłatwiej rozpałał się w nim ogień, kiedy się drewnienka osmolilo wierszami; piec wpadał wtedy w szal radości i siał zniszczenie neronowe. Można w nim było także podpalać słomą z siennika, czego nie znosił, lub gazetami, co do tego jednakże czynił rozmaite zastrzeżenia. Najlepiej było z rozpaleniem za pomocą gazety antyklerykalnej, lub antysemitycznej; tygodniki literackie doprowadzały go do obłędu, swąd zaś i dym z tych pięknych pism przewracał mu widocznie we łbie, bo zawracał wtedy swoim krwawem okiem i klął złym płomieniem, skwierczał, jak dusza na mękach i na dymach i na czadzie się kończyło. Największą jednak mieliśmy z mądrym i łajdackim piecem naszym zabawę, kiedy w braku gorszej makulatury usiłowaliśmy wszcząć w nim pożar, używając jako podpałki — kobiecego tygodnika. To był kres wszystkiego, zasię w oku

z miki naszego pieca rozlewała się niezgłębiona, przeraźliwa rozpacz; wydawał on wtedy z siebie głosy piekielne, wśród których był rzewny płacz i narzekanie i jęk i taka serdeczna prośba o litość, że się serce krajało; od prośby przechodził do gróźb, kiedy mu się mimo tego wtykało w gardło papier, zadrukowany kobiecą maligną, drżał na swoich nóżkach i widocznem było, że raczej skona, niż to wszystko przelknie. Był to nadzwyczajny rys charakteru, który nas napawał dla naszego pieca szacunkiem; on znał nas, myśmy go znali również dobrze i mimo jego obłądów, łączyła nas szczerą przyjaźń. Szczygieł szczególnie kochał ten żelazny piec, to nasze rodzinne ognisko, w którym mieszkał dobry genjusz naszego domu i marzył razem z nami nawet we wnętrzu pieca. Szczygieł bowiem umiał doskonale rozmawiać z tem żelaznem indywiduum, do którego ja z mniejszą odnosiłem się czułością.

Dałem właśnie z całej siły płuc w jego wnętrze, ręce ukrywszy w kieszeniach, bo zimno tego dnia było haniebnie, w chwilach zaś odpoczynku obserwowałem Szczygła, który się zachowywał z nadzwyczajną godnością i podkreślaniem wszelkich póż, potrzebnych przy literackiej robocie; ponieważ widział, że czasem podczas pisania powstają od stołu i szukając czegoś w głowie, przechodzę kilka razy w zamyśleniu od jednej ściany do drugiej, czynił teraz to samo i spozierał na mnie z pod oka, ba-

dając, czy zauważyłem jego wewnętrzną rozterkę i niepokój jego, jakiś ciemny i niesamowity. Usiadł potem nagle, chwycił pióro i godził nim, — ha! — jak husarską kopją w biały arkusz, który wciąż jeszcze był białym. Wreszcie po długich męczarniach, podczas których musiało mu pęknąć najmniej siedem razy rozżalone, wspaniałe serce, — coś tam nagryzmolił. Widać jednakże, że tę epistolę serdeczną ryje żelaznem ostrzem, raczej dla ambicji i pochwalenia się przedemną, niż z koniecznej potrzeby, równocześnie zaś myśli uporczywie o tem, o czem i ja myślałem, patrząc w oko z miki naszego pieca, czy wreszcie krwawo nie błysnie, bo w jednej chwili spojrzeliśmy sobie ze Szczygłem w oczy i wiedzieliśmy, w czem rzecz.

Długie lata nieodłącznej przyjaźni i brudne skąpstwo mego przyjaciela w szafowaniu uczciwem ludzkim słowem, nauczyło nas tajemnej rozmowy oczyma, więc zrozumiałem i teraz, że obaj jesteśmy niespokojni o naszego sąsiada, który z nieznanых nam powodów zamilknął. Powiadam więc Szczygłowi:

— Możeby tam pójść?

— Trzeba, — odrzekł Szczygieł, — bo to dziwne.

— A może go niema?

— Jest, słyszałem raniutko szmery. Trzeba pukać.

— A jeśli nie otworzy?

— Trzeba wejść, bo jeśli umarł, to sam nie otworzy.

Głębokość tego dowodzenia była tak widoczna, że nie było na to co odpowiedzieć; skończyłem więc z trudem rozpalanie w piecu i rzekłem:

— Wszystko jedno, chodźmy...

Zauważyłem, że obaj byliśmy mocno wzruszeni, naprawdę dziesięć razy więcej, niżli wtedy, gdyśmy po raz pierwszy szli z wizytą do pani Zasielskiej. Nie było w tem nic dziwnego. Każda kobieta jest do drugiej podobna i żywoty ich są mniej więcej do siebie podobne, teraz zaś nie wiedzieliśmy, kogo zastaniemy za tą ścianą; wiedzieliśmy, że jest to ktoś, co ma dziwne przyzwyczajenia, lecz mógł to być manjak religijny, zdziwaczały uczony, kiepski poeta, co kto chce, warjat lagodny, lub furjat; mniej jednak byliśmy ciekawi, więcej wzruszeni, bo właściwie każdy z nas znał jego twarz, bo ją sobie wymalował w wyobraźni i był dla niego usposobiony serdecznie. Serca w nas żywiej uderzyły, kiedyśmy stanęli pod drzwiami trzeciego z kolei strychowego apartamentu; na drzwiach nie było żadnej tabliczki jak i u nas zresztą, bo w tych górnych regionach kamienicy, w pasie wiecznego śniegu, wymysły takie są niepotrzebne.

Nasłuchiwaliśmy przez chwilę pod drzwiami, żaden jednak szmer nas nie doszedł. Spojrzałem na Szczygła z zapytaniem, czy zapukać?

— Tak! — szepnął.

Zapukałem więc lekko w drzwi i znowu poczęliśmy nasłuchiwać.

Nikt nie odpowiadał; zapukałem więc poraz drugi, szybko zaraz potem ręce ukrywszy w kieszeniach, bo zimno na schodach było przeraźliwe, od kilku dni bowiem siny, bladooki mróz zmieniał wszystko na kość. I znowu nikt nie odpowiedział.

— Niema go! — szepnąłem.

— Jest! — odrzekł mi również szeptem Szczygieł z dziwnem przekonaniem w głosie, — poczekaj, ja zapukam.

Uderzył w drzwi silnie, kołacząc i wtedy ujrzeliśmy ze zdziwieniem, że drzwi nie są zamknięte, bo lekko skrzypnęły, ustępując pod naporem pięści Szczygła; na krzywych osadzone zawiasach otwały się powoli już same, my zaś staliśmy na progu zmieszani i niemal przerażeni naszym gwałtownem najściem; należało jednak wejść, co też uczynił najpierw Szczygieł, ja zaś poszedłem za nim. Jeden szybki ciekawy rzut oczu obznajomił nas ze scenerją tego najbiedniejszego mieszkania, jakie widziałem w życiu mojem, nasz bowiem apartament, równie był biedny, lecz mnóstwo obrazów i szkiców i różnokolorowe malarskie fatalaszki Szczygła, czyniły z niego pałac w porównaniu z tą nieszczęsną izdebką pod dachem, mającą ściętą powałę i naprzeciwko drzwi małe okienko jakby bielmem zasłę, tak było

zasnute szronem, z jedną szybą wybitą, której miejsce zastąpiły jakieś szmaty, w kłębek zwinięte.

Przy ścianie sąsiadującej z naszym apartamentem, stało coś, co było przez pół stołem, przez pół ołtarzem, nakrytym nieznanego koloru kapą, założonym książkami, z których jedna otwarta leżała na wypłowiałej poduszce, z niej zaś przez jeden róg wyłaziły heblowiny. Wyglądała ta księga jak Ewangelja na ołtarzu podczas mszy. Drewniany, biały krzyż i świeca mizerna, łojowa po każdej jego stronie, czyniły sprzęt ten podobnym do cichego, biednego ołtarza, takiego, który Bóg najwięcej kocha i nad którym unosi się zawsze. Wizerunek Ducha św. zastępował wizerunek Białego Orła, wymalowany na czerwonej jakiejś, porwanej i postrzępionej na brzegach chuście, rozwieszanej na ścianie; była to jedyna ozdoba tej izdebki, lecz tak w ponurej biedocie swojej dostojna i tak w dumie swojej wzniosła, żeśmy przez chwilę wzroku od niej nie mogli oderwać.

Opodal stało krzesło i coś na kształt ławeczki, na której leżały rozmaite narzędzia stolarskie w niewielkiej ilości i kilkadziesiąt drewnianych zabawek dziecinnych, prymitywnie i surowo wykonanych. Były to takie biedne zabawki, które czasem jakiś stary człowiek sprzedaje, przystanąwszy na rogu ulicy i demonstruje przechodniom niewymyślny dowcip ich ruchów. Te były właśnie takie, więc

na każdym końcu malej deseczki wyrzeźbiony scyzorykiem niedźwiadek, który huśta drugiego, i w chwili, gdy się nachylił, uderza młotkiem drewnianym w drewniane kowadelko; taki sam ruch wykonują na innej deseczce dwaj żołnierze, na innej dwie kury dziobią znów kawałek drewnianka.

Przy ścianie przeciwległej „naszej“ ścianie, stało łóżko, z rodzaju tych, na których człowiek kona zwykle całe życie i umrzeć nie może, biedne, drewniane, ledwie zbite łożo.

Na łóżku siedział „on“.

Plecami był zwrócony do nas i oparłszy głowę o ścianę, patrzył w okno. Widocznie nie wstawał dziś jeszcze, lecz to było dziwne, że siedział w łóżku zupełnie ubrany. Nogi miał nakryte jakąś nieszczęsną kołderką, która z trudem trzymała się własnej całości, górna zaś część ciała przybraną była w paltot z podniesionym kołnierzem. Zrozumieliśmy szybko ten dziwny strój, niezwyčajny w łóżku, poznawszy temperaturę tego mieszkania: na dworze musiała być Riwiera przy dwudziestostopniowym mrozie, wobec tej lodowatej atmosfery, od której zdaje się, sprzęty skrzepły i ściany się niesamowicie szkliły. Piec tu był podobny do naszego, lecz był to wulkan przed wiekami wygasły; wiało tu od okna, od powały, od podłogi, zewsząd, zrozumieliśmy więc, że jedyną ucieczką tego nieszczęsnego „eremity“ było łóżko.

Zdjęła nas taka litość, że mnie się wyć chciało. Szczygiel miał w oczach łzy. Nie było i nam dobrze na świecie, lecz pal licha! — było nas przynajmniej dwóch, młodych i zdrowych, ten zaś był, zdaje się, stary, bo głowę miał siwą. Chyba, że to szron, co się przez wybitą szybę do tej strasznej izby wcisnął, tak mu głowę biedną pobielili, że posiwiała. O, Boże, Boże miłościwy! Żle się dzieje, że bieda jest cicha i pokorna wedle nakazu bożego, powinna bowiem wołać i krzyzczeć i iść i w oczy, w plugawe oczy ludzkie ciskać swój nagi wstyd i hańbę swoją; głód i nędza i rozpacz ubóstwa mieć winny oczy takie, aby raziły i aby siekły jak biczem, jeden bowiem człowiek biedny jest hańbą wszystkich, jest zbrodnią powszechną, jest grzechem wspólnym, o pomstę wołającym. Nędza ludzka powinna być bezwstydna, aby bezwstydny przez to przestał być człowiek bogaty. Nędza i ubóstwo jest obrazą życia, zaś Hiob pokorny jest jego wrzodem, a sytość faryzejska powiada: nie należy przeszkadzać Panu, który wie, co czyni i chce doświadczać Hioba! Wstyd, wstyd i hańba, aż się dusza wzdryga i rozpacz napływa w serca i za gardło ciśnie, że się nie płakać chce, lecz złorzeczyć i kłać wszystkich i wszystko, i świat i ludzi, którzy poszli pożywać w spokoju dary boże, orzekłszy, że nędzy jest zbyt wiele na świecie, aby ją można było uleczyć. A pożywienie ich nie zamieniło im się w kamień.

Nie śmieliśmy uczynić kroku, przybici i przykuci do miejsca widokiem tej izby, czyniącej przez ten dziwaczny ołtarz wrażenie, że znajdujemy się w jakiejś biednej przedpogrzebowej kaplicy, gdzie wieje atmosfera, podobna do woni trupów, gdzie ten biały krzyż nawet okryty był białawą pleśnią szronu, więc wszystkie za nim zgasły promienie. W tej chwili był on naprawdę symbolem wielkiej męki, godłem biedaków, znakiem triumfującym nędzy, szron zaś na nim pochodził chyba ze zmarłych, lodowatych, najstraszniejszych ludzkich łez.

Szczygieł miał cichą w twarzy rozpacz, wpatrzył się w srebrną głowę starca, smutno opartą o zimną ścianę i nie mógł od niej oderwać oczu. Staruszek jakby nie słyszał skrzypu drzwi i cichych naszych kroków, bo ani drgnął, skulony we dwoje, zaciskający na sobie kurczowym ruchem odzienie. Ja bałem się przemówić do tego nieznanego naszego przyjaciela, bo mi łyzy tamowały głos i jakiś wielki żal mnie ogarnął i wstyd, żeśmy przybyli tutaj tak późno i że ten starzec był samotnym przez tyle, tyle dni i że robił te zabawki, jakby przez krwawą ironję. O, jakże wesoło wyglądają te dwa drewniane niedźwiedzie, jego uczynione ręką!... Był nam ten człowiek bliski, lecz teraz stał się nam jeszcze bliższym, stał się dla nas kimś drogim, jakimś serdecznym krewnym, członkiem miłującej się z całej duszy rodziny, co chleb oblewa łzami i fa-

brykuje zabawki dla ludzi, ten z drzewa, ten z farb, ten ze słów jako i ja.

— Śpił — szepnął mi w tej chwili wprost do ucha Szczygieł.

Dałem mu oczyma znak, aby się zachowywał jak najciszej. Niech śpił „Nie budź mnie przechodniu, bo pierwszy raz zasnąłem“, — napisał sobie Scarron na grobowym kamieniu. Niech śpi. Sen jest jedyną, bezpłatną, przez nikogo nie kontrolowaną radością biedaków, jest wyprawą do ziemi chananejskiej, gdzie winne grona dochodzą wielkości ludzkiej głowy, gdzie rzeki płyną mlekiem i miodem i gdzie biedna dusza chadza w cieniu rozłożystych palm, wśród kwiatów, z których kapią kolibry i gdzie krople rosy nie są podobne do łez.

Dlatego się dzieje tedy, że człowiek bardzo biedny uśmiecha się tylko przez sen, nigdy na jawie, kiedy się zaś budzi, wtedy ma oczy śmiesznie przerażone, jakby nagle ujrzał w kącie stojące, zielone widmo, urągliwie na niego patrzące.

Zatrzymaliśmy oddechy w piersi i staliśmy bezradni, rozglądając się po izdebce, Szczygieł zaś patrzył z uporem na drewniane zabawki, zrozumiałwszy zaś, że ludzie zapewne niechętnie kupowali takie surowe drewnienka, szepnął mi, wskazując je oczyma:

— Ja mu je potem pomaluję...

Pocziwy, drogi mój przyjaciel składał nędzy ofiarę, na jaką go było stać, dwóch bowiem ludzi

zawsze się najlepiej na świecie zrozumie bez jednego słowa: dwóch nędzarzy. Podziękowałem mu wzrokiem za serce czyste i dobre i spojrziałem ze wzruszoną ciekawością na wielką księgę, na ten dziwny jakiś mszał otwarty. Nie mogłem dojrzeć pisma, które się czerniło z daleka, na jednej jednak stronie litery były wielkie, wymalowane starannie, tak, że mogłem odczytać łatwo: „Niedziela. Dzień pamięci towarzysza Michała Bożejki, Litwina. Zmarł w mękach od rany w sadybie wołodkowskiej. Amen!“

Pokazałem napis ten Szczygłowi i obaj zrozumieliśmy wszystko. W tej chwili ogarnął nas jakiś nabożny lęk, zaś ten staruszek cicho śpiący wyolbrzymiał nam w oczach; przeto był to kapłan ofiarny, który się w życiu, jeden z ostatnich, zabląkał i modlił się starczym głosem z tego straszliwego kalendarza męczeńskich świętych polskich, co niedzieli i święto i w każdą rocznicę śmierci. Jasnym tedy było, że go pokarało niebo nędzą i chłodem za to wieczne, uporczywe przypominanie mu krzywdy, za te prośby natrętne za spokój dusz, które jak stado upiorów krążyło od wielu lat nad ziemią i chleptało krew z serc zatrutych i gnuśnych i omdlałych i chwytalo za gardła, jeśli bluźniły, kładły się ciężarem na piersi, którym brak było czystego oddechu i rwały ciała żywe, przypominając straszne przypomnieniem, aby nikt nie zasnął, lecz wierzył, wierzył, wierzył do skończenia świata, a jeśliby cud się przedtem

nie ziścił i nie zmartwychwstała sprawiedliwość zabita, to i po skończeniu świata.

Z karty tej żałobnej, z tej klepsydry nieszczęsnej przenieśliśmy wzrok na „niego”; wzrok tak pełen miłości i taki czysty, bo wyczyszczony łzami, że pod siłą tego wzroku powinien wstać i pobłogostawić nam. On jednak ani drgnął. Więc mimowoli, jakby mnie coś pchało ku temu dziwnemu starcowi, który dziecinne zabawki rzeźbił drżącą ręką, by nie umrzeć z głodu, którym sto razy kiedyś pewnie w jakimś bagnistym przymierał lesie, — podszedłem ku niemu, aby ujrzeć tę twarz szanowną.

Wydałem cichy krzyk i serce we mnie zamarło.

Oparta o ścianę siwa głowa patrzyła wprost w oczy moje dwojgiem oczu szklanych, zgastych, w których zastygła rozpacz, ból i krwawy, milczący wyrzut.

— Jezus, Marja! — szepnął Szczygieł i pochylił się nad nim.

A „on” jakby się zdumiał, ujrzawszy nas, pierwszych swoich gości, bo mu okropny wzrok zelżał i zmięknął; lecz wciąż patrzył uporczywie, bo patrzył gdzieś daleko, po przez całe lata, na te dni, kiedy serce dnia każdego buchało krwią.

I tak zamarł w tem widzeniu.

Dotknąłem jego ręki wychudłej na kość, — jak kość była zimna. Szczygieł miał twarz w tej chwili przerażoną i ukląkł, dłonią zakrywając oczy.

Chciałem wyszeptać: wieczne odpoczywanie...—
lecz lzy zalały mi słowa. Zresztą to i dobrze... Po
co prosić o odpoczynek wieczny dla człowieka,
który posadzony u stóp samego tronu boskiego,
spokoju mieć nie będzie, dopóki się na ziemi nie
stanie coś, co się stać musi.

VII.

Pogrzeb naszego sąsiada odbył się z ponurą okazalnością, za trumną bowiem szliśmy my dwaj, jako „najbliższa rodzina“ i jakichś dwóch, nieznanym nam staruszków, z których jeden o kuli; wyrozumieliśmy, że nie widząc swego towarzysza, sprzedającego zabawki na rogu jakiejś ulicy, pod bramą jakiegoś domu, musieli się domyśleć, że dwa drewniane niedźwiadki przestały uderzać młotem w kowadełko i że ich towarzysz poszedł chyba zdać raport dyktatorowi niebieskiemu, który na dzień ten uroczysty przypiął zapewne białoczerwoną kokardę na sercu, jak biały kwiat, splamiony krwią. Patrzyli teraz w trumnę, nie z żalem, ani ze współczuciem, lecz z cierpiącym zdziwieniem, że się śmierci udało znaleźć tego, co jej w twarz plunął kiedyś bez trwogi, lecz nienawistnie i z tym uśmiechem rozpachy, który śmierć samą zabić potrafi. Z trumny przenosili wzrok na siebie, podejrzliwi i wylękły, patrząc, że się wśród nich uczyniła luka, bo jedna trumna wyszła z szeregu, towarzysz ich biedy, wieczystego żalu, towarzysz nadziei udrę-

czonej, podglądającej przez szpary obłąkanym wzrokiem, czy się cud jaki nie stał, czy ziemia nie wyduła się nagle w grób, a z niego płomienistym, tysiącejzycznym wężem czy też miecz nie wychynał, drżący od stalowej wściekłości, z zapiekłą krwią rdzy na zgięciach, krzyczący sinem łsnieniem, jak głosem ochryplym rycerza, którego głowę obłęd objął rękoma i czy nie godzi? — Pogardził nimi, czyli co? Oni idą w mróz i zawieruchę, a wiatr sie zanosi nad nimi, rechoce i łka i skowyczy, jak pies na ich nędzę łataną poszczuty, że ciało, na kościach ledwie wiszące, jak stary łachman, drży każdym włóknem, a on w trumnie się rozparł, z głową na poduszce z wiorów i śpi sobie bez troski, wielki pan, wspaniałą kapą nakryty, czerwoną płachtą królewską, znaczoną Orłem, tą samą, co wisiała u niego na ścianie, nad „ołtarzem poległych“. Biała trumna z surowych dešek, zdaje się, radość w sobie niesie, bo się pyszni wysoko na żalobnym wozie, z którego jesiennego jeszcze nie starto błota i skacze czasem z tej radości niezmiernej na drodze, znaczonej wybojami. lo! lo! triumfator jedzie na kapitol, zwycięzca w wieńcu bolesnym, a kolumny marmurowe po drodze, schylić się nie mogąc, rwą z pysznych łbów swych kapietele akantowe i ciskają pod koła wozu, a wiatr znów, kiedy się jeden las kolumn minęło, chwytą w garście śnieg sypki i lotny i rycząc i świszcząc

z radości, nowe słupy z marmurowej bieli śniegu w górę pędzi i czoła im rzeźbi. Po obu stronach drogi gromady stoją niezliczone, ściśnięte, głowa przy głowie i patrząc oczyma z karbunkułów na pochód nasz cesarowy, tumult czynią i słowa urwane krwią lepią w jeden krzyk, który nagle wystrzela w niebo jak słup ognia, jak błyskawica z ziemi w strop bijąca, jakby niebo w samo serce krótkiem uderzeniem sztyletu chciała ugodzić. Twarze ci ludzie mają sine, a co drugi ma na szyji stryczek, ten zaś i ów, kiedy go trumna mija, nagle rozchelstuje na piersiach koszulę i ukazuje mały otwór od kuli, wprost w serce wiodący, albo pozdrawia trumnę kikutem ręki; a trumna coraz bardziej się pyszni i białość desek swoich rozpala w blask migotliwy, zimny, oślepiający, bielszy od śniegu, co się nad nią przewala i zdaje się, już nie na wozie jedzie, lecz że ją ten wielki krzyk widmowy podniósł, w górę dźwignął, jakby nie miała ciężaru i tak niesie przez powietrze jakby nią chciał cisnąć w niebo niskie, ołowiane, ponure, spowite w brudne szmaty chmur.

Wtedy z gromady ludzkiej wyszedł człowiek, tak blady, jak ból, człowiek w księżej sutannie i z dubeltówką przez plecy, rękoma do piersi cisnący Wijatyk i począł iść przed wozem, krokiem głuchym, a czujnym, czającym się, jakgdyby szedł przez las i oczyma żbika wypatrywał widm wśród pni, sto-

jących w szyku, w szynelach z kory. Idąc, rósł i olbrzymiał ponad głowy, czernił się niezmiernym ogromem cienia; blask szedł od jego twarzy i blask szedł od jego piersi, na której leżał Chrystus Pan, zakłęty w błądy krążek chleba, więc się dookoła uczyniło jasno od widmowej jasności i widać było teraz dokładnie wszystkie rany, wszystkie połamane żebra, sine centki głodowe na twarzach, wszystką rozpacz serc, i w oczach ludzkich taką mękę, że skostniała ziemia jęczeć poczęła głucho, krótkim, strasznym, urywanym jękiem wilczycy, w wielkim bólu konającej. Zaś ten ksiądz straszliwy usta miał zacięte, aby nie drżały, nie wolno mu bowiem było wyrzec bluźnierstwa, Chrystusa niosąc na sercu; więc tylko oczyma wiódł po tłumach, stojących przy drodze i bił w nich oczyma, jak piorunami, palił wzrokiem rany i godził w skowyczące serca. Wtedy wzdłuż drogi naszej poszedł szept, jak hasło, podawane z ust do ust mówiący: Oto jest Papież polski! Oto jest biskup wojującego kościoła, oto jest apostoł męczeńskiej schyzmy polskiej! Chwała, chwała, chwała!...

Coraz ich więcej, coraz ich więcej, jakgdyby wiatr zgrabiałemi rękoma, szponem suchych palców swoich rozdzierał groby, najbardziej zapomniane, w którym zaś znalazł trupa, co nie spał, lecz oczy miał otwarte, lub naznaczony był pieczęcią rany, — tego brał na skrzydła i niósł i stawiał w orszaku

niezliczonych widm na drodze białej trumny naszej, aby wołał i uczcił ją, zwyciężką, dumną i czystą, cyborjum świętego polskiego serca, jednego z ostatnich, co się Boga nie załękło, ani ludzi, ani zgrozy, ani klątwy, ani łez, ani śmierci i krzyczało na cały świat męką swoją, wyło, jak pies sponiewierany i biło strumieniem krwi w górę, jak ogniem z działa. Oto je teraz wiedzie na spoczynek wieczny sam Chrystus Pan najmiłociwszy na gorejącej piersi księżej, wielki mistrz duchów męczeńskich, który im odkrył tajemnicę ofiary i nieludzką słodycz cierpienia, rzeczy boskie i niepojęte dla straszliwego ducha ziemi, który żre pył i pyłem tyje.

Wiatr wył i wołał i płakał z gromadą.

Któżby pomyślał, że tuż obok nas, w izdebce pod strychem żył i umarł ktoś, komu takie czynią honory, że ziemia jęczy pod naszymi stopami, z trudem stąpającymi po grudzie?

Któż mógł wiedzieć, że „eremita“ skąpcem był straszliwym, co pod łachmanami krwawą purpurę nosi, a w oczach skarb wspomnienia, którego nic nie zniszczy i nie pokryje pyłem, bo ma w sobie szatańską siłę odradzania się i odmładzania. Cześć ci, eremito; oto ta grudka ziemi, to stężała ła ziemi. Dudni na trumnie, jak tocząca się ołowiana kula, co kiedyś ominęła twoje serce i teraz go szuka. Któż mógł wiedzieć, że masz serce straszliwe?

Pozostali na jego straży nad grobem dwaj starszuszki, patrzący tak dziwnie zachłannie w ciemny dół, jak bezdomny żebrak patrzy na pałac.

Wracałem ze Szczygłem do domu, słowa zaś jednego nie wypowiedzieliśmy do siebie, zbyt wiele i zbyt smutnych legło się w mózgu myśli, by je można było wypowiedzieć w nieszczęsnem ludzkim słowie; zbyt wiele słyszeliśmy w powietrzu głosów dziwnych w śniegowym tumanie, idąc na cmentarz, by wspomnienie ich i echo, co się z ostatnim jękiem układało na dnie duszy, obrazić rozmową. Zresztą byliśmy obaj niewypowiedzianie znużeni. Dopadła nas śmierć tego dziwnego starca i ukąsiła w serce zbyt niespodzianie i zbyt tragicznie; trzeba było potem czynić starania o pogrzebanie go, dowiodły nam zaś one, ku niezmiernemu zbudowaniu dusz naszych, że zawsze się znajdzie ktoś z dziewiczo tkliwym sercem, co pogrzebie psa, trudniejsza jest jednakże sprawa z samotnikiem, który jest tak zapomniany, że nie posiada zapewne osobnej rubryki w hipotecznych księgach niebieskich. Ksiądz, do którego udaliśmy się o pomoc, oświadczył nam w imieniu Pana Boga, że bez dowodów pojednania się tego starca z niebem, na cmentarz go nie odprowadzi, koszt zaś tej uroczystości nie jest także byle jaki; Szczygieł, słysząc to, uczynił się błady i miał serdeczną ochotę pomódz temu dobremu człowiekowi do przeniesienia się na drugi świat bez

najmniejszych kosztów, wyraził jednak swoje na tę sprawę zapatrywania łagodniej i bardzo treściwie, oświadczywszy, że stanowczo jest lepiej urodzić się żydem, albo się dać powiesić, bo wtedy takiej drobnostki, jak księża asysta, nawet zbrodniarzowi nie żałują. Była jednak ta asysta, gdyż dobry ten człowiek, dowiedziawszy się, kim był zmarły, zaofiarował natychmiast swoje usługi ze czci dla ojczyzny, którą grzebały nawet biskupy.

Szczygieł zacny sprzedał śliczny obrazek i za to kupiło się trumnę i opłaciło wydatki; podczas targów o każdą świecę i karawan, o każdego zdechłego konia przy tym strasznym wozie i straszliwych katów, smucących się przy nim, naszedł nas lęk nieznośny przed śmiercią i rozpacz, kiedyśmy poznali, że łatwiej jest stokroć razy urodzić się biedakowi, niżeli umrzeć. Jest to bowiem rzecz skomplikowana i uświęcona taką ilością tradycyjnych kawałów, że gdyby nieboszczyka nie przerażała podłość życia, wstałby co drugi z łoża, na którym skonał. Słusznie tedy wór sztucznego nawozu jest w większem u ludzi poszanowaniu, niż skład chemiczny biednego trupa, który niema nawet takiej skromnej szaty godowej, jak stary frak, rozcięty do trumny na plecach.

Mieliśmy następnie rozprawę ze stróżem, który się mianował generalnym spadkobiercą ruchomości biednego starca; podarowaliśmy mu wszystko, prócz



dziwnej księgi, którą ukryłem i zabawek, które Szczygiel zabrał dla Haneczki; dwie tedy zostały zabawki po „eremicie“, jedna straszna, druga smutna.

Znużyło nas to wszystko gruntownie, wycieńczył zaś do reszty długo trwający pochód na zapadły cmentarz dla biedaków, przy którego bramie nawet już nikt nie żebrze, ci bowiem, których tu przynoszą i ci, co tu przychodzą, mogliby sami żebrać z powodzeniem.

Wlekliśmy się tedy do domu długo, już wśród wczesnego zimowego mroku, mnie zaś zdawało się wciąż, że między mną i Szczygłem drepce powoli on „eremita“, który powraca z nami za swoją własną pomodlić się duszę przy swoim ołtarzyku i że się po drodze do nas uśmiecha i gada coś swoim śpiewnym, miłym, dobrym głosem; czasem wiatr, śnieg goniący, porwie tę marę bezcielesną i ponieśie w zamieć, a za chwilę wraca ona znowu i przedobrym uśmiechem topi w powietrzu śnieg.

Przez cały czas pogrzebu kłębiło mi się coś w mózgu, wiatr zaś wyśpiewywał takie niestworzone historie, że szedłem, jak w malignie; serce dymiło jakimś tumaniącym oparem, wielki zaś żal opadł jak czad na duszę i stało mi się wskutek tego nieswojo i niesamowicie. Czasem dreszcz mną wstrząsnął, lecz głowę miałem w płomieniu. Żle oto jest rozmyślać o starych ludziach, którzy rozpalić

chcieli stos, taki wysoki, aby podpalić niebo i zmusić Boga do zejścia na ziemię na odprawienie sprawiedliwych sądów. Rzucali w ogień najpierw swój dobytek, potem swoje serca, potem rzucali się sami, aby ogień był większy, tymczasem niebo załało go potopem łez. Prometeusze i nieprawe ich dzieci, urodzeni z nich i z matki rozpaczy, romantycy obciążeni dziedzicznie obłędem ognia i krwawej ofiary pod szponem sępim, są wrogami tej siły, co rządzi światem wedle niezmiennej kolei, porządkiem olimpijskim. A tym starym ludziom i temu oto „eremicie“ serca wystrzeliły ogniem i stały się przez to podobne do bolesciwego serca, z którego tryska siedem stałowych płomieni mieczów. Przeto pokarani zostali obłędem i skazani na tęsknotę wieczystą, szarą, jak sęp, patrzącą krwawem sępiem okiem, zabijającą powoli aż do ostatniej kropli krwi, ukrytej na dnie samem serca; taki zaś, nieznanym obłędem dotknięty stary człowiek, mocą praktyk djabelskich, których go uczy stara, mądra niezmiernie czarownica, ziemia, wyrasta jednej nocy w anioła, który miecz ma w ręce i twarz straszłą, złą, luciferową; wtedy leci nocą, jak puhacz ogromny z tęczą na piórach skrzydeł, wyszukuje pierworodnych w każdym domu i zamiast ich zabić mieczem, jako to już było i ocalić ich przed tem, co na nich spadło, jadowite i obłędne, maże im czoła tą ostatnią kroplą polskiej krwi, zanim ją śmierć wypije. Roz-

pala to pomazanie mózg i jest jako piętno wydzie-
dzonego i jako stygma męki, albowiem chłopię
to już nigdy szczęśliwym nie będzie i poznasz je
na krańcu świata i w największym tłumie po twarzy
smutnej i bladej, po oczach, które widzą do dna
ziemi i są ostrożne, po modlitwie, która nie prosi,
lecz grozi, po mowie, której słowo ołowiane błysnie
czasem jak sztylet z rubinowem okiem w głowie, po
uśmiechu, którym szatan się nie śmieje, aby nie
trwożyć piekła i po dreszczu krótkim całego ciała,
jeśli ktoś powie głośno, że jest szczęśliwym.

Oto jest siew ręki starczej, która rzucając ziarna,
zaraża je, tak, że kłos, co z nich wyrośnie, przy-
sparza mące goryczy; kiedy zaś rosa na kłos ten
padnie, zmieniają się jej krople w krople krwi,
najczerwieńszej, jaka jest na świecie i jaka płynęła
z czoła chrystusowego z pod każdego ciernia, kiedy
je ukoronowano. I tak w nieskończoność, z roku
na rok, aż serce skowyczy i klątwą rzyga i bucha
tą krwią, zarażoną szaleństwem miłości, większej,
niż cała ziemia, jadem czarnoksięskim, co hydry
w apostołów zamienia i to czyni, że człowiek krzy-
żowany — śpiewa w obłądzie swej ofiary za naj-
jaśniejsze widziadło, które jest zmorą jedyną Boga
i grzechem największym świata.

Zdaje mi się, że z tej nieszczęsnej trumny,
kiedym ją pomagał dźwigać przy znoszeniu z naszego
strychu, padła mi na czoło ta jedyna ostatnia kro-

pla krwi ze starczego serca, co na mękach wyschło, spalone żarem oczekiwania, torturowane kleszczami rozpaczy, bo mnie czoło pali, a na wargach czuję suchość, jakby po długim, palącym pocałunku, co wypija duszę. Ciężar tej jednej czerwonej kropelki ku ziemi mnie gnie, jakgdyby się ciężar taki, jak kościół, zwałił na grzesznika, bo się czuję małym i drobnym i mizernym i wszystko, co moje i co we mnie, co błyskawice chciało prześcignąć w locie, a ludziom na piersi się walić, kurczy się i zmniejsza do małości atomu pyłu i tylko oczy moje są większe, niż zawsze i rozszerzone, patrząc na tę obłąkaną zmianę proporcji i widząc te starcze sztuki czarodziejskie. Spojrzałem jakby w zwierciadła kryształowe i ujrzałem, jak się życie marni i jak leci, rozbite na tęczowe bańki, kiedy zaś która na wietrze pęknie, tysiąc z niej różnokolorowych leci pyłów i tysiąc słów pustych i szumnych, jak festynowe race, potem przepadają wszystkie bez śladu, nie pozostawiając nawet kolorowej rosy na użyźnienie już nie ziemi, lecz na strój dla kwiatów. A ten stary człowiek słowa jednego nie powiedział, a był jak meteor w pędzie, co wszystko po drodze pali, purpurowem okiem serca rozświetlając drogę wśród gwiazd; wychynął ze skraju jakiejś puszczy i przeleciał łukiem pół wieku, aż w mojem rozęczonej upadł państwie, zabił ogniem kwiaty, stopił tchnieniem pałac lodowy i teraz pewnie spalił sosnową

swoją trumnę, bo jakżeby inaczej wyszedł z dołu i szedł już przy mnie?

Żli są starzy ludzie i złośliwi, a każdy jest jak szatan zawistny, co gardzi kwiatami i mgłą i szponem je z cudzego wrywa ogrodu, każąc sadzić dęby; na zrębie niezmiernej przepaści siada co nocy Lucifer, co ze starości skrzydeł poruszyć nie może; ogniem wtedy oczy syci i rozpala do białości, długą ręką w przepaść sięga, wyjmuje z niej serca, jak ptaki młode z gniazd i nad każdym szatańską swoją odmawia modlitwę i pomazuje je ogniem palącym i żrącym. To są serca przeciw Bogu zbuntowane i zaprzysięgłe piekłu ziemi, tedy dziwowisko będzie niezmierne, albowiem wtedy każdy polski trup szponami w glinę grobu się wdrze i zębami się jej chwyci i nie opuści jej ani za niebo, ani za szczęście, ani za słońce. Bo i jakżeż mu wstać, kiedy jak pies najwierniejszy do ziemi przywarł, a serce puściło korzenie, które powędrowały w jej głąb, zachłanne, żarłoczne i mocne, jak sznury konopiane?

Jakiemś tak silnem włóknem ten starzec związał się ze mną, bo myśl mnie o nim nie opuszcza.

Kiedyśmy wrócili do domu, odpoczęliśmy w mroku, mało mówiąc i cicho, do cichej bowiem rozmowy przywykliśmy przez te dni, kiedy tam obok leżał eremita, czekając na pogrzebanie. Późno już odezwało się ciche stukanie w ścianę z le-

wej strony; podrażniona widzeniami myśl, zmartwiała w nas obu i spojrzeliśmy nagle na siebie z zalekaniem. Wreszcie Szczygieł uśmiechnął się z przymusem i rzekł cicho:

— To nie on, — to z lewej strony...

Uśmiechnąłem się i ja, bo mi przedewszystkiem za wszelką cenę potrzeba było tego uśmiechu, następnie dlatego, że Szczygieł biedota patrzył na mnie w tej chwili jak żak, nie wiedzący, czy mu iść tam wypada w tym dniu pogrzebowym. Kochałem go w tej chwili więcej niż zwykle, a przecież kochałem go bardzo; miałem tego dnia w sercu jakąś dobrą, matczyną tkliwość, pewnie znów za sprawą tego dziwnego starca. Powiedziałem serdecznym jakimś głosem:

— Idź tam, Eustachy, to pewnie Haneczka puka... Ucałuj ją odemnie...

Szczygieł spojrział mi głęboko w oczy i uczynił coś, co się nigdy nie zdarzało w naszym żywocie, naszpikowanym umyślną rubasnością, wesołością nieszkodliwych obelg i pełnej miłości pogardy, aby ukryć wszelkie sentymenty, bo taka to już była dziecinna nasza moda; podszedł ku mnie nieśmiało, potem serdecznie mnie uściskawszy, ucałował w oba policzki i wyszedł na palcach.

Napaliłem w piecyku i w suchotniczernym świetle dwóch wiecznie konających świec łojowych, pryskających ognistemi łzami z bólu, począłem się przy-

glądać biblij eremity, największemu jego bogactwu, które porwałem temu dziwnemu człowiekowi, zmarłemu z głodu, z zimna i nieznaney choroby duszy dnia 2 grudnia na poddaszu przeklętego domu, pomalowanego na szary kolor.

Książka ta była grubym foljalem, zapisanym jego ręką własną i czyniła w pierwszej chwili wrażenie, że ją pisał albo genjusz, który, jak Lionardo, chciał ukryć wśród pogmatwanej czerni liter tajemnice, niebu wydarte, albo warjat, który fantazję bezgraniczną miał w ręce piszącej, albo też astrolog i alchemik, który pisze dla djabła, nie dla ludzi. Podobnie, wyobrażam sobie, musi wyglądać djarrjusz Jana Dee'a i Edwarda Kelley'a, notujący oszalałe rozmowy z oszalałymi duchami. Książka eremity była podzielona na czterdzieści cztery rozdziały i miała formę pamiętnika, obejmującego całe życie, między rozdziałami zaś były jakoby stacje kalwaryjskie, osobne dziwacznie pomalowane karty z nagrobkami napisami czasem dla jednego, czasem odrazu dla dwóch, lub trzech zmarłych; za każdego istniała osobna modlitwa, prosta, ponura i narzekająca. To były owe ustępy, które starzec ten odczytywał głośno każdej niedzieli, w każde święto i w każdą rocznicę śmierci. Czytanie tej księgi było pochodem przez stary cmentarz, na którym leżeli ludzie nie zhańbieni śmiercią nienaturalną w owym czasie, śmiercią na łożu, lecz ludzie bez

nazwisk swoich i bez swoich trumien, którzy skonali od kuli, lub stryczka; czytanie jej było wędrówką dantejską przez piekło, lasem polskim zarosłe, a stary eremita był Wirgilim... Uśmiechnęła się do mnie jego mara z mroku i słyhać było szept: *sed si tantus amor casus cognoscere nostros...*

Początek tej biblii bezbożnej, na której pierwszej stronie nie biskup, lecz ktoś większy, bo śmierć, wypisała swoje: *imprimatur!* — pisany był stylem zwartym, suchym, bezobrazowym, im się zaś dalej szło w żywot nędzny tego człowieka, tem większy wyrastał gąszcz niedomówień, okrzyków, aforyzmów, dyktowanych przez noc, powiedzeń podszeptanych przez rozpacz, żalów, pisanych przez serce; na dalszych stronicach krążyły po nich wilkołaki z puszczy i zmory, głowy swoje sine niosące w dłoniach, cienie gryzące z wilczym głodem miażdżącą szczęką swoje serca własne.

Czasem stronicę całą były zapisane cyframi, które oświetlone z nagła migającym płomieniem moich świec, zbiegały się przerażone w róg jeden księgi, w załomy proste i zakamarki cyfry jednej: 44, — inne były porżnięte linjami i tworzyły mapy Europy wymarzonej, dziwaczne, rozchelstane i rozbiegane po morzach i lądach.

Pisał oto eremita o młodości swojej:

„...Tegoż dnia, a był to dzień Matki Boskiej Gromnicznej, zdawało mi się, że zaduszę rękoma

własnymi ojca mojego, który, czytając głośno gazetę, piszącą o tem, co się stało strasznego w lasach, rzekł: Łotry! Plakałem całą noc, myślałem przez cały dzień następny, a wieczorem wiedziałem, co uczynię tej nocy. Matka moja, siwa, malutka, sucha, biedna kobieta westchnęła, ile razy tego dnia spojrzała mi w oczy. Sama miała oczy czerwone i niezmiernie smutne. Wieczorem powiedziała mi: jutro skończysz szesnaście lat! Nie odpowiedziałem jej ani słowa. Około północy, zwinąłem dwie koszule i starą kurtkę ojca w tłumoczek i cicho, jak kot, podszedłem ku drzwiom tego pokoju, w którym ona spała. Ukłąłem przy nich i pochyliwszy się, ucałowałem próg. Potem poczołgałem się cichutko ku oknu, które wychodziło na ogród. Noc była ciemna, jak bór. Począłem je otwierać, jak złodziej, tak czujnie, wtem dusza we mnie zamarła; kiedym już ukłąkł na niem, by skoczyć w ogród, uczułem czyjeś dotknięcie. Obejrzałem się, przerażony; to była ona. Matka zawsze wie, kiedy jej dziecko idzie na śmierć. Chwyła mnie w ramiona i tuliła do serca, długo, długo. Zawyło coś we mnie i zwałem się do jej nóg. Nie widziałem nic przez łzy, równocześnie czułem, że mnie rozpacz zbiera, gdyż nie potrafię już od niej odejść. Wtedy mnie ona podniosła i poczęła całować moje oczy, pewnie po to, aby wyschły na nich łzy. Nie powinien przecież płakać człowiek,

który ma widzieć w ciemności. Nie powiedziała do mnie ani słowa, nawet szeptem, pewnie, by nie zbudzić ojca, lecz poczęła wciskać w mój tłumoczek pieniądze i coś miękkiego. Był to kawał płótna, pomazany czerwoną farbą, z wymalowanym na niej Orłem. Potem rękoma, zimnemi jak lód, wypchnęła mnie za okno, które zamknęła za mną cichutko. Pewnie patrzyła w nie zbyt długo. Od tego okna już nie powróciła, bo ją tam nazajutrz znaleźli nieżywą. Ten czerwony kolor na kawałku płótna był z jej krwi. Jakżeż mogła żyć, kiedy zabrałem jej serce w noc i ciemność? Przecież matka...”

Nie wiem, czy w tem miejscu ja nie widziałem przez łyż, czy też eremita pisząc to, płakał i łyż jego zalały litery...

Później do końca tej książki oczy już musiał mieć suche i już nie pisał słów, lecz je rył ostrzem, w które wydłużył serce, wydrapywał je w papierze szponem, czy żrenicą, stężała w ostry, siny promień. Gryził papier jadem rozpaczy, bryzgał na białość kartek zwątpieniem, bił w nie szaleństwem, kiedy go ominęła śmierć, dźwigająca na grzbiecie stos trupów, a na niego już jej sił zabrakło; czasem zaś, pisząc te swoje śmiertelne memuary, musiał wyc nad białą stronicą nieludzkim głosem, albowiem niejedna z nich, gdy na nią oczy moje padły w tej chwili, uderzyła w krzyk, drżący nieokielznaną wściekłością buntu i miotający w niebo sercem, jak ka-

mieniem płomienistym, jakich tysiące czasem ziemia obrażona ciska przez wulkaniczną gardziel w stronę nieba; bluźnił stary eremita Bogu i ludziom i niebu i ziemi, wołał w niebogłoso, ślepiem rozkrwawionem patrząc w górę, aż któreś słowo zbyt ciężkie, nie doleciawszy do nieba, zwróciło się w szalonym swoim pędzie i wydłużone w locie w strzałę zatrutą, aż po pierze wbijało się w starą jego pierś, w jamę ciemną, w której drżał lew: jego serce wyjące, zawzięte nieludzkim gniewem przeciw Bogu, co miał oczy z lazuru, patrząc na śmierć służebnicy swojej najwierniejszej i wiał zefiry na ziemię na wygodę ludzi szczęśliwych, kiedy na polskim rumowisku węszył wiatr, pies wściekły i głodny i rozdierał groby.

Dreszcz przebiegał po mnie, kiedy czytałem te słowa i biło we mnie niespokojnie serce; więc odmówiłem modlitwę za umarłych słowami eremity, odczytawszy je na stronie dwusetnej trzeciej jego księgi, modlitwę przeznaczoną na dzień jutrzejszy za spokój duszy wojującego Anastazego Sochy, który poległ w wieku lat dziewiętnastu, wysłany na rekonesans:

„Módlmy się! Czy słyszysz mnie bracie, bo ja ciebie słyszę? Czy widzisz mnie, Anastazy, bo ja ciebie widzę? Ranę twoją czerwoną całują aniołowie, a ja ci śpiewam, jako ojciec twój na ziemi pozostały, aby ci się w grobie leśnym weseliło. Kyrrie elejson, Chryste elejson! Spójrz, Boże Wiekuisty,

na duszę brata mojego i każ mu dać miecz Michała Archaniola, aby godnie wyglądał wśród zastępów Twoich, on rycerz polski, Marji Pannie zaprzysięgły. Ulituj się duszy jego, co z ciała w czystym wyszła polu, na mrozie straszliwym, bo za Ojczyznę umierał, od Której łaska się odwróciła Twoja, nie aby Ją zratować, bo nie mógł dokonać tego on maluczki, lecz by Ją łasce przypomnieć Twojej. Jeśliby go znaleźć nie można było wśród niezliczonych zastępów, tedy pošlij anioła, o Panie Wiekuisty, aby wynalazł wśród krociów onego, który ranę ma przez lewe płuco, a uśmiecha się oczyma słodkimi, który włosy ma złotawe, nad czołem przycięte, a na piersiach medalik srebrny, zczerniały. Kyrye elejson, Chryste elejson, Chryste elejson! Daj mnie mękę nieznośną, jeśli tego potrzeba, a jemu za to spokój daj wiekuisty. Ześlij na mnie głód, aby wszystko zjadł we mnie, a jego nakarm manną niebieską. Poślij po mnie śmierć, a jemu daj życie wieczne, męczennikowi. Amen“.

Tę modlitwę powinien był eremita wygłosić jutro rano, albowiem utrzymywał ścisły przegląd rotę swojej niebieskiej i ćwiczył ich wciąż i w pogotowiu dzierżył, obcując z nimi i trzymał ich na smyczy serca swojego, albowiem pod koniec świętej jego księgi wielki ból wystrzelił kwiatem nadziei, wypisanej jakoby szeptem, tajemniczemi znakami, szyfrą serca, którą tylko serce odczytać potrafi.

Więc dlatego miał oczy takie po śmierci przerażone, że się nie doczekał, on, eremita bez nazwiska, albowiem każde nazwisko ludzkie byłoby dla niego za małe.

O, eremito!... przyjdę na grób twój, kiedy wybije godzina i wszystko ci opowiem; ty zaś, szczęśliwą usłyszawszy nowinę, najradośniejszą wieść życia swojego, spuść ich z tej strasznej smyczy z sercowych włókien, — niech się radują w spokoju. I niech zapomniawszy o wszystkim, poczną śpiewać miłośnie. Już wtedy nie będzie trzeba duchów strasznie czuwających, duchów bez powiek na oczach, z ranami na piersiach, albowiem będą jako zmory, co na wesele przyszły. Wtedy się w grobie zaśmiejesz po raz pierwszy od czasu narodzenia serca twojego... Przyjdę do ciebie i opowiem ci...

„Czy słyszysz mnie, eremito, bo ja ciebie słyszę?! Czy widzisz mnie, bracie, bo ja ciebie widzę?!“

VIII.

Stała się rzecz niesłychana. Szczygieł dostał ogromne zamówienie. W kilka dni po pogrzebie eremity, ktoś do nas zapukał energicznie i nie czekając na pozwolenie, wszedł; dzień był bardzo pochmurny, zaś zamiast stróżującego psa, uwiązany był u naszych drzwi wieczny, zimny, gęsty mrok, który spuszczałyśmy ze smyczy jedynie w dnie bardzo słoneczne. Trudno było w mroku tym, szczególnie z daleka, rozpoznać, kto właściwie wchodzi; teraz stanęła w jego mglistej opończy postać wyniosła i koścista, kiedy zaś, zdjawszy okrycie głowy, zbliżyła się ku nam, spojrzała ku nam mądrymi, stalowemi oczyma twarz, jakby na mrozie zaskrzepła, nieruchliwa, bardzo blada, pełna nadzwyczajnego wyrazu; sęp troski czy też wielkiej uporczywej zadumy, wydarł na czole tego człowieka dwie głębokie brózdki pionowe, łączące się niemal w jedną między brwiami, bruzdy tak głębokie, że zdawały się sięgać do kości. Włosy ten człowiek miał srebrne i ogromnie gęste, przystrzyżone gładko; kiedy szedł ku nam, zdawało się, że

rośnie, wreszcie stanął przed nami ogromny i wspinały.

— Jezus, Marja! ksiądz... — szepnął Szczygieł.

Ja wpatrzyłem się w tego człowieka uporczywie; zdawało mi się, że go gdzieś widziałem i poznałem go po tym wzroście ogromnym, po tych stalowych oczach i po ustach, ściśniętych jakby siłą, które czasem drżały. Gdzie też ja go mogłem widzieć w mojem życiu?

Ksiądz mrużył oczy i szybko przesunął wzrok po pracowni.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł głosem ostrym.

— Moje uszanowanie... — odrzekł niepewnym głosem Szczygieł.

— Na wieki wieków! — dodałem szybko, spojrzawszy na zmieszanego Szczygła z rozpaczą i szybko podałem księdzu krzesło.

Usiadł, nie zwróciwszy nawet uwagi na moją uprzejmość.

Potem rzekł:

— To jest malarska pracownia?

— Tak, — odpowiedziałem.

— Obrazy można obejrzeć?

— Można.

Ksiądz zamilkł i rozpoczął przegląd pracowni, przenosząc wzrok ze sztalug na obrazy, stojące rzędem pod ścianami i wiszące na ścianach.

— Dziwny ksiądz! — pomyślałem, Szczygieł zaś w tej chwili przyznał mi wzrokiem słuszość.

Nie przeszkadzaliśmy mu w tym bezceremonjalnym przeglądzie; ja, nie odrywając od jego twarzy wzroku, starałem się za wszelką cenę przypomnieć tę postać, Szczygieł zaś, idąc za jego spojrzeniem i jakby niem usidlony, „stał się dziwnie usługowym, gdyż począł przedstawiać obrazy, wyszukując najlepsze dla nich oświetlenie. Te maniere mojego przyjaciela były z wielu powodów zdumiewające, przede wszystkim bowiem Szczygieł, jako prawdziwy i uczciwy chrześcijanin nie znosił księży, pozatem ostatnie nasze przeprawy z ambasadorem niebieskim naszej parafji z racji pogrzebu eremity, napełniły nas goryczą, nakoniec Szczygieł odnosił się do nabywców swoich obrazów z niewysłowioną pogardą w tem przekonaniu, że sprzedając obraz, sprzedaje własne dziecko ludożercy, który mu codziennie odtąd aż do nagłej i niespodziewanej śmierci, będzie plugawił obraz oślizgłem, mętmem, rozpustnie zadowolonym spojrzeniem.

Od tego jednak wspaniałego księdza wiała taka godność i dostojeństwo, żeśmy się obaj skurczyli, przebłyskami oczu jedynie dając czasem sobie wzajem do poznania niezadowolenie nasze z tego powodu, że nam ktoś śmiał zaimponować. Co więcej! Szczygłem owładnął jakiś lęk, bo kiedy ksiądz skierował wzrok na któryś z obrazów, Szczygieł

wtedy nieznacznie, z pod oka, wpatrywał się w jego twarz, szukając na niej odblasku swego dzieła: zadowolenia, lub nagany. Twarz księdza była jednakże marmurową. Wreszcie rzekł:

— To wszystko?

— Wszystko... — bąknął Szczygiel, zmieszany.

— To mało, — powiedział nasz gość.

Szczygiel chciał się miną twarzy zbuntować, lecz ksiądz spojrział mu wprost w oczy i patrzył w nie długo: z niego przeniósł wzrok na mnie, ja zaś skłoniłem mimowoli głowę i czułem, że dreszcz po mnie przebiegł; była to chwila jakiejś uroczystej ciszy. Czułem na twarzy mojej stalowy, zimny, uporczywy wzrok i nie śmiałem w oczy spojrzeć odrazu; uczyniłem to dopiero po chwili i zdumiałem się: srogie oczy księże spojrzały na mnie przez moment jeden dziwnie tkliwie i zaraz potem jakby zamarły. Na miłość boską, skąd ja znam tę twarz i te oczy, skąd ja je znam?

On się znów rozejrzał po pracowni, potem do mnie wprost się zwróciwszy, rzekł szorstko:

— U panów nędza, co?

— Jako tako... — odrzekłem niepewnie.

— To i dobrze! — rzekł on, jakby z namysłem — to i dobrze... „Cierpienie jest naturalnym stanem chrześcijanina“... Pascal powiedział, czy nie tak?

— Pascal, — potwierdziłem zdziwiony.

— A pan co o tem sądzi? — zwrócił się do Szczygła.

Szczygieł otworzył szeroko oczy, bo Pascal nie był malarzem, więc nic o nim nie wiedział, pozatem za naturalny stan chrześcijanina uważał pogańską radość z życia. Bąknął więc coś pod nosem, czego nikt nie rozumiał, dziwny zaś ten ksiądz, zadawszy pytanie, wcale nie oczekiwał odpowiedzi, lecz znów krążyć począł wzrokiem po obrazach.

Zdumienie nasze od pierwszej chwili pojawienia się u nas tego człowieka było ogromne, teraz zaś, jeśli to być mogło, rosło z każdą chwilą. Obcy ten dla nas człowiek przemawiał do nas niemal szorstko, ukrywając słowa, szorstkość ta jednak bynajmniej nas nie razila, uznaliśmy ją raczej jako przywilej tej groźnej twarzy i tych stalowych oczu. Nagle rozpoczął znów rozmowę, krótkiem pytaniem, zwróconem do Szczygła:

— Pan się nazywa Eustachy Szczygieł?

— Tak.

— A pan?

Powiedziałem mu moje imię i nazwisko, on zaś zmrużył oczy i przez szpary w powiekach patrzył przed siebie w przestrzeń, jakby nie słuchając naszych odpowiedzi.

— No, to i dobrzel — rzekł cicho, jakby sobie coś przypominając i nagle się wstrząsnął. — Zimno tu piekielnie, jak tu można malować?

— Można, — powiedział Eustachy, — czasem jest słońce!

— Mała pociecha, — rzekł ksiądz, — ot, życie, psiakrew!

Otwarliśmy szeroko oczy, spojrzalem ja na Szczygła, a on na mnie. Dziwną za to powiedzenie i nagłą miłość poczuliśmy do tego szorstkiego człowieka; jeśli klnie, to nie taki on groźny, jak wygląda. On zaś nagle się porwał ze stołka i uczynił dwa kroki w stronę Szczygła, zbliżył twarz blisko do jego twarzy i wpił w niego oczy, potem rzekł takim tonem, jakgdyby wydawał rozkaz:

— Namalujesz pan witraż!

Szczygieł zbladł.

— Namalujesz pan, skończona rzecz. Witraż do kościoła, w którym ja rządę, — wymiary przyniosłem, ot co!

Wydobył plik papierów z zanadrza i cisnął na stół, my zaś towarzyszyliśmy wzrokiem jego ruchom krótkim, nagłym, jakby nerwowym, podobnym do ruchów, które czyni człowiek, chcący ugodzić nożem i szukający celu jego migotliwym błyskiem.

— Namalujesz pan, — mówił ksiądz przejmującym, przenikliwym głosem, — i nie Pan Bóg panu zapłaci, ale ja, brzęczącą monetą z Jego kasy. Zapłacę, ile będzie warte. Pieniądze nie moje, bom taki sam żebrak, jako i wy, ale rozporządzam nimi, i wiem, że Boga ucieszę... Co was to zresztą ob-

chodzi? Witraż ma być... Rozumie pan? Talent pan ma z bożej łaski, oddaj go pan, komu należy... I nie marnuj go, bo cię przeklnie, jak zbrodniarza, który dziecko zabił.. Wiecie wy, co talent jest? Myślicie, że aureola na pstrokaty łeb? Nie, — to jest pożar... Pal nim i niszc i szalej ogniem, ale na nim nie smaż parszywego jada. Moc to jest nadludzka i nadprzyrodzona i ma w sobie potęgę burzącego działa i równocześnie potęgę dębu, co rośnie wzwyż i ziemię w swoich ramionach rosochatych chce dźwignąć w niebo. Ot, co jest talent! Nie szczęście ci przyniesie jednemu z drugim, lecz ból, a ja wam mówię, że niema rozkoszy większej, nad ten ból właśnie. Ale nie wódz mocy swojej na pokuszenie, bo się przeciwko tobie obróci i jadem bryźnie ci w oczy, że oślepniesz i będziesz wył...

Szczygiel uczynił się błady i stał z szeroko otwartymi oczyma, jakgdyby zahypnotyzowany przez tego księdza, który nagle urwał przemowę swoją, co podczas słów ostatnich przeszła w jakiś ostry świst, jakby wargi, w dwa zmienione ostrza, cięły nagle i ucięły myśl płynącą przez pól.

Ksiądz znowu usiadł i milczał przez długą chwilę. Potem zaczął rozprawiać tak, jakgdyby sam mówił ze sobą. Mówił o wszystkim, na co padły jego oczy, bez porządku, lecz zawsze ogniście, zapalczywie i dosadnie. My dorzucaliśmy z rzadka jakieś mi-

zerne słowo, które on chwycił w lot, rozdzierał je i rozsypywał w słów tysiące. Mówił z nami, jak ktoś, kto nas zna do głębi serca. Minęła tak godzina. Mrok się czynił coraz większy i pełzał po górnych szybach pracowni, wsiąkając w dół przez szyby i ciemność przedwieczorna kapiała do izby jak plugawy, brudny deszcz.

Po chwili widzieliśmy dość wyraźnie tylko nasze twarze i kontury ciała; ksiądz w posturze swojej ogromnej wyglądał jak widmo, które czasem głowę na piersi opuści, potem ją znów podniesie i tnie ciemność stałą oczu.

Ksiądz mówił:

— Znalazłem was, choć długo szukałem. Siemdemkroć przekląłem ten wasz strych, bo nogi mam stare. Zresztą wszystko jedno... kto wykrada skarby z nieba, musi być nieba blisko. Tak, czy nie?

Zaśmiał się w tej chwili takim śmiechem, który jest mało do śmiechu podobnym i nie wiadomo, skąd pochodził? W tej chwili jednak, jakby chciał ten śmiech przy urodzeniu się jego zadławić, począł mówić szybko. Ton głosu jego przenikliwy, ostry i świszczący, mający w sobie takie niepojęte dźwięki, którymi czasem wiatr gada, zmienił się nagle w łagodny, zaprawiony czemś do słodczy podobnym; ksiądz, jakgdyby dotychczasową srogość swoją udawał i jakgdyby zmuszał się do nowych

dźwięków, którymś chciał coś pokryć, zaczął mówić głosem niskim, nieco jakby z trudem, jakgdyby mu ta łagodność dźwięku nie chciała przejść przez gardło.

— Potrzeba mi witrażu z Męką Chrystusową...
Czy słucha mnie pan Szczygieł?

— Słucham... — odrzekł Eustachy cicho.

— Chrystus niech nie będzie ufryzowany i uśmiechnięty ckliwo, ani niech cierpi po ludzku, mękę swoją wydając skrzywieniem twarzy. Nie chcę, nie chcę! Ani niech oczu ku niebu nie podnosi, bo ich od ziemi oderwać nie mógł, pożreć ją spojrzeniem ostatniem chciał i wchłonąć w siebie, dźwignąć na promieniach oczu ku sobie, na krzyż, a z krzyża w niebo, jak nawróconego łotra. Słyszysz mnie?

— Słyszę, — odezwał się szept z pod ściany.

— I niech nie będzie piękny! Tylko nie to... To nie aktor, upozowany do cierpienia, ale robak ziemi w cierpieniu swoim straszny, bity męką tak, że ciało odstaje od kości... Niech pierś ma wydetą w przód tak, jakby ją żebra chciały wysadzić i niech pierś ta będzie aż sina, aż czarna, połyskliwą obciągniętą skórą, wyciągniętą w skurczach tak, że omal nie pęknie. Ból był niezmierny... Głowa niech będzie wtłoczona w kark i wykręcone ramiona... I niech patrzy wprost... We mnie niech patrzy, w ciebie, w cały świat i niech zabija oczyma i niech

gnie, do ziemi, w proch, aby ujrawszy wzrok ten, padło na kolana ludzkie bydlę w wielkim szlochu, rwąc włosy. Bo inaczej nie pojmie... Człowiek tak się boi śmierci, że gdyby śmierć o tem wiedziała, umarłaby za niego — ze wstydu... Niech więc widzi śmierć taką, jakiej drugiej świat nie ujrzy... Wtedy uwierzy i pojmie... Miłością go nie zdobędziesz, bo i jakżeż On ich kochał, a ukrzyżowano Go!... Śmiercią w nich, śmiercią, bólem, gnojem ran, skowytom, łzami — czem chcesz, aby się popękała ziemia... Wtedy na kolana upadnie... Rozumiesz mnie?

— Rozumiem, — odrzekł Szczygiel bardzo cicho.

Ja przymknąłem oczy, bo mi się uczyniło strasznie w tym mroku na widok takiego bolesnego Chrystusa. Ksiądz milczał przez dłuższą chwilę, głowę opuściwszy na piersi; potem rzekł:

— Maluj pan zresztą, jak ci się podoba. Może i nie tak strasznie, czy ja wiem? Mówię, bo muszę... Wy to wiecie lepiej, jesteście bliżej Boga, niż ja... Ja się do Niego modłę, wy umiecie z Nim rozmawiać. Czy pan wie, panie Szczygiel, kto pan taki?

Szczygiel nic nie odrzekł.

— Pan jest apostoł... Pan, czy inny, wszystko jedno: pan jest ten, co Bogu sztuką swoją służy, a ja wam mówię, że więcej od początku świata

uczyniła dla sprawy boskiej sztuka, niż wszyscy święci razem. Oni mówili, że Bóg jest, a sztuka przywiodła Go na ziemię i dała Mu mieszkanie. Et verbum caro factum... Nikt nigdy nie widział Boga, a pierwszy naprawdę na oczy swoje własne ujrzał Go Michał Anioł... Wyście dali świadectwo prawdzie. Pół świata dlatego wierzy w Boga, bo Go widzi i patrzy w Jego twarz i dotknąć Go może oczyma, sto razy więcej zaś kocha Pannę Świętą ten, komu ją Rafael pokazał. Tak jest! Dla mnie wielkim świętym jest Lionardo, który wieczerał z Panem i wielkim świętym jest Dante. Ludzkość nie uwierzyła by może w piekło, gdyby jej Dante nie przysiągł, że istnieje ono, bo on tam był. Jakżeż mógł skłamać stary, wielki Gibelin? POCO mu było kłamać? To też krzywda się im dzieje wielka, że na ołtarzach ludzie ci nie mają posągów, a ma go biedaczyna jakiś mizerny, który umiał znosić głód przez wiele dni, lub na słupie stał przez wiele lat. Ot, wielka radość dla nieba; ot radość! Ale ja się, pewnie sam jeden, modłę i do Michała Anioła i do Danta i do wszystkich tych świętych pańskich i męczenników, którzy, boskie mając dusze, męczyli się w ciasnem, owrzodziałem ciele i patrzyli w stronę nieba z podelba, bo im Bóg nie śmiał dać hijobowej żebraczej pokory...

W mroku zajaśniała w wielkim zachwycie blada twarz tego najdziwniejszego księdza, widziałem, że

oczy podniósł ku górze, jakby chciał spojrzeniem uczcić wędrującego po niebie za Beatrycją Danta.

W tej chwili Szczygieł, który miał dziwne serce, bo dziecinnie gorące i szczere i niezmiernie szczęśliwe, bo do zachwytu zdolne, zbliżył się cicho i nieśmiało ku księdzu i ująwszy go za rękę, ucałował ją. Po nim przebiegł nagły dreszcz. Jakby się zbudził nagle, objął Szczygła ramieniem i jedną ręką gładził miękko pochyloną, kochaną głowę mojego przyjaciela. I mówił cicho:

— Błogosławię ci, błogosławię ci... Niech Bóg będzie z wami... O, jakże was kocha, jak bardzo was kocha... Błogosławię ci... Maluj, chłopcze drogi i duszę z siebie rwij, a choć serce w tobie skowyczy, to wszystko jedno... Szczęście nie w tem, że się na atlasach wyśpisz... Witraż mi namaluj, a ja go Bogu pokażę... Błogosławię ci...

Uczułem wilgoć w oczach. Co u licha! Przybłąkał się stary jakiś manjak, najpierw jeden tu za ścianą, teraz drugi i powietrze zaraża szaleństwem, czy czem? I ten głupi Szczygieł głową się zwałił na księżę piersi i pewnie lka... Nie widzieliśmy go nigdy w życiu, przyszedł niewołany i gospodarzy nie u nas już, lecz w nas...

Pomyślawszy tak i spojrzawszy na nich, pierwszy raz poczułem zawiść; oto zawidziałem Szczygłowi, że ułożył głowę swoją skolataną na jakimś dziwnem, gorącym, lecz pewnie niezmiernie dobrem

sercu, a zapomniał o mnie, stojącym pod drugą ścianą, zapomniał o przyjacielu swoim, który... Niech tam! Ogrzej się przynajmniej ty, biedaku serdeczny, ogrzej się... Dusza w tobie zziębła i serce, które nie zaznało pieśszoty. Ja tam jestem taki cynik, że mi tego nie potrzeba... Zresztą ja się umiem śmiać, a ty nie, niemowo najmilszy!... Ogrzej się na cudzem sercu, drogi mój, a potem mi opowiesz, co się przy tem czuje...

Ksiądz powstał z trudem. Mrok już był zupełny.

— Czas mi już, — rzekł niepewnym głosem, — przyszedłem zamówić obraz i rozgadałem się. Przebaczcie mi... Panie Szczygiel, tam są wymiary w tych papierzyskach. Szukaj dobrze, a może i więcej co znajdziesz. Niech pan pazurami płótno drze i niech pan wygrzebie cud. Czas mi już...

Podał rękę Szczygłowi, potem mnie i rzekł:

— Nazywam się Łoś, ksiądz Łoś. Nazwisko nie dla świętego, ale dla mnie i takie dobre. „Niech ryczy z bólu ranny łoś“... Ot co! Adres tam na tych papierach wypisany. Co to ja jeszcze chciałem? A no, nic... Dobranoc!

Uczynił dwa kroki w stronę drzwi i przystanął, mnąc w rękach starą, wyrudziałą, futrzaną czapkę; w mroku wydawał się jeszcze bardziej ogromny. Widać było, że chce coś jeszcze powiedzieć i pasuje się ze sobą; myśmy utkwili w niego oczy,

czekając zachłannie na otwarciu ust. Trwało to długą chwilę, męczącą i gnijącą.

Tak, on nie po to tu przyszedł, aby z nami gadać o sztuce. On teraz powie... Tamto to kłamstwo, tak jak i jego srogość.

— Coś sobie przypomniałem, — rzekł wreszcie ksiądz Łoś, dziwnie cicho. — Ot, stary łeb. Byłbym wyszedł i zapomniał. Zaraz, zaraz... ach, tak! Czyście to wy pochowali starego człowieka, który przed kilku dniami umarł gdzieś w tym domu?

— Eremita! — szepnął Szczygieł, — tu za tą ścianą.

Ksiądz Łoś miał w oczach dziwną dobroć i jasność, choć je powiekarni nakrył, jakby się wstydził tego matactwa z niepamięcią.

— Eremita? — powtórzył zdumiony, bardzo cicho.

— Mój przyjaciel tak go nazwał i tak już pozostało, — rzekłem nieśmiało, — tak, myśmy go pochowali, eremita nie miał nikogo — prócz nas.

Spojrzałem z trudem w mrok i dostrzegłem z największym zdumieniem, że olbrzym ten w sutannie, ten człowiek z twarzą bladą ma w tej chwili oczy dziecka, równocześnie zaś usta zacięte, dwie zaś zmarszczki na czole jeszcze się bardziej pogłębiły. Uczynił się teraz taki podobny... Tak! Teraz wiem, gdzie ja widziałem tego człowieka.

Uczyniłem krok ku niemu, wpiłem się oczyma w jego twarz i przecierając ręką czoło, zapytałem go:

— Ksiądz był na jego pogrzebie?

— Tak, — odrzekł cicho ksiądz Łoś, — spóźniłem się, bo się ukrywał, a dwaj starszycy, towarzysze jego, zawiadomili mnie za późno... Spotkałem was po drodze...

A mnie się wtedy zdawało w śniegowym тумanie, że ten olbrzymi człowiek wyszedł z tłumu, z dubeltówką przez plecy, dziwny, ogromny, wyniosły i straszny. A to był człowiek.

— Niech wam Bóg zapłaci, drodzy moi, — dodał ksiądz Łoś, — bo to towarzysz mój, jeden z najmiłszych. Niech wam Bóg stokrotnie wynagrodzi... Macie już serce moje, lecz to mało... Eremita!... Tak, to dobra dla niego nazwa. Bądźcie zdrowi!

— Jeszcze chwilę! — rzekłem.

Ksiądz Łoś trzymał już rękę na klamce, więc się odwrócił. Wydobyłem z ukrycia rękopis eremity, jego biblię i podałem ją księdzu.

— To jest jego książka, którą zabrałem. To jest grób jego serca; co mam z tem uczynić?

Ksiądz Łoś ujął książkę drżącymi bardzo rękoma; patrzył na nią długą chwilę, potem przytknął do niej usta ze czcią. Głos mu się załamał, gdy mówił:

— Znam ją... to jest wszystko, co pozostanie po nas... Bo i po mnie... Bo i ja także... Myśmy

jej treść przeżyli, ciężko... Niech to wam... Niech dla was zostanie... Niech was uczy, jak bardzo trzeba...

Dwie wielkie łzy padły w tej chwili na księgę.
— Bóg z wami! — szepnął i wyszedł szybko.

IX.

Nazajutrz, kiedy cicho wszedłem do mieszkania, myśląc, że Szczygieł pracuje, zastałem go na bardzo poważnej rozmowie. Przystanąłem więc przy drzwiach, aby ducha nieco nakarmić, nieprędko bowiem mogła mi się przydarzyć sposobność usłyszenia autentycznej, prawie ludzkiej mowy mojego przyjaciela. Siedział on w tej chwili naprzeciwko Haneczki, którą posadził na drugim krześle, żeby zaś jej nie było zimno, owinął ją swoim płaszczem, który miał tę właściwość, że w żadnym lombardzie, za najmniejszą nawet kwotę, przyjąć go nie chciano, zapinało go się zaś dlatego aż na sześć guzików, żeby go wiatr nie porwał z ramion. Dla Haneczki byłby wprawdzie wystarczył jeden rękaw, więc wyglądała teraz wspaniale w tej katowskiej opończy, bo widać było tylko jej śliczną główkę, jak główkę aniołka, wzierającą z czarnej, rozchełstanej chmury. Miała minę niezmiernie poważną, Szczygieł bowiem zdawał jej relację z wielkiego szczęścia, które go spotkało. Biedactwo rzecz prosta, słowa z tej oszałatej opowieści nie rozumiało, wpatrzona jednak

była w swego najukochańszego przyjaciela jak w tęczę, jemu zaś bynajmniej o to nie szło, aby go kto rozumiał, lecz był to człowiek zbyt dobry, aby radosną wieść mógł zachować dla siebie jedynie, więc w braku Haneczki byłby z równą furją przemawiał do szafy, albo do pieca.

Powiadał jej tak:

— Jakaś góra wchodzi do nas, pomyśl sobie, Haneczka, a to ksiądz...

— Ksiądz... — powtarza małaństwo z powodu powagi sytuacji. Szczygieł zrobił w tej chwili straszną twarz, Haneczka otworzyła usta i chciała się zrobić równie straszna, bo zawsze robili to samo; patrzyli na siebie przez chwilę, bo zjawienie się księdza było czemś tak niesłychanem, że należało im się nad tem poważnie zastanowić.

— Myślałem, — mówił on dalej, — ho! ho! nieszczęście! Mnie na księdza nie złapie, — nieszczęście i tyle. Prawda, co?

Haneczka nie odpowiedziała, bo z powodu kompletnego braku doświadczenia w tym kierunku zastrzegła sobie prawo do namysłu. Uśmiechnęła się jednak znacząco, bo Szczygieł palec jeden w górę znacząco podniósłszy, uśmiechnął się do środka.

— A to zacny chłop, — powiada, — strasznie zacny. Gada on do mnie, gada, a mnie, wiesz Hanka, coś koło serca, ot tu...

Tu! — dodaje ona i kiwa główką na znak, że takie rzeczy każda kobieta rozumie, i ona też.

— Mówi do mnie: Szczygiel przyjacielu, ty jesteś wielki malarz, choć świnia...

Haneczka uczyniła się groźna, więc wielki malarz szybko dodaje:

— Tak to on nie powiedział, niech Bóg broni, ja tylko tak pod figura, jak poeta... On inaczej mówił. Powiada: Namaluj obraz, Papa Boga ucieszysz, mnie ucieszysz, Haneczkę ucieszysz, wszystkich...

Haneczka uśmiechnęła się jak słońce, dowiedziawszy się, że się wszyscy będą cieszyli.

— Aha! a potem mówi: Dante jest święty i Michał Anioł także. A potem płakał, bo eremita umarł...

— Umarł! — powiada Haneczka z wielką radością bez bliżej określonego powodu.

— A ja obraz machnę, taki pierwszej klasy. Ale jaki obraz! Ksiądz powiada: maluj tak i tak, aby ludzie w proch! ho! ho! czołem i jeszcze jakoś groźnie, niby nie żartuj, psia jucho z Panem Bogiem, kiedyś małpa... Już ja wiem, czego on chciał, mądry ksiądz!

— Mądry! — potwierdza Haneczka, nie rozumiejąca ani słowa z tej przemowy hotentockiej i wpatrzona w niego z niebiańskim zachwytem.

— A ja myślę sobie, — mówi on z filuternem

zmrużeniem oka, co ona w tej chwili z cudownym wdziękiem kopjuje, — myślę sobie: gadaj sobie i niech ci wyjdzie na zdrowie. Ty jesteś Łoś, a ja jestem Szczygieł!

— Wujcio jest Szczygieł, — potwierdza maleństwo i oboje w śmiech.

Ja w kącie nakryłem twarz ręką, bo mnie również radość porwała.

— A widzisz, — rzy mój przyjaciel niesamowitym głosem, — ty Łoś, a ja Szczygieł, kto z nas lepszy? Ja obraz maluje, oj, oj! jaki obraz, ale na nim nam Jezus ludzi straszyć nie będzie. Jak Boga kocham, nie będzie! On mnie na fizjonomję z takim obrazem wyleje, bo to gmach nie człowiek, ale Pan Jezus będzie tak z obrazu patrzył, jak niebo... Haneczka będzie stała koło niego, a On będzie dziecinę błogosławił. Dobrze, Hanuś?

— Dobrze, — zgadza się ona po rozpatrzeniu mdłego projektu Szczygła.

Wobec tego, choć nie było to wszystko razem powodem dostatecznym do ostentacji serdecznych uczuć, rzucili się sobie w objęcia, czyli, że dziewczynka w ramionach Szczygła wyglądała właśnie jako szczygieł w uścisku jastrzębia; swoją drogą jest to cud boski i wyraźna opieka boska nad dziećmi, że ten człowiek nie połamał dotąd temu kurczątku wszystkich żeber, uściski Szczygła bowiem są w sam raz dla dębowego kłoca, tak są namiętne i zda-

wałoby się, rozpaczliwie. Zdaje mi się, że ściskając w ten sposób córkę, w marzeniu ścisnął on jej matkę, w której z całą pewnością kochał się na swój sposób, ten zaś był jedynym, przyjacielowi mojemu bowiem było właściwie wszystko jedno, kogo miłuje, — musiał jedynie mieć stanowczą, niezbytą pewność, że przedmiot jego plugawych pożądań jest płci niewieściej, co ostatecznie łatwem jest do sprawdzenia nawet przy inteligencji malarskiej. Tem się też tłumaczy jego haniebna niestałość i fakt oburzający, że nigdy nie znał imion swoich kochanek, szło mu bowiem o treść boską, nie o ludzkie dodatki. Szczęście zaś do kobiet, na hańbę tego rodu, miał nieporównane; zdaje się, że potwornie smutna, centkami śmiertelnej rozpaczy naznaczona twarz jego, była tego powodem, kobieta bowiem ma w psychologii swojej ten rys niedocieczony, że mając do wyboru Apollina i Centaura, albo anioła i zbrodniarza, dziewięćdziesiąt razy na sto wybierze Centaura i zbrodniarza. Z tego swojego smętnego szczęścia Szczygieł mało korzystał i za czemś tęsknił, za czemś, czego się równocześnie bał i tworzył; nie umiał sobie zapewne sam zdać z tego sprawy, lecz go nudziły modelki, mierzily zaś wszelkie wyświechtane lafiryndy, szczególnie z „artystycznego“ świata, wałęsające się po ziemi arogancko, z krótko obciętymi włosami, naiwnie cyniczne, komedjantki od siedmiu boleści, szukające „dreszczu“.

Biedny Szczygiel wypatrywał w przestrzeni kogoś promiennego, ludzie go zaś mijali wciąż i nikt się przy nim nie zatrzymał. Teraz to się pewno kochał w pani Zasielskiej i to nawet — ha! tragicznie, jeśli doszedł aż do pisania listów, które na każdej wystawie domowego przemysłu warjatów dostałyby niewątpliwie złoty medal. Listy Szczygła to były arcydzieła nieporównane, szczególnie ze względu na kwiecistość stylu, który w zasadzie mógł być przypodobionym do cierpliwego uderzenia czytelnika kołem w głowę, w jego ciągu jednakże były pauzy liryczne pierwszorzędnej jakości, godne największego poety, apostrofy, których tkliwemu wołaniu kamień by się nie oparł. Ponieważ Szczygiel najpierw pisał w bruljonie, potem przepisywał „na czysto“, miałem sposobność przeczytania jednego z listów do pani Zasielskiej, bez narażenia na szwank dyskrecji, bo list ten dał mi Szczygiel ostentacyjnie, pogardliwym ruchem na podpałkę do pieca. List ten był ponury i wynikało z niego, że mój przyjaciel jest bezwstydnie napastliwym, a ona się broni i czyni jakieś zastrzeżenia; dokładną treść tego listu mógłby podać jedynie człowiek bardzo uczony, który przez lat pięćdziesiąt odczytywał papyrusy, — ja się tego podjąć nie mogę, utkwiły mi w pamięci jedynie owe śliczne zwroty liryczne, które mi serce mówi do serca, zwroty, któreby człowiek znalazł zapewne w śpiewie słowiczym, gdyby ptasią rozu-

miął mowę. Między innymi pisał Szczygieł do pani Zasielskiej:

„Oddaj mi się, jak kwiat jabłoni!”

Czy można przemówić do kobiety czulej? Wyznaję, że mi to porównanie napełniło oczy łzami, a duszę zapachami rozkwitłych drzew. „Oddaj mi się, jak kwiat jabłoni”. Zaprawdę, mało jest poetów na świecie, którzyby się zdobyli na taką śmiałość porównania, w której szumiało cicho wielkie, srebrne morze fantazji i tkwiło głębokie odczucie roślinnego świata. Nie wiem, co na to wezwanie słowicze, czy też szczygłe, na ten tryl wśród miesięcznej rozlegający się nocy, odpowiedziała pani Zasielska, wiem to tylko, że piec nasz, pożarliwszy ten snop kwietnej poezji, strzelił cudownym błękitnym płomieniem.

Zabawę z podsłuchiwania belkotu Szczygła popsuła mi Haneczka, która, ujrzawszy mnie, kiwnęła rączką i woła:

— Chodź się śmiać!

Szczygieł uczynił groźną twarz i spojrzał na mnie podejrzliwie, badając, czy słyszałem cokolwiek z jego rozmowy. Odwróciłem jego uwagę, podając mu list, do niego adresowany, który mi stróż oddał na dole ze znaczącym uśmiechem.

— Do mnie? — zapytał ze strachem.

Wziął list ostrożnie dwoma palcami, jakby po nim laziły dorodne choleryczne bakcyle, obraca

go na wszystkie strony, to czerwieniejąc, to blednąc, i nie wiedział, co z tym uczynić?

— To nie do mnie! — powtarza wreszcie i uradował się z wynalazku.

— Oszalałeś, Szczygieł? Spójrz na adres.

— Tak, to moje nazwisko, ale to pewnie pomyłka.

— Dlaczego ma być pomyłka?

— Bo do mnie nikt nie pisze. Po kiego licha do mnie pisać? Ha! Ja w życiu mojem nie odpisałem na żaden list.

— Od barbarzyńcy nikt tego nie wymaga; czytaj list, — to od kobiety.

Szczygieł porwał się z miejsca.

— Co powiadasz?

— Pismo jest kobiece i napisane jest: „Jaśnie Wielmożny Eustachy Szczygieł odebrać raczy“.

— Odebrać raczy? Patrzcie, patrzcie! — rzekł on.

— No, widzisz. Tylko niedoświadczona kobieta może takiego jak ty papuasa nazwać jaśnie wielmożnym panem.

— Racja! — dodał z głębokiem przekonaniem Szczygieł.

Znowu począł oglądać list na wszystkie strony, teraz z jeszcze większą trwogą.

— Słuchaj, — powiada wreszcie — może lepiej nie czytać?

— Czemu?

— Ja nie wiem czemu, ale jeśli kobieta pisze do mnie, to chyba jakiś nieczysty interes.

— Bardzo słusznie, ja, gdybym był kobietą, to bym do ciebie nie pisał. Dawaj list, ja go przeczytam, a ty baw Haneczkę.

— Bardzo słusznie! — rzekł Szczygieł i zajął się dziewczynką, która była przerażona tym listem, bo jej najukochańszy Szczygieł także był przerażony. Niewidzianą tę miłość Haneczki do mojego przyjaciela tłumaczyłem sobie tem, że dzieci przepadają za najpotworniejszymi pajacami z wykrzywioną twarzą i pałakowatemi nogami. Szczygieł wziął ją w ramiona i tulił do siebie, jak najlepszy ojciec, patrząc równocześnie w moją twarz, chcąc z mojej miny dowiedzieć się o treści listu. Mnie się widocznie twarz musiała bardzo zmienić, bo Szczygieł zbliżył się, mocno zafrasowany.

— Moje uszanowanie! — zawołałem mimowoli, dokończywszy czytania.

— Niby co to ma znaczyć? — zapytał Szczygieł z politowaniem, z wielkim jednakże strachem w głosie.

— To bardzo wiele znaczy, bardzo ładna historia.

— Gadajże u licha!

— Bardzo chętnie, posłuchaj tylko: „Najlepszy, najzacniejszy, najmilszy panie Eustachy!” — zacząłem czytanie.

— O, o, o! — wykrzyknął on zdumiony.

— „...Kiedy list ten dojdzie do rąk pańskich, nieszczęśliwa kobieta, która go pisała, będzie już daleko“...

— To dobrze! — dodał Szczygiel.

Zabiłem go spojrzeniem i czytam dalej:

„...W nieszczęściu mojem to jedno mnie pociesza, że znam pana, że na drodze mojej spotkałam człowieka, który gotowy jest do największych poświęceń, chociaż na jedno się nie chciał zgodzić, na to jedno, któreby nam obojgu przyniosło szczęście. Ale to trudno. Szkoda, że się tak nie stało, bo byłby pan najlepszym mężem i miałby pan najwierniejszą żonę. Łzy mi napływają do oczu na samo marzenie o tem. Niech pan o mnie zapomni, chociaż ja nie zapomnę nigdy o panu. Wyjeżdżam daleko, a o celu mojej podróży nigdy się pan nie dowie...“

Przerwałem w tem miejscu, aby spojrzeć na Szczygła; miał w tej chwili minę taką, że z najdalszych stron powinni się zjeżdżać ludzie, aby za grube pieniądze mogli ujrzeć tę twarz, wydłużoną niepomiernie przez zdumienie, mieniającą się ze wstydu, przemiłą twarz paralityka, który ujrzał coś okropnego; kiedy się spotkał z mojem spojrzeniem, starał się uśmiechnąć. Z równem powodzeniem stara się wdzięcznie uśmiechnąć człowiek, któremu dokładnie i z nadzwyczajną starannością zaciskają

na szyi pętlicę stryczka. A to był dopiero początek listu, efekt miał wystrzelić dopiero jak siedmiogwiazdzista raca, po której w oczach pozostaje siedem gromnicznych świeczek.

Na wszelki wypadek zapytałem:

— Mam czytać dalej?

Szczygieł począł ruszać twarzą w przeraźliwy sposób i niby uśmiechając się, wskazywał mi przerażonemi oczyma Haneczkę; miało to znaczyć, że nie należy czytać tych historii przy trzeciej „osobie“.

— Ona należy już do familji, — odrzekłem na te gluche ostrzeżenia, — słuchaj dalej: „...a o celu mojej podróży nigdy się pan nie dowie. Walczyłam długo z tym zamiarem wyjazdu, lecz na nic się wszystko zdało. ! Płakałam ostatnie dwie noce, lecz komu się miałam poskarżyć, kogo zapytać o radę? Jestem sama na świecie; wyjeżdżam zaś, by się upomnieć o moje prawa i o moją krzywdę. Pan jeden wie, o czem w tej chwili mówię. Gdyby nie dziecko moje, wiedziałabym co uczynić — z piątego piętra na bruk nie tak bardzo znowu daleko, ale ja chcę żyć, żyć...“

— Ha! — rzekł Szczygieł w całym znaczeniu tego słowa. Znaczyło ono zwątpienie, rozpacz, żal, litość i pogardę śmierci.

— „...To dziecko, to dziecko moje! Ach, jak mi się w tej chwili serce kraje. Co z niem uczynić, aby z głodu nie umarło? Lecz mnie Pan Bóg

natchnął szczęśliwą myślą; powiedziałam sobie: któż się niem zaopiekuje, jeśli nie ten, który je tak kocha, jak jego matka, któż jeśli nie pan, najzacniejszy panie Eustachy, wielki artysto i najlepszy człowieku na świecie? W podróż jej, biedactwa mojego, wziąć nie mogę, więc się do pańskiego serca zwracam. Zostawiam Hanusią panu. Pan ją kocha i pan się nią będzie opiekował. Niech będzie przy panu i niech się zdrowo chowa, a pan jej niech czasem powie dobre jakie słowo o nie-szczęśliwej matce. Ja się będę zdaleka modliła za was oboje, a jeśli kiedy powrócę, to mi ją pan odda, a ja wtedy ucałuję ręce pańskie. Od dziś Haneczka jest pańską córką; wszystko, co pozostało w mieszkaniu, które zapłacone jest do pierwszego, niech pan zabierze. Ja odchodzę, a serce moje zostało tam, wśród was. Zaklinam pana, niech pan uczyni to, o co proszę... Najlepsze, najserdeczniejsze wyrazy załączam, drogi, złoty panie Eustachy, — wdzięczna Jadwiga Zasielska.“

Szczygieł, zdawało się w pierwszej chwili, że nie dobrze słyszy, pod koniec więc tego wspaniałomyślnego listu, przekrzywił śmiesznie głowę, bacznie nasłuchując; pojmował z trudem jego nieoczekiwaną treść, równocześnie coraz silniej tulił do piersi dziewczynkę, która, usłyszawszy w trakcie czytania swoje imię, zaczęła się uśmiechać, biedactwo. Skończywszy czytanie, myślałem, że Szczygieł zemdleje. Ale

gdzie tam! twarz mu zajaśniała anielską radością i oczy mu się roześmiały do tego ukochanego dziecka, które gniótł z całej siły w ramionach. Tulił się do niego, jakby sam miał cztery lata, a Haneczka była dorosłą, potem ją leciutko zaczął gładzić po włosach. Było to jednak tylko krótkim preludjum lirycznym, bo po chwili w przepaścistej, niemej duszy Szczygła rozpełtała się wściekła, nieposkromiona burza potępieńczej radości, nie wykraczającej jednakże poza właściwą mojemu przyjacielowi powagę w okazywaniu najdzikszego wesela: oto podniósł dziecko wysoko na rękach i uroczystym krokiem, wedle rytmu marsza żałobnego, począł pisać jak Dawid przed Arką, wydając z niezgłębionego swojego wnętrza głosy głuche, dudniące, jak echa dalekiej burzy, stłumione ryki, serdecznym czasem przeplecione jękiem, podobnym do pisku duszonego słowika. Szczerzej, okazalej i wspanialej nie może radować się człowiek. To był najwyższy, dostępny zmysłom ludzkim stopień radości Szczygła, — potem mogło mu już tylko z radości pęknąć serce.

Patrzyłem na tego smutnego szatana z nieudanym podziwem, nie mogąc pojąć tego radosnego szału z racji niespodzianego ojcostwa; bezwątpienia Haneczka była dzieckiem wyjątkowej piękności i słodyczy, obu nas, szczególnie zaś Szczygła, kochała bez pamięci, w każdym razie więcej niż matkę, którą widywała rzadko i do której nie miała

czasu się przyzwyczać. Co my jednak uczynimy z dzieckiem? Jakieś tam ochłapy dla nas samych wynajdziemy, ale nie można karmić tego maleństwa pożywieniem, od którego w srogich mękach zmarłby trochę delikatniejszy struś. Obchodzi ta sprawa i mnie, bo dziecko formalnie tylko należy do Szczygła, właściwie zaś jest wspólnym naszym żywym inwentarzem. Szczygiel z dzieckiem! Nie, można skonać ze śmiechu.

Śliczne, drogie dziecko. Buja sobie na rękach Szczygła i zaśmiewa się w głos, aż się biednemu człowiekowi łzej czyni w plugawej duszy; a on, wyniosły jak Campanilla, krąży niezmordowanie po pracowni i płąsa, zupełnie jak nieboszczyk, który wstał z grobu w noc miesięczną i lekkim krokiem tańczy wśród grobów, aby rozprostować nogi. Ot, trzy sieroty się zebrały. Haneczka nie mogła lepiej trafić, a matka jej lepiej wybrać nie mogła. Ależ ta matka, także nie daj Boże! Widzieliśmy to dawno, że jej to nieszczęsne maleństwo było nie na rękę i przeszkadzało mocno w jakichś jej sprawach nam nieznanym, nie sposób jednak było zrozumieć, jak można tak obcemu człowiekowi zostawiać dziecko; znała Szczygła i wiedziała, że on sam raczej z głodu umrze, niżby się tej dziewczynce miała stać jaka krzywda, ale jej to zupełnie nie tłumaczy. Należało zresztą rozmówić się z nim na ten temat, bo dziecko, to nie nowe sztalugi, które można postawić w kącie.

Teraz nie było sposobu, bo niespodziana wiadomość, że został ojcem in partibus, taką falą gorącej krwi zalała mózg mego przyjaciela, że w tej chwili mógłby się z nim rozmówić jedynie bardzo sprytny psychiatra, taki, co sobie radę dać umie nawet z furjatem.

Śmiejąc się więc razem z tymi dwoma warjantami, to znaczy ze Szczygłem i z Haneczką, która przez obcowanie z nim nabrała już jego manjer, czekałem na chwilę, kiedy będziemy mogli się rozmówić tak przynajmniej spokojnie, żeby wzajemne rozbicie głównie było nieodzownym efektem dyskusji o życiu. Czekałem na to najmniej ze dwie godziny, Szczygieł bowiem zmienił się w cudownie wyszkoloną, dyplomowaną niańkę; uwarzył jakiś ukropek, wsypał w to wszystek cukier, jaki był w domu i począł karmić Haneczkę; wyglądał z tem, jak stara wypłowiata papuga, która karmi młode, swoją drogą nie można było na to patrzeć bez rozczulenia. Dziewczynkę wszystko bawiło, zaśmiewali się przeto ze Szczygłem, który musiał połknąć co drugą łyżeczkę tej niemożliwej słodyczy, bo ani mu przez myśl nie przeszło, że można się oprzeć rozkazom Haneczki.

Po tem pierwszorzędnem przedstawieniu wycalował jej po sto razy każdą rączkę i nóżkę i ułożył do snu; miałem wrażenie, że gdyby mnie nie było, to byłby jej zaśpiewał kołysankę, któraby pewnie mogła obudzić umarłego, a nie uśpić dziecko, ale

w mojej obecności skończyło się jedynie na paru dziwnych, straszliwych okrzykach, które miały być najslodszą zachętą do snu na łożu Szczygła.

X.

Wreszcie można było do niego zagadać. Odwiodłem go na stronę i cicho, aby nie zbudzić dziecka, rzekłem:

— Szczygieł, co teraz będzie?

— Nic, — odpowiedział, — mam córkę.

— To bardzo ładnie z twojej strony, ale co my z nią zrobimy?

Szczygieł uczynił twarz zdziwioną.

— Jakto co? Będziemy wychowywali, potem wyjdzie za męża.

— Za męża wyjdzie? Ty bardzo prędko myślisz.

— Bardzo prędko.

— A jeśli ci ją za rok odbiorą?

— Ha! — krzyknął Szczygieł, — nie dam!

— A jeśli matka wróci?

— Ona nie wróci.

— Ty skąd masz takie wiadomości? Pisze, że kiedyś wróci.

— To tylko tak... Czy ja wiem zresztą? Ona pojechała do Ameryki, bo tam ma narzeczonego.

— Ona ci to powiedziała?

— Ona.

— I co jeszcze mówiła?

— Zapomniałem, co tam jeszcze gadała. Aha! To jakiś miljoner, będzie się żenił.

— Przecie mnie mówiła, że ma męża?

— To tylko tak sobie; tobie ona nie mówiła prawdy, ale mnie wszystko wyznała. Ją uwiódł jakiś malarz. To malarskie dziecko! — dodał z zachwytem, pokazując głową w tę stronę, gdzie spało dziecko, — dlatego takie ładne.

— Aha! wszystko już bardzo jasne, oprócz jednego; powiedz mi, Szczygieł, o jakim to ona poświęceniu pisze, na które ty się nie chciałeś zgodzić?

On poczerwieniał, jak rak i spuścił oczy; zrobił palcami jakiś ruch w powietrzu i coś bąknął.

— Tak, widzisz... tego... gadanie...

— Ładne gadanie. Czego ona chciała?

— Jak każda kobieta...

— Nie wiem czego chce każda kobieta.

— No, tak, uważasz jak z Chrząszczem.

— Żenić się?

— Tak, właśnie, żenić się. Bez ślubu, powiada, moje uszanowanie. Jakoś tak... Czy ja wiem zresztą?

— Bardzo słusznie. A ty co na to?

— Ja! Oho, mnie na to nie weźmie.

— Tak jej odpowiedziałeś?

— Tak nie, ładniej. Bo ona, uważasz, w płacz... Pokazała mi Haneczkę i mówi: Bądź jej ojcem!

— Mówiła ci: ty?

— Raz tak, raz owak, jak wypadło. Ale po co ty zaraz musisz wszystko wiedzieć?

— Powiedziała więc: bądź jej ojcem! — a ty pewnie w nogi?

— Ja przed kobietą nie uciekam. Przeciwnie, jak mur, — szkoda, że ciebie przy tem nie było.

— Wielka szkoda.

— I wtedy jej powiedziałem, czekaj, co to ja jej powiedziałem. Jakoś bardzo ładnie, aha! powiedziałem jej: śmierć taka? nie będzie tego!

— To w istocie wspaniale powiedziane. Zemdlala?

— Nie, tylko w płacz i wtedy dopiero...

— No? co wtedy?

— Wtedy dopiero uciekłem.

— Doskonale, nadzwyczajnie! Z ciebie, Szczygieł, będą jeszcze ludzie, jak cię kocham. I na tem się skończyło?

— Nie. Ja, uważasz, łez nie bardzo... Co kto tam ma płakać przeze mnie, prawda? Myślę sobie: napiszę. Wszystko jedno! Ha!... Chciałem napisać, że się żenię. Bo powiedzieć, to trudno, bardzo trudno. I byłbym napisał...

— I co, i co?

— Nie napisałem. Już zacząłem list, ale eremita właśnie umarł... Daj mu za to, Panie Boże, zdrowie!

Więc to wtedy Szczygieł chciał podpisać na siebie wyrok śmierci! Zaczny eremita widocznie czuwał nad nami.

Przez długą chwilę rozważaliśmy sytuację, aby znów powrócić do sprawy Haneczki.

— Wiedziałaś, że ona wyjedzie?

— Coś tak niby... bardzo szukała pieniędzy.

— I znalazła?

— Tak, znalazła.

— Któż jej dał?

— Ja! — odrzekł Szczygieł spokojnie.

Gdyby to było w teatrze, pierwszy zacząłbym klaskać z uciechy; gdybym nie wiedział, że ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach, uciekłbym; więc tylko wielka radość zalała mi duszę, że ten ponury człowiek, którego marzeniem był chociażby jeden w życiu dobry dowcip, wreszcie się na jeden zdobył i to pierwszorzędny. Szczygieł, który komuś daje pieniądze na wyjazd do Ameryki, jest niezrównany. Musiałem mieć w tej chwili twarz bardzo wesołą, bo Szczygieł się zirytował; obraził się, że jego uroczystego oświadczenia nie biorę na serjo.

— Ja jej naprawdę dałem pieniądze, — rzekł z wielką mocą.

Mój śmiech zamarł w połowie; spojrzałem mu

w oczy i poznałem, że mówi prawdę, zresztą Szczygieł był to człowiek tak prosty, że nawet nie umiał skłamać.

— Ty jej pieniądze?

— Ja jej pieniądze...

Coś mi w czaszce zgrzytnęło, więc podniosłem rękę do czoła w celu ustalenia diagnozy, co się właściwie w mojej głowie dzieje. On zaś mówił spokojnie:

— Książd Łoś zostawił na stole, w papierach... Zaliczka na obraz... Patrząc: pieniądze; myślę sobie, nam to na co? — było, nie było... My umiemy jakoś tak... bez nich... Życie miłsze... Wesolo... Już ja to dobrze przemyślałem...

— Ile?

— Czy ja wiem? Dużo... Pięćset rubli... Myślę sobie: czy ja Judasz, czy co? Chrystusa Pana będę malował za srebrniki? Prawda? Zawinałem w papierek...

— Wszystko?

— Pewnie, że wszystko, to był jeden banknot...

— Zawinałeś w papierek i co? W papierku jej pieniądze dawałeś?

— Nie, tylko uważasz, myślałem, że to jakoś nie tego... Jej do rąk nie chciałem... Pomyśli, że jej płacę, albo co?

— Za co miałeś płacić?

Szczygiel się uczynił purpurowy; widać było, że kluczy, jak zajac.

— Czy ja tak powiedziałem?

— Powiedziałeś, że mogło to wyglądać na zapłatę... Tak, czy nie?

— Wcale nie, to ty zaraz plugawe myśli na stół... Podły człowiek!... Ja wcale nie tak... Tylko ona raz, właściwie nic nadzwyczajnego... Tak sobie...

— Człowieku, — rzekłem mu, — jeśli nie będziesz mówił po ludzku, daję słowo, że cię uduszę. Co raz? co raz? co właściwie? co tak sobie?

Szczygiel był bliski płaczu.

— Mówię jasno, — rzekł, — po co zaraz krzyk? Dziecko zbudzisz... Raz ona bez bluzki, a ja przychodzę... Daj mi zresztą święty spokój!

— Nie dam ci spokoju. Robisz głupstwa, to teraz cierp i gadaj. Co było?

— Nic nie było... Mówiłem już, ona bez bluzki, ramiona gołe... Cóż właściwie? Ładna ręka, nie ma co! Pierwsza klasa... Pomyślałem, szkoda, że się marnuje... Zaszedłem z tyłu i pocałowałem dwa, trzy razy, djabli wiedzą...

— Ona co na to?

— Nic...

— Nic nie powiedziała?

— Ona? Głupio! Powiada: ja już mam zaszczepioną ospę, — że to niby trafiłem w znaki po

szczepieniu. Kobieta! Ale potem myślę: pieniądze to będą niby za to...

— I cóżes zrobił?

— Pieniądze w papierek i dałem Haneczce. Powiadam: Haneczko! mamusia wróci wieczorem, to jej dasz. A jeśli zapyta, skąd Haneczka wzięła, powiedz, żeś znalazła gdzieś, pod piecem, pod szafą, wszystko jedno...

— Szczygiel, — zawołałem, — ty jesteś genialny! Nie znalazłeś nigdy pięciuset rubli pod szafą?

— Ja nie, ale może się zdarzyć.

— I Haneczka jej oddała?

— Pewnie oddała.

— A ona co na to?

— Nie wiem, nic o tem nie pisze. To delikatnie. Prawda, co?

— Bodajbyś skonał, — odpowiedziałem mu serdecznie.

Mieszkanie było za dwa miesiące nie zapłacone, drzewa nie było na lekarstwo, wszystko z nas leciało, farby były na kredyt, rachunki po sklepikach okolicznych splecione były jak rozpacz; dokazywałem cudów wymową, by udobruchać jakąś babę, aby litr nafty dała na kredyt, a ten człowiek ofiaruje pięćset rubli jakiejś lafiryndzie za to, że ją pocałował plugawym pocałunkiem w znak po szczepieniu ospy. Byłby jej zresztą tak samo posłał rubla, albo parę tysięcy, na pieniądzech bowiem znał się mało.

Nie wiedziałem, czy mam wpaść w szal, czy też się rozeźmiać. W rezultacie mniej szło o nas, bo w istocie sztukę życia doprowadziliśmy do mistrzostwa i nieledwie woda zmieniała się nam w wino, teraz jednak przybyło nam dziecko, wymagające starania i nie mogące się żywić tem, czem my oszukiwaliśmy głód. Ot, jeden wart drugiego; nieboszczyk Chrzęszcz byłby za te pieniądze urządził bal dla połowy miasta, Szczygiel posyła je z gestem króla, z którego oblatują porcięta. Stało się, — nie ma o czem mówić. Ten człowiek do końca życia będzie takim, nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że, kiedy naród pochowa swego znakomitego malarza w pysznej metalowej trumnie, to ją jakiś starszy, doświadczony nieboszczyk, leżący w czterech deskach w sąsiednim grobie, z całą pewnością od Szczygła wyszachruje.

Nie mogłem jednakże przełknąć tego tak łatwo, rzekłem więc:

Dobrze, Szczygiel, bardzo dobrze, twoje pieniądze i wolno ci z nimi zrobić, co ci się żywnie podoba. Dziwię się tylko, żeś nimi w piecu nie podpalił. Doskonałeś zresztą zrobił, jest tylko jedna drobnostka: Haneczka zginie z głodu.

— Oho! — krzyknął on z niesłychaną energją.

— Czego się drzesz? Zginie, bo i co jej damy? Ładnego sobie ojca wybrała, nie ma co! Nieszczęśliwe dziecko. Ty możesz jeść kamienie,

albo nogę sobie odgryźć z głodu, ale ona nie. Ubrać ją także trzeba, a możesz ty nie widział jej kamazków?

Podniosłem je, gdyż Szczygieł zdjął je z nóg Haneczki i przybliżyłem mu je do oczu; spojrzął z przestachem na nieszczęsny ich stan, wyglądały bowiem beznadziejnie.

— To jeszcze nie koniec, — mówiłem bez li-
tości, — przecież trzeba kogoś wziąć, żeby się nią opiekował, do kawiarni jej z sobą nie zabierzesz, a w domu samej także nie zostawisz, aby zamarzła, nim wrócisz... A jeśli nas z mieszkania wyrzucą, to rozłożymy ognisko na śniegu za miastem. Dobrze, Szczygieł? Przyznaj się teraz, żeś głupio uczynił?

— Głupio! — odrzekł Szczygieł z należytą wiarą w swoje słowa.

Począł trzeć ręką czoło i miał minę zrozpaczoną. Powiada wreszcie:

— Poradź?

— Co poradzę? Sprzedam dziś parę wierszy i wystarczy tego na dzień, na dwa; do gospodarza napiszę, że dostaniemy niedługo grubsze pieniądze, zresztą to jakiś pocziwy człowiek.

— Może jaki obraz... tego...

— Także będzie psi pieniądz, nikt teraz nie kupuje. Źle, człowieku! Tem gorzej, że to były święte pieniądze, bo je eremita posłał. Czy myślisz, że gdyby nie on, to ten zacny Łoś byłby u ciebie

obraz zamawiał? Także nie miałby nic lepszego do roboty. A płótno na obraz gdzie? A farby skąd weźmiesz? W piecu chyba duszą własną napalisz... Nie martw się tak zresztą do stu djabłów, bo i mnie się smutno robi. Stało się, to się stało... Skończona rzecz. Jesteś ojcem rodziny, więc zachowaj powagę.

W wielkiej więc powadze zaczęliśmy obmyślać, co uczynić, aby temu kochanemu dziecku, które samo zostało na świecie, życie umilić? Szczygieł miał na czole tysiąc zmarszczek i wielką chmurę zamyślenia, zawsze jednak z takiej wielkiej chmury bywał mały deszcz. Powoli mu się jednakże czoło poczęło przecierać, co oznaczało, że za chwilę wyskoczy mu ze łba Minerwa, jęknął też jak góra przed porodem i rzekł:

— Wiem już! Moja matka...

— Co twoja matka?

— Napiszę, żeby przyjechała... Za dwa dni będzie mogła być tutaj. Zaczna kobieta i pewnie przyjedzie.

— A jeśli ojciec nie pozwoli?

Szczygieł się uśmiechnął do swoich młodzieńczych wspomnień i rzekł:

— Mój ojciec jest stolarzem i nigdy z moją matką nie żartuje. To bardzo spokojny człowiek.

Była to właściwie dobra rada; stara kobiecina zamieszka przy nas i Haneczka będzie miała wy-

marzoną opiekę aż do czasu, kiedy się wzmożemy w kapitały i będziemy mogli nie trudzić staruszki. Zgodziliśmy się po długich rozważaniach na ten projekt, należało tedy działać szybko. Szczygieł chciał z pośpiechu wysłać depeszę nagłą tej treści: „Mam dziecko, niech mama przyjeżdża“. — Wytłumaczyłem mu jednak, że depesza taka może mieć skutki nieoczekiwane, gdyż miasteczko, w którym mieszka jego matka, całe tu się zwali, aby ujrzeć ten cud natury, a jeśli nie to, to oboje rodzice przyjadą, przerażeni obłędem syna, który urodził dziecko. Napisałem więc ja list, wyjaśniający całą sprawę, opisujący sposób naszego życia i zaklinający zasnąć kobietę, aby nam swoją obecnością dopomogła. Szczygieł przeczytał list z uznaniem, zaaprobował, podpisał i postanowił wysłać bez marki, aby tem pewniej doszedł.

Wybiegł na ulicę, aby wrzucić list do skrzynki, kiedy zaś wrócił, Haneczka przywitała go okrzykiem, przebudziwszy się.

Należało teraz uczynić dwie rzeczy: możliwie jasno wytłumaczyć dziecku, że matka pozostawiła je na naszej opiece, później przenieść z mieszkania Zasielskiej potrzebne rzeczy, łóżeczko dziewczynki i rozmaite sprzęty. Pierwsze zadanie, rzecz prosta, spadło na mnie. Szczygieł wziął ją na kolana i z taką miną, z jaką wielki jakiś święty przystępuje do wskrzeszenia umarłego, począł jej grzebieniem

rozczesywać poplątane włoski; czynił to z niesłychanem namaszczeniem i z taką lubą czułością, że miło było patrzeć na tego fałszywego ojca i na to śliczne dziecko, jeszcze rozespiane, uśmiechnięte słodko, wesołe i szczęśliwe. Zaprawdę, trudno będzie temu małaństwu powiedzieć, że jest samo jedno na świecie i że ojcowskie funkcje będzie od dziś pełnił taki ludożerca, jak Szczygieł. Rozpocząłem więc z Haneczką rozmowę dyplomatyczną, zataczającą szerokie kręgi po przez niebo i ziemię, przez wszystkie lalki i pajace świata; wreszcie mru-gnąwszy na Szczygła, co było wezwaniem do bacznej uwagi, powiadam:

— A gdzie mamusia, Haneczko?

— Nie wiem.

— A mówiła, że kiedy wróci?

— Nie mówiła.

— A Haneczka bardzo kocha mamusię?

— Bardzo.

— A mnie i wujcia Szczygła także bardzo kocha?

— Bardzo kocha.

— A kogo więcej kocha — mamusię, czy mnie i wujcia Szczygła?

— Mamusię więcej i ciebie i wujcia Szczygła więcej.

— Aha! Haneczka jest dobra i milutka dziewczynka. A chce wrócić do domu?

— Nie chce.

— I zostanie Hanusia z nami?

— Zostanie.

— Bo widzisz, Haneczko, mamusia twoja wyjechała bardzo daleko i wróci za miesiąc i prosiła nas, abyś ty dziecinko była u nas, u mnie i u tego wujaszka. My ciebie bardzo, bardzo kochamy i wszystko ci damy i będziemy bawić lalkę i zrobimy, żeby śnieg przestał padać i żeby była wiosna. Wtedy pójdziemy na spacer i będziemy z Haneczką biegali po łące, a potem mamusia wróci i zabierze Haneczkę.

Dziewczynka patrzyła na mnie uważnie i pilnie słuchała moich słów; wyrozumiała, zdaje się, z tego, że jedno nas wszystkich trójce dotknęło nieszczęście, to mianowicie, że nie możemy zaraz pójść na spacer i że z taką ważną sprawą trzeba czekać aż do jakiejś wiosny; po długim namyśle powiada więc:

— Ja chcę na spacer!

— Pójdziemy, Haneczko, pójdziemy trochę później. Teraz dziewczynka bardzoby zmarzła w nóżki.

Mówiąc to, spojrzałem na jej kamaszki, z nich zaś wzrok, pełen goryczy i pogardliwej litości, przeniosłem na Szczygła, który ukrył twarz, wstydem okrytą, za głową Haneczki.

— Nie mogłeś zostawić choć stu rubli? — rzekłem smutno.

— To był jeden banknot, — odpowiedział cicho.

— A zmienić nie mogłeś?

— Byliby mnie zamknęli.

Zajął się w tej chwili niesłychanie pilnem związaniem kokardki w jej włoskach i dał mi tem do poznania, że są na świecie sprawy stokroć ważniejsze, niż sprawa pieniężna. Czekałem długo, aż skończy tualetę swojej córki (!), bo trzeba było jeszcze przed wieczorem zająć się przenosinami.

— Czy Haneczka chce, — zapytałem — aby do nas tutaj przenieść jej łóżeczko?

Radość jej była w odpowiedzi bezgraniczna; najżywsze jej szczęście, jakie ją dotąd spotkało, były to wizyty u nas, tego zaś jej było zawsze za mało; biedne dziecko, skazywane nieraz na cały przeciąg dnia na samotność, odwykło od matki, a przywykło do nas, tem też tłumaczyła się jego wielka obojętność z racji matczynej nieobecności. Szczygieł również mruknął z radości i poszliśmy do mieszkania pani Zasielskiej. Stanęliśmy pod drzwiami, które były zamknięte na klucz.

— Ładna historia, — powiadam — trzeba będzie zamek wyłamać?

Szczygieł się zarumienił po raz dziesiąty tego dnia.

— Nie potrzeba — rzekł — ja mam klucz.

— Aaa!

— Czego kraczesz? każdy człowiek może mieć klucz...

— Pewnie, pewnie... za pięćset rubli...

Szczygieł, który już wkładał klucz w zamek, zastygł w tym ruchu; spojrzął na mnie dziko i rzekł:

— Jeślibym cię w tej chwili zabił, każdy sąd mnie uniewinni.

— Bardzo słusznie, otwieraj.

Weszliśmy do mieszkania, w którym mój przyjaciel był doskonałym przewodnikiem, bo znał każdy zakamarek; w dwóch pokojach niewiele ubyto, tylko powysuwane szuflady komody, otwarta na oścież szafa i obrane zupełnie z pościeli łóżko, świadczyło o wyniesieniu się pani Zasielskiej. Szczygieł spojrzął na to ponuro i słowa nie powiedział. Wybraliśmy zapomocą niemych gestów rzeczy, które zabrać należy dla dziecka i w wielkiej powadze dokonywaliśmy przenosin wśród ciągłego szczebiotania Hanka, która grzebała się w swoim kącie, gdzie był cały skład rupieci, biednych zabawek, szpułek od nici, podartych książek i tym podobnych przedmiotów, któremi dusza ludzka raduje się w latach cielecych. Rzecz prosta, że cały ten magazyn należało przenieść, bo swoje wielkie szczęście nosi się zawsze ze sobą; zaczęliśmy to składać w stare pudło po kapeluszu pani Zasielskiej i ukłękaliśmy we troje. Widocznie w tej pobożnej pozycji nachodzą człowieka myśli genialne, bo przerwawszy

nagle to poważne zajęcie, wziąłem dziewczynkę za rękę i rzekłem:

— Haneczko droga! czy wujcio Szczygieł dał ci niedawno papierek dla mamusi?

— Dał wujcio... — rzecze ona.

— Co ty znowu? przestań — szepnął on.

— Cicho bądź! Więc wujcio Szczygieł dał Haneczce, a ty oddałaś ten papierek mamusi?

Haneczka zamyśliła się głęboko i malutką paluszką swoją przebiegła historję ostatnich dni.

— Ja nie dałam mamusi... — odpowiedziała.

— O, o! — zdumiał się Szczygieł, otworzywszy szeroko usta.

— Niech sobie Haneczka przypomni. Czemuś tego mamusi nie oddała?

— Zapomniałam.

— A gdzie jest ten papierek?

— Nie wiem...

— Przypomnij sobie, dziecinko. Może wrzuciłaś do pieca?

— Nie wrzuciłam.

— A może tutaj, między zabawki?

— Między zabawki.

— Doskonale!

Zaczęliśmy szukać we dwoje z Haneczką, bo Szczygieł był typowo ogłupiały; cała encyklopedia nie potrafiłaby wyliczyć tych wszystkich przedmiotów, które były w tym kramie, wśród nich wszystkie

listy Szczygła, które pani Zasielska dawała córce do zabawy; ujrzawszy te dokumenty kompromitujące, które zamiast spać kwietnym snem na sercu Zasielskiej, wały się w tym kącie, Szczygieł zatrząsł się z oburzenia i porwał je łapczywym ruchem. Były w tych listach wszystkie tęczą grające skarby sezamowe, pieniędzy jednak nie było. Przetrzęśliśmy więc wszystkie graty po raz drugi i trzeci, lecz ani śladu. Ha! trudno!

Pokazało się jednak, że Haneczka miała szeroko rozgałęzione gospodarstwo, bo nagle pobiegła w stronę szafy, położyła się na ziemi i wyciągnęła zakurzone pudełko.

— Tu dałam — zawołała.

Szczygieł skamieniał i wpatrzył się w to pudełko wzrokiem żbika i w chwili, kiedy dziecko wy dobyło z niego pomiętą kopertę, skoczył, chcąc ją wyrwać mu z rąk; ponieważ stałem bliżej, Haneczka mnie ją podała. Rzuciłem wzrokiem na papier i zrozumiałem, czemu Szczygłowi tak bardzo szło o ten papier; na kopercie widniał napis: „Miłość to jest śmierć. Eustachy Szczygieł“.

— Stary Apisie! — rzekłem mu dobrotliwie, a on spuścił głowę.

XI.

Odpowiedź pani Szczygłowej była mocna, dumna, pełna charakteru i serca, brzmiała zaś mniej więcej tak: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Kochany synu! czy jesteś zdrow i czy ci się dobrze powodzi? My z łaski Pana Boga jesteśmy zdrowi i dobrze się nam powodzi i tylko mamy, ja i ojciec, wielkie zmartwienie przez twój list. Ojciec mówi, żeby dać na mszę świętą na twoje opamiętanie i że gdyby cię tu miał, to by cię sprął na kwaśne jabłko, drogi synu, boś więcej nie wart i wstyd przed ludźmi i jeden syn, a malarzem został i na darmo tyle krwawicy poszło, zamiast, abyś na księdza byś poszedł i rodzicom pomagał, jak być powinno, nie płótno paskudził na obrazę boską, że się wszyscy ze mnie śmieją, że o tobie po gazetach piszą, jakbyś z porządnej familji nie pochodził, tylko ze złodziejów, bo kto to widział takie rzeczy i teraz znowu jakieś dziecko, żem się splotała, bo co ja nieszczęśliwa zrobię, do gęby nie ma co włożyć, a roboty ojciec nie ma, bo nikt nie umiera, dwie trumny na miesiąc, z czego tu żyć, a u ciebie

dziecko i piszesz, żeby przyjeżdżać, ale ja nie zwa-
rjowałam, aby cudze bękartę hodować, bo ledwie
ciebie wykarmiłam i złe nasienie wyrosło na pohań-
bienie, a ojciec mówi, że na stryczku skończysz
i z takimi się zadajesz, że Bóg jeden wie co,
i uważaj, aby ten, co z tobą mieszka, żeby cię nie
okradł, najukochańszy synu, bo teraz naokoło zło-
dzieje i ojciec i ja całujemy stokroć tysięcy razy...

— Amen! — dodałem, kończąc czytanie, któ-
remu Szczygieł przysłuchiwał się w niemym za-
chwycie.

— Dobre matczysko! — rzekł wreszcie z uzna-
niem.

— Ale ojciec to się na ciebie zawziął?

— Gdzie tam! to jest zacny stolarz, ale u nas
to się tylko tak pisze.

— Ale matka nie przyjedzie?

— Ha! nie przyjedzie. Ale to nic, mamy pie-
niądze.

— Wcale nie mamy, to są pieniądze Haneczki,
ona schowała i ona znalazła.

Szczygieł serdecznie się ucieszył.

— Bardzo słusznie, — rzekł, — ale Haneczka
jest porządna kobieta i pewnie coś pożyczycy?

— To inna sprawa.

Haneczka pokazywała lalce obrazy Szczygła,
rozumieliśmy więc, dlaczego ta biedna lalka była
łysa; wyrwała sobie wszystkie włosy na widok osza-

lałych kolorów. Haneczka zapytana o sprawę pożyczki, zgodziła się na to po koleżeńsku, tem chętniej, że nie wiedziała wcale o co idzie. Tak się zadomowiło maleństwo, że zapomniała o matce. Właściwie zawojowała w ciągu paru dni cały dom, który wolno jej było wywrócić do góry nogami; było to wybitnie malarskie dziecko, znoszące wybornie chłód i głód, zawsze wesołe i naznaczone przez sztukę nawet pomazaniem zewnętrznem, gdyż usiadłszy raz z rozkoszą na' palecie Szczygła, pełnej farb, odbiła sobie na sukieneczynie fantastyczny krajobraz.

Korzystając przeto z wielkiego kapitału, trzeba było przedewszystkiem odziać dziewczynkę i obuć. Sprawy jej się tyjące, były obecnie dla nas sprawami najważniejszymi i nic się obecnie u nas nie działo po prostu, dyskusja zaś obopólna nad sposobem zgotowania kaszki dla naszej córki, trwała nieraz tak długo, że właściwie dziewczynka mogła umrzeć tymczasem z głodu. Kochane to dziecko zmieniło poza tem zupełnie oszałały tryb naszego życia, zmuszając przedewszystkiem kolejno jednego z nas do siedzenia w domu, jeśli się zaś Haneczce zachciało, abyśmy byli obaj, nie było na to rady i czasem trzeba się było wymykać jak od prawdziwej żony, schowawszy kapelusz pod peleryną. Ile razy który z nas spóźnił się z powrotem, zawsze miał minę nieszczęsną, żadne zaś przestępstwo ukryć

się nie mogło, gdyż jeden drugiego w tej chwili oskarżał przed Haneczką; Szczygieł szczególnie oczerniał mnie przed nią, zazdrość jego bowiem o miłość tego dziecka była manjacka.

Haneczka miała swój śliczny kącik w pracowni, w pobliżu piecyka, który od czasu jej pobytu złągodniał i uczynił się nadzwyczaj poczciwy; łóżeczko jej zakryte było parawanem królewskim, gdyż ułożonym z trzech wielkich obrazów Szczygła, obwieszonych różnokolorowemi szalami. Co rano odzywał się z za tego parawanu wesoly głosik. Wtedy porywaliśmy się szybko i ubieraliśmy się dyskretnie, Szczygieł nawet z wielkim wstydem, aby rozpocząć kolej dnia, zaczynając się od rozpalenia w piecu i zgotowaniu mleka, przygotowanego z wieczora; tem zajmowałem się ja, Szczygieł zaś patrzył tylko z pod oka, czy mleko dwa razy chciało „wybiec“ z naczynia, bo raz jeden zagotowane, mogło Haneczce zaszkodzić. Potem odbywała się tualeta królowny, wśród śmiechów i wesołego parskania, wreszcie chwila najuroczystsza: modlitwa Haneczki; przyklękła ona na łóżeczku, a dwa stare cygany, cyniki przebrzydłe, pochylały głowy i nie patrząc jeden na drugiego, znaczyły piersi znakiem krzyża.

Jeden dzień był do drugiego podobnym; któryś z nas po kolei wychodził do miasta, po długiej poprzedniej naradzie, co Haneczka raczy jeść na obiad i szybko wracał, objuczony, ona zaś tym-

czasem gadała i gadała. Pan Bóg nam zesłał tę Haneczkę. Świat jakoś poweselał, a piersi rozpie-rała duma, szczególnie wtedy, kiedy mieliśmy gości. Taki rozczochrany gość z Olimpu, przyszedł do nas, najpierw szeroko otwierał usta, potem wy-trzeszczył oczy, obchodził dziecko pięć razy dookoła, potem tarł czoło, chcąc odpędzić chmurę nagłego obłędu, potem mówił:

— Patrzcie, patrzcie!

Haneczka uśmiechała się wesoło, a gość doty-kał nieśmiało jej głowy palcem, badając, czy to dziecko prawdziwe, wreszcie pytał:

— Czyje to dziecko?

— Nasze! — odpowiadaliśmy równocześnie. Potem już gość z nami nie gadał, bo albo skakał na czworakach po całej pracowni, powożony przez Haneczkę, albo zdumiony, oszołomiony i szczęśliwy, słuchał przez dwie godziny, nie śmiać odetchnąć, co mu Haneczka zechciała opowiedzieć.

W rezultacie wszystkie te plugawe i pocziwe buszmany, nasi przyjaciele, rozkochali się w niej na zabój, tak, że baliśmy się, aby nam który dziecka nie ukradł; skończyło się na tem, że wszyscy malarze i cała literatura poczęła sobie odmawiać wielu rzeczy, aby tylko w odwiedziny do Haneczki nie przychodzić z pustemi rękoma. Ten przyniósł jabłko, ten pomarańczę, jeden zaś zdobył się na rzecz niesłychaną, bo w wielkiej tajemnicy

przed nami ofiarował jej pół butelki koniaku, za co został w konsekwencji zrzucony ze schodów, wielce zdumiony, bo chciał przecie dać, co mógł najlepszego. Ona zaś rządziła tem zgromadzeniem tygrysów, jak jej się żywnie podobało i łaskawie czasem podawała rączkę do pocałowania, w twarz bowiem nie pozwoliliśmy jej całować, aby dziecku nie zaszkodziły przeraźliwe zapachy, któremi przepojone były wąsy i brody naszych przyjaciół. Cud boski, że to serdecznie dobre dziecko nie miało dziwacznych fantazji i nie kazało tym wszystkim, swoim wielbicielom skakać naprzykład z dachu na bruk, boby zaczęli skakać na wyścigi.

Zdaje się, że najslynniejsza piękność europejska nie miała tylu swoich portretów, co nasza córka, bo ją te dromedary od pędzla malowały po dziesięć razy i każdy jej ofiarował śliczną, złotą główkę; ile razy Haneczce portret się podobał i rządziła się najłaskawiej do siebie uśmiechnąć, stary taki wyga jeden z drugim, rósł z radości i parskał i upijał się z zachwyty na trzy dni. Stała się ona wkrótce najpopularniejszą postacią w naszej dzielnicy, kiedyśmy zaś prowadzili ją, ja z jednej, Szczygieł z drugiej strony, trzymając za rączkę, do magazynu ubrań dziecięcych, cała kawiarnia artystyczna podbiegła do okien, witając ją najniższymi ukłonami, bośmy niby przypadkiem szli tą właśnie drogą.

Konferencja w składzie ubrań trwała ze dwie godziny, gdyż Szczygieł dobierał kolorów, wszystko mu było za tanie i za mało ładne; kiedyśmy zaś nazajutrz, w dzień Wigilji, przybrali ją w nowe królewskie stroje, Szczygieł oszalał; w istocie tak pięknego dziecka nie widzieliśmy w życiu. Radość ogarnęła nas i nasz poczciwy piec; Szczygieł bulgotał, jak samowar, ja pomrukiwałem z radości, piec oszalał i gwizdał, ona zaś chodziła wśród nas śliczna, rozpromieniona, roześmiana, od pocałunków czerwona jak jej płaszczyk, śmiejąca się do nas, do siebie, do swoich lakierowanych kamaszków, do wszystkiego.

Cały ten dzień był jakiś bardzo szczęśliwy i uroczysty.

Śnieg tego dnia nie padał i od wielu już tygodni pokazało się po raz pierwszy słońce, jasne, jak oczy tego dziecka. Szczygieł po sto razy zaglądał do wielkiego pudła, w którym były chowane tajemniczo do wieczora podarunki wigilijne i rżał z radości, ciesząc się oczekiwaną jej radością i za każdym razem chował to pudło troskliwiej jeszcze, myśląc z przerażeniem, że mógłby je kto porwać.

Około południa odwiedził nas ksiądz Łoś.

Wizyta była niespodziana i w pierwszej chwili nas onieśmieliła; zacny ten człowiek jednakże powitał nas jak starych, zażyłych znajomych.

— Przyniosłem oplatki, — rzekł, tupiąc głośno

u drzwi, aby śnieg otrząść z butów, — jakżeż tam u was? E! a to co takiego?

— Dziewczynka, — odrzekł Szczygieł, rumieniąc się.

Haneczka wyszła za swojego sanctuarjum, usłyszawszy obc głosy i poczęła się pilnie przypatrywać księdzu, przyzwyczajona zaś do odwiedzin gości, śmiało podeszła ku niemu i wyciągnęła rączkę. Po jego twarzy surowej i bladej przebiegł uśmiech, bardzo dobrotliwy i bardzo serdeczny.

— A wy skąd wzięliście to cudo? Panie Szczygieł, czy to aby nie namalowane?

— Ha! — ucieszył się Szczygieł, — prawdziwe.

Opowiedziałem księdzu krótko historję dziecka czas ten jednak był dla Haneczki wystarczającym, aby wygramolić się na kolana księdza, który by usiadł i zacząć pokazywanie sukienki i bucików. Po kwadransie było widocznem, że jeśli ksiądz zostawi po śmierci jaki spadek, to z całą pewnością nikomu, tylko Haneczce, a w tej chwili jest mocno niezadowolonym z naszej obecności, inaczej bowiem powoziłaby nim Haneczka dookoła pracowni.

Byliśmy z tego powodu uszczęśliwieni; po chwili dziecko poczęło wodzić olbrzyma, bo musiało mu pokazać swoje łóżeczko za parawanem, wszelkie lalki i rupiecie. Czego ta mała kobieta nie potrafiła wygadać przez kwadrans, Boże drogi! on zaś słuchał i radował się w czystem swoim dobrem

sercu, uśmiechał się stalowemi oczyma i tylko czasem na nas patrzył porozumiewawczo. Musiał ją wreszcie Szczygieł wziąć na kolana, aby staremu człowiekowi dać chwilę wytchnienia i pozwolić mu mówić. Ja z mej strony podziękowałem księdzu Łosiowi serdecznie za pamięć o nas, kiedym zaś wspomniał o pozostawionych pieniądzach, ksiądz się obruszył:

— Nie gadaj głupstw, młody człowieku, bo kobieta słucha. Pieniądze, pieniądze... Daj pokój z pieniędzmi. Jałmużna, czy co? Szczygieł obraz namaluje, wtedy dopłacę... Kiedyście eremite chowali, to was nikt nie pytał, czy macie za co? He? A co z moim obrazem, ojczy Szczygieł?

— Będzie, jak Boga kocham, będzie, — krzyknął ten z mocą.

— Będzie! — potwierdziła Haneczka, bo Szczygieł tak powiedział.

Ksiądz Łoś w ręce klasnął.

— Patrzcie, jaka solidarność w rodzinie. Teraz wierzę, że z pewnością będzie, bo panienka przypilnuje, a ja jej za to, jak Pan Bóg da doczekać, Veni Creator zaśpiewam... Tylko, że nie doczekam...

— Gadanie! — rzekł Szczygieł oburzony i zarumienił się z racji mało przyzwoitego wyrażenia.

— Gadanie, nie gadanie, ale ja tu gadam i siedzę, bo mi się wyjść stąd nie chce. Ot, młodzie-

niaszki, córkę sobie sprawili, a ja samotny jak eremita...

Posmutniał, wyrzekłszy to słowo i chwilę przemilczał, potem dodał cicho:

— Szkoda, że go niema. Co? Wilję byśmy sprawili i dobrze by było... Ale on tam dziś z Panem Bogiem opłatkiem się przelamie i dobre słowo za nami powie. Daj mu, Boże, światłość wiekuistą. Tak... tak...

Milczeliśmy wszyscy przez chwilę, wreszcie ksiądz Łoś westchnął, ręką machnął i rzekł:

— Jakżeż wam się dzieje, moi kochani?

— Wesoło... — rzekł Szczygieł.

— Wesoło, — potwierdziła Haneczka.

— No to i dzięki Bogu, co, Haneczko, prawda?

— Prawda.

— To i dobrze. Ależ dziewczyna, niech ją kule biją, to jest... nie tak chciałem powiedzieć. Sroga Polka, co?

— Sroga! — potwierdził Szczygieł z całą powagą.

— No, to wam muszę jeszcze jedną pokazać, taką, co nie jest sroga, bo chore biedactwo.

— Kto to taki? — spytałem.

— Ot z tem właśnie sprawa i z tem też właściwie do was zaszedłem. Z tem, nie z tem — z sercem, bom się stęsknił... Wszystko jedno zresztą... Mam starego przyjaciela, uważacie, dobry

człowiek, choć bogaty. Zabłocki się nazywa. Siwy łeb i zacna dusza, choć to nie zawsze w parze chodzi. Sam jest na świecie z córką, bo mu żonę pochowałem dziesięć lat temu. Świata poza tem dzieckiem nie widzi, a to biedactwo blade, jak papier, choruje i choruje i żadna rada nie pomaga. Trzeba jej rozrywki takiej, co to i nauczy i ucząc, nie zmęczy. Mówilem staremu o was i radby was widzieć...

— Cóż my możemy? — zapytałem nieśmiało.

— Co możecie? Pytanie nie w porę — wszystko możecie. Wiem, co mówię, bom nie warjat. Trzeba temu biedactwu życie umilić, bo ją wszystko męczy, a do wszystkiego się rwie. Tam trze a delikatnie, miękko, czy ja wiem jak? — jakoś z serca w serce przelać, nie filozofję, broń Boże, ale wszystko dobro. O życiu nauczać... o!... o pięknie, o tem, co w was siedzi. Rozumie mnie jeden z drugim, czy nie? Panienska ma dwudziesty rok. Hanke jej zaprowadźcie i będzie dobrze, ale nic o niej nie mówiłem, bom nie wiedział, że się familja potrafi powiększyć z dnia na dzień. Szczygiel z farbami pójdzie i ucieszy, pan jej o poezji powie. Tylko niech was Bóg broni, aby truć... Niech was Bóg broni! Nie mówię tego dlatego, żem ksiądz, ale jako człowiek mówię, że sobie lepiej łeb o ścianę roztrzaskać, niż w czystą duszę, co jest jak źródło, błoto cisnąć. Ale jestem pewny... Po co ja to właściwie gadam? He? Pójdziecie tam, czy nie?

Porozumiałem się oczywiście ze Szczygłem i rzekłem:

— Z największą przyjemnością.

— No, to znakomicie: będziecie uczyć, a za naukę się płaci. Żadnego wstydu i żadnej łaski, tylko nie to; godzinę, dwie godziny dziennie, jak wam dogodnie, — po świętach się zacnie. Dobrze?

— Dobrze.

— Przyjdziecie do mnie wpród, pójdziemy razem. Szczygieł, pan co z twarzą jakoś tak dziwnie?

— Żal mi... — szepnął Szczygieł.

— Czego znów?

— Tej panienci.

Ksiądz Łoś spojrział na niego serdecznym wzrokiem i nic nie rzekł.

Po chwili powstał, przeszedł się po pracowni kilka razy i patrzył gdzieś w przestrzeń; przystanął nagle przed nami i ręką do kieszeni sięgnął po opłatki. Uczyniła się wielka cisza i wszyscyśmy się podnieśli, Haneczka zaś patrzyła na wszystko z wielką powagą.

Ksiądz Łoś wziął w rękę opłatek i ręka mu drżała; widać było, że chciał pokryć wzruszenie, lecz nie mógł. Przelamał się opłatkiem najpierw ze mną, potem ze Szczygłem i Haneczką, potem nas kolejno brał w ramiona i uściśnął, jak starszy brat. Haneczka zarzuciła mu ręce na szyję i całowała tę bladą,

srógą, dziwną twarz, na której biały mróz zelzał, bo oczy jego stalowe uczyniły się wilgotne. Nas coś cisnęło za gardło z wielkiego szczęścia, że oto nie jesteśmy sami, lecz jest wśród nas ktoś z sercem cudownem, ten starzec dostojny i to najukochańsze dziecko i że jesteśmy jakby w kręgu, co się ramionami splótł i sprzął sercami, chociaż byliśmy sobie ludzie obcy, nikt nikomu ani brat, ani swat, a jedna się z nas polska utworzyła rodzina, biedna i cicha, lecz taka, co z sercem czystym i z duszą na oścież otwartą idzie na spotkanie Boga narodzonego, wędrującego po grudzie, aby dojrzeć, czy się już pogodzili w polskim domu i czy przestali serca sobie wzajem gryźć i kasać dusze i czy ich wielka miłość skuła w rodzinę jedną, której czart nie przemoże... Albowiem chodzi tak do nich rok w rok od lat tysiąca i znowu odchodzi na Golgotę.

— Oby wam... — mówił urywanym głosem ksiądz Łoś, — oby wam lepiej było, niż nam... Lepiej, lepiej... Oby przelana krew była krwią odkupienia... A wy duszę hardo dzierżcie, natężajcie siły... My w cień, my wszyscy w cień... Nas już nie potrzeba... Żebrem własnem zoraliśmy pole, pokropiliśmy je krwią... Pożywajcie w spokoju dary boże... Niech nikt o nas nie mówi źle... Bo i za co? Bo jeśli my byliśmy szaleni, to i Chrystus Pan... Czyż nie szaleństwo, dać się przybić na krzyż? A przecież kazał się przybić. Za wszystkich,

za was i za to oto maleństwo... Nikt z nas niczego nie żąda, odchodzimy pokorni... Byleby wam było lepiej, drodzy, kochani moi, wszystkim byle było lżej, lżej...

Ksiądz Łoś stał się jeszcze bledszy, tylko oczy mocno mu pałały; my patrzyliśmy ze złości i skupieniem w tę twarz człowieka, za którym zamiast cienia wieczne chodziło widmo, nieme i nieodpowiadające na pytanie; on zaś biegł przed siebie, prosto w grób i pewnie co nocy pytał: Czy dobrze uczyniłem? Widmo zaś, które się, jak pajak jego czepiło serca, — z każdym zaś krokiem nic pajęczka stawała się dłuższa, — nie odpowiadało; więc przyszedł do nas, którzyśmy nie widzieli krwi, do nas młodych i nieuprzedzonych, aby zapytać: czy dobrze uczyniłem? Zamawiał witraże, ofiarowywał intratne lekcje, a to wszystko był pozór, bo on przyszedł po pociechę i po błogosławieństwo dla siwej swojej steranej głowy, po otuchę dla serca, które wiło się z bólu, że mógłby się znaleźć na świecie ktoś taki, co mu powie: „otoś jest winne, serce szalone, miłości ślepej i obłąkanej, nie widząc kresu i tego, co się wyłoni z poza opony dymów. Oto ty, stary człowieku i cała ta gromada starcza, wyście nas sercami ukamienowali i zarazili szaleństwem. Niech będzie przekleństwo na siwe głowy wasze i na wasze serca, rozkrzyczane bulgotem gorącej krwi, która nie zna dziesiątej miary ciepłomierza, bo się nowych wy-

nalazków boi, lecz kipi, i wre i wybucha i szaleje starym obyczajem, kiedyście deputatów wybierali na sądy i siekli krzyże, jako ów radziłowski zauszniak, Wołodkowicz potępiony, wy, ludzie z ognia piekielnego i siarki, kondotjerzy Lucifera, buntownika!”

Chciałem to wszystko wyjawić temu blademu człowiekowi, lecz nie mogłem, bo mnie cisnęło coś za gardło; zdaje się, że mi się stał taki blady, jak on, bo mi wszystka krew uciekła z twarzy i spłynęła w serce, aż się wydeło od przypływu krwi gorącej i szumiącej tak, że mnie szum całego ogarnął: zachłysnąłem się tą polską krwią, na świecie najgorętszą, którą piła zachłannie cała ziemia, krwią czystą i nefalszywą, burzliwą, jak burza i ofiarna, jak krew boża na Monsalwacie. Począłem więc słowa dobywać z trudem, wrywać je pazurem z abecadła, aby rzec temu siwemu księdzu to wszystko, o czym się po nocach myśli i w myśli płacze, kiedy oczy daleko widzą, nie patrząc, bo są zamknięte.

— Pokój z wami! — rzekłem cicho, czując, że mi w gardle wyschło, — pokój z wami na wieki wieków... I musi tak być, bo tylko karzeł oplwa Prometeusza... Cześć i chwała głowom waszym siwym, nad którymi rozpięto się nieszczęście... Coście czynili, czyniliście w imię najświętsze... Odejdźcie w spoczynku... Zakopać trzeba głęboko w grobie wszystko, co zadaje śmierć, a na ziemi

niech zostanie to tylko, co mnoży miłość... Albowiem niema nic ponad nią i ona jedna jest z Boga..! Zapomnieć, zapomnieć! Kto przypomina, ten cierpi po raz wtóry i po siedemkroć razy... My jesteśmy z tych, którzy kochają... To była odwieczna polska racja stanu... Może nieszczęsna... Może czasem lepiej było inaczej... Tak się zdawało. Szeptala czasem rozpacz: chwyć miecz i morduj! Krwią za krew! Klątwą za klątwę! A wtedy Bóg chwycił za rękę zrozpaczoną i mówił: „Zaprawdę, powiadam tobie, że zwyciężysz bez miecza, bo się podłość zeżre sama. Wściekłość wpadnie w obłęd i polegnie na gnoju swoich uczynków“. I tak będzie... Niech nikt się nie waży zabijać miłości, bo sam zginie w upodleniu. Świat wreszcie rozumiał i wszyscy pojęli. Ukrzyżowali miłość, a ona zwyciężyła i ziemię ogarnia i rzeźbi ją w kształt niezmierny serca... i myśmy tak zwyciężyli, miłością wielką, nieczułą na ból i na klęski i idziemy z sercem czystym na dłoni, mówiąc: bracie! pomieniaj się na serca. Trudniej to, niż czynić mieczem, który ma pęd błyskawicy, lecz sprawa ta jest czysta i jasna i na wieki wieków... Miecz tylko zabija, a serce zwycięża... Tylko ono jedno. Pomieniają się przeto na serca ludzie dobrzy i uczciwi i wtedy na ziemi będzie dobrze i uczciwie... Podłych wytraci Pan. Lecz przedtem zapomnieć, o wszystkim trzeba zapomnieć...

— I o nas? — rzekł cicho ksiądz Łoś.

— Nikt nie zapomina o świętych swoich. Tem większa będzie miłość nasza, im więcej wyście cierpieli w serdecznym zawodzie. Dokończymy miłościę dzieła waszego, abyście mogli spocząć spokojnie i nakazać milczenie waszym duszom, które płaczą. W dniu wielkiego święta pojednania wy zasiądziecie przy stole na miejscach poczesnych, wy albo duchy wasze, albowiem wyście wznowili w imię boskie sprawę, która zdawała się być umarłą, a przez was ożyła, w krwawym tumanie podniosła się z ziemi i przepojona światłem dnia, opadła na serca ludzkie brylantowym pyłem słońca... Wyście byli naznaczeni przez Boga stróżami, którzy kołatał; w drzwi, aby nikt nie spał, lecz czuwał, pośród nocy dusznej, złej i dręczącej. Któż śmie o was powiedzieć słowo złe? Wyście są ojcowie owych Polską obłąkanych, owych rozszumianych orląt, owych rycerskich pacholąt, co się z krzykiem takim, jak grzmot wyrwą na bój i pójdą rwać zwycięstwo tłumnie, legjonem, kiedy przyjdzie czas i Bóg i hetman wielki w tarczę uderzy.

Święty będzie legjon ten, jako był wasz. Nie zgnebia krzywdy, bo nas mało, lecz ukamienują świat sercami, rozpalą ognie na cały świat, aby było widno, rozplomienią duszę miłością i nauczą zachwyty. To wasze dzieło. Z miłości jesteście i wróćcie w miłość.

Więc kto z was został jeszcze, niech idzie między ludzi, srebrną świecąc głową i niech mówi i niech woła: miłujmy się! Niech w ziemię zapadnie wszystko, co było — na fundament kościoła, w którym się odbędą zaślubiny szczerych serc i prawych dusz z woli wolnej i niewymuszonej, aż się ziemia, spracowana i przesiąknięta krwią, uśmiechnie, rozszumi się wodami rzek i ustroi kwieciami drzew i rozśpiewa wichrem na pamiątkę pojednania...

— Amen! amen! amen! — szepnął ksiądz Łoś.

Zwrócił w górę oczy jasne, rozslonecznione wizją, jakby radosne i poruszał wargami, jakby się bezgłośnie modlił.

XII.

Przysłał do nas w parę dni później ksiądz Łoś kulawego kościelnego służy, z oznajmieniem, że możemy pójść dziś z nim do Zabłockich; siekł jednakże suchy, ostry śnieg, wiatr zaś był tak kąśliwy, że Szczygieł w żaden sposób nie chciał narażać na zimno Haneczki, samej jej zaś nie można było zostawić.

— Idź sam, — rzekł — ja tam jak psu piąta noga.

— Dobrze — odpowiedziałem — obejrzę, co jest do obejrzenia, ty pilnuj Hanksi.

Patrzył potem Szczygieł z pogardą dość źle ukrywaną, jak się począłem stroić na tę wizytę, bośmy się w ostatnich czasach nieco ogarnęli i ostatecznie człowiek bez zbyt wielkich przesądów mógł się z nami przywitać na ulicy, nie bardzo się oglądając. Nie mógł wytrzymać, aby nie czynić dość słusznej uwagi:

— Co ci to pomoże, kiedy ci z gęby zaraz wi-
dać, żeś pismak?

Ukryłem wobec tego rękawiczki, postanowiwszy

je wdziac dopiero na ulicy, bo tej rafinowanej elegancji bylby mi w zaden sposob nie wybaczył.

Ksiądz Łoś przyjął mnie mocnym uściskiem i począł żalować serdecznie, że nie będzie mógł pokazać Szczygła, wybrawszy zły dzień ze względu na dziecko. Postanowił jednak, że pójdziemy we dwóch, cała zaś „rodzina“ zjawi się później.

— Tylem o was nagadał, — rzekł zacny ksiądz — że mi nie przebaczą braku Szczygła z córką. Córka, ha! ha! to wyborne. Niech jej Pan Bóg da wszystko najlepsze, temu maleństwu, a jej ponuremu ojcu twarz niech rozjaśni. Czy on się kiedy śmieje?

— Bardzo często, ale to trudno poznać. On się śmieje jakoś na odwrót, ale bardzo serdecznie i szczerze. Czasem to się aż pokłada ze śmiechu, co się po tem poznaje, że ma wtedy minę, jakby go wszystkie zęby bolały. Zacny Szczygieł.

— Oj, że zacny, to zacny. Ale dziwne mieszkanie wybiera sobie duch boży. To ogromny talent, co?

— Malarz to Szczygieł jest genialny, ale mimo tego z głodu zemrze; maluje tak, jakby wszystkim na przekór i nic go tak nie mierzi, jak mieszczańska sztuka, pani obecnie najjaśniejsza, szurgot arogancki i bezczelny, podlizująca się, łatwa, sprzedajna, tłusta, zażywna i wieczysta...

— Daj jej, Panie Boże, śmierć lekką i krótkie konanie...

— Oby to ksiądz w dobrą wypowiedział godzinę!

Rozmawialiśmy na ten temat, idąc do Zabłockich; wyciągałem nogi jak wielbłąd ze względu na psi czas, nie mogłem jednak dotrzymać kroku temu starcowi, który mierzył ziemię wielkimi krokami, wciąż w nią wpatrzony.

Zabłoccy mieszkali w naszej właśnie stronie w paradnym domu, stojącym w ogrodzie. Dom przypominał śliczną, białą włoską willę i jeszcze w jesieni zwróciliśmy na ten dom uwagę ze Szczyglę, bo wyglądał tak, jakby się zabłąkał w otaczające go zbiegowisko szarych, brudnych kamienic, więc otulił się w wielkiej trwodze w bluszcze i otoczył kolczastymi różami.

Otworzył nam stary, siwy lokaj, który musiał już raz w życiu usługiwać któremuś Ramzesowi, sprawiał bowiem wrażenie mumji, która porusza nogami w dostojnym rytmie. Zdjął z nas okrycia i otworzył przed nami cicho drzwi... Ksiądz Łoś parsknął, wszedłszy do doskonale ogrzanego domu i zacierał skostniałe ręce. Mnie nieco niespokojnie biło serce. Trochę mi się uczyniło nieswojo wśród zbytkownego urządzenia, kiedym się zaś na dobytek ujrzał nagle od stóp do głowy w ogromnym lustrze, dziwiłem się serdecznie tym dobrym ludziom, że mnie wogóle chcą ujrzeć. Instynktownym więc ruchem ukrywać się począłem za plecami księdza

Łosia, który miał potężne bary. Ksiądz czuł się tu jak u siebie, bo odrazu podszedł do drzwi, do dalszych komnat wiodących i zapukał. W chwilę potem stanął w nich człowiek, mogący mieć lat pięćdziesiąt kilka, chudy i wysoki. Był ubrany tak starannie, że mimo wielkiej mojej ciekawości ujrzenia jego twarzy obejrzałem najpierw jego figurę, i zdaje mi się, że każdy człowiek, który go pierwszy raz ujrzał, czynił to samo, później dopiero przenosząc spojrzenie na małą głowę, zlekka pochyloną, na twarz trochę zawiędlą i oczy siwe, mętne; twarz przedłużała krótka, siwiejąca broda, z której ani jeden włos nie odstawał, tak była utrzymana starannie. Nadmierna wykwintność ubrania zdawała się kępować jego ruchy, które czyniły wrażenie ruchów subtelnego automatu; pan Zabłocki chodził miękko, prawie bezgłośnie, jakby się bał kogoś spłoszyć. Podszedł tym krokiem ku nam i, uśmiechnąwszy się, prawie z trudem, podał rękę księdzu, który mnie prezentował. Ucisnąłem rękę tego człowieka i w tejże chwili przyszło mi na myśl, że uczyniłem to zbyt mocno: w dłoni mojej poczułem rękę małą, długą i bardzo chudą, przedziwnie gładką. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie, kiedyśmy zaś usiedli, usłyszałem dopiero głos Zabłockiego, przypominający monotoność deszczu: ton tego głosu był jednostajnie przyciszony, jeśli zaś któremu z wyrazów trzeba było

nadać wybitne znaczenie, wtedy go pan Zabłocki nie podkreślał podniesieniem głosu, lecz rozciąganiem sylab. W głosie był jakby cichy smutek i wielka łagodność, zdawało się, że ten bardzo wykwintny człowiek boi się wciąż, że spłoszy wielką ciszę tego domu, albo tego, że słuchaczowi uczyni przykrość głośną rozmową.

— Jestem szczęśliwy, — mówił — że nas pan zechciał odwiedzić. Proszę wierzyć, że czekaliśmy na panów z wielkiem upragnieniem.

— Dziękuję panu — odrzekłem głosem mimowoli zczyszonym — i przepraszam, że jestem sam. Mój przyjaciel, malarz Szczygieł, nie mógł dziś przyjść, gdyż...

Zaciąłem się, nie wiedząc, czy można temu wytwornemu człowiekowi opowiadać o tem, że Szczygieł nie mógł przyjść, bo „ma dziecko“. Ksiądz Łoś dokończył za mnie:

— Szczygieł niańczy córkę.

Pan Zabłocki uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— Ksiądz Łoś był tak uprzejmym, że nam opowiedział dziwne i ciekawe przejścia panów. Jest mi miło, jest mi bardzo miło... Jeśli zaś pan Szczygieł z panią zechcą nas odwiedzić, będę szczęśliwy.

W tej chwili ponad głową pana Zabłockiego dojrzałem prześliczny obrazek; samotna, ruda sosna na piaszczystej, od słońca gorącej wydmie, wykrę-

ciła się w dziwacznem skłębieniu gałęzi. Uradowałem się z całego serca.

— To Szczygieł! — rzekłem, wskazując głową obraz.

— Tak, to jego, — potwierdził pan Zabłocki, — ten człowiek rozrzuca słońce garściami.

Znowu zapanowała dłuższa chwila milczenia, bośmy wszyscy trzej zwrócili oczy zmęczone na to rozgorzałe światło na obrazie. Po chwili zaś pan Zabłocki rzekł cicho:

— Ksiądz Łoś pewnie objaśnił panów, dlaczego ośmieliłem się panów prosić. Moja córka... pan wie...

Skinąłem lekko głową, on zaś na moment zakrył powiekami oczy, potem mówił jeszcze ciszej, tak, że aż denerwująco; miałem to niesamowite wrażenie, że ktoś umiera za ścianą, a zgromadzeni najbliżsi mówią przyciszonym głosem, aby śmierć, mimo domu przechodząc, myślała, że dom ten jest wymarły i pusty.

— Moja córka jest chora... Wiednie i nikt nie wie, dlaczego?... Nie śmieje się i nie płacze, a jedyne, co w jej oczach można dojrzeć, to zdziwienie, że żyje. Trzeba ją czemś zająć, czemś, co nie nuży i co ją oderwie od zamyślenia...

— Boże mój! — szepnąłem.

— Czyniłem wszystko, co jest w ludzkiej mocy; jej nic nie bawi, — czasem czyta, czasem próbuje

malować, lecz to wszystko trwa krótko, zdaje się, że i to ją męczy. Wtedy godzinami patrzy przed siebie...

— Dziwna rzecz, — szepnął ksiądz Łoś.

— Dziwna rzecz, — szepnąłem, jak echo, — starając się zaś poznać dokładniej przyczynę sprowadzenia nas tutaj, dodałem:

— Czy córka pańska nie ma przyjaciółek? Przecież w tym wieku...

— Nie ma. Zbyt poważna jest na swój wiek. Niedawno skończyła lat dziewiętnaście, a mimo tego, jest to dziecko bez wieku. Czy ja wiem, czy ja wiem?

Żal mi się uczyniło tego człowieka. Znowu na chwilę nakrył powiekami oczy, jakby go ta rozmowa, jeszcze raz dotykająca bolesnego tematu, znużyła. Ksiądz Łoś patrzył na mnie smutno i kiwał beznadziejnie głową.

— Czem możnaby jej ulżyć? — spytałem.

Pan Zabłocki otworzył oczy i spojrzął na mnie serdecznie.

— Wiem, kto pan jest i wiem, kto pański przyjaciel. Kiedy się z szanownym księdzem o tem wszystkim smutnem zgadało, pomyśleliśmy, że Pan Bóg was zsyła... Ja doprawdy sam nie umiem dokładnie powiedzieć panu, w czem jest treść mojej prośby? Ja o wszystko proszę. To wiem, że jest niezbadana w mocy swojej sztuka, trafiania do

ludzkich serc. Ja, ojciec, nie mogłem pojąć tajemnicy serca mojego dziecka, zaś wszystko w niej jest z serca. Wy jesteście dziwni ludzie... wy to umiecie, więc trzeba temu sercu ulżyć. Tak, tak myślałem. Trzeba, żeby biedna córka moja miała przy sobie kogoś, kto jej zasłonę przed oczyma rozewrze i pokaże trochę słońca. O to proszę, o to.

— Jak to uczynić? — zapytałem.

— Nie wiem, — odrzekł pan Zabłocki, — do prawdy nie wiem. Pan to umie z pewnością, pański przyjaciel także...

Pomyślałem sobie, że mój przyjaciel wogóle mało zna sztukę ludzkiej mowy, moje zaś słowo jest niezmiernie biedne. Czekał nas zadanie było i trudne i dziwaczne. Nie wiedziałem właściwie dokładnie, o co idzie, czy mamy być guwernerami w lepszym stylu, czy pajacami do rozrywki bogatej panienki, której się przywidują smutki, czy jej mistrzami? Przez chwilę czułem żal do księdza Łosia, że w najlepszej intencji, chcąc pomóc naszej biedzie, wprowadził mnie w sytuację niesamowitą. Musiały te refleksje wewnętrzne odbić się na mojej twarzy, gdyż pan Zabłocki spojrzał mi głęboko w oczy i rzekł miękim, serdecznym, proszącym głosem:

— Ja proszę o życie dla mego dziecka, niech mi panowie pomogą z całego serca.

Podniosłem się z krzesła i przystąpiwszy blisko do Zabłockiego, rzekłem:

— Prośba księdza Łosia jest dla mnie rozkazem, prośbie pańskiej odmówić nie umiem. Co będzie w mocy naszej, to uczynimy, ja i mój przyjaciel. Lecz to bardzo, bardzo niewiele.

Zabłocki powstał również; uściśnął mi rękę i rzekł:

— Niech Pan Bóg zapłaci. Tak, niech Bóg zapłaci...

Umówiliśmy się, że codziennie po południu będziemy naprzemian przychodzili, jednego dnia ja, drugiego Szczygiel, i będziemy z panną Zabłocką odbywali coś niby nieprogramowe lekcje, rozmowy o wszystkim, byle ją rozerwać; wytworny pan Zabłocki zostawił nam zupełną swobodę, wybór godzin i tematu, zresztą widać było, że się z mojej obecności cieszył na swój mało demonstracyjny wytworny sposób. Obiecywałem za siebie i za Szczygła, wiedząc, że się zgodzi na wszystko, na co ja się zgodzę, zresztą wszystko, co się działo, było zgodnem z życzeniami księdza Łosia, ten zaś wobec Szczygła nieskończenie więcej znaczył niż całe kolegium kardynałskie. Patrzył teraz na mnie ksiądz Łoś z wdzięcznością; nie wiedziałem, co go łączy z tą rodziną, stosunek jego widocznie był bliski i zażyły, pan Zabłocki zaś odnosił się do księdza z wielkim szacunkiem.

Zapadł już wczesny zimowy zmrok i stary lokaj wniósł kandelabry. Przy miłym blasku świec dostrzegłem dopiero teraz wyraźnie bogactwo urzędnika; wszystko było miękkie, puszyste, tłumiące głos i hoduujące w sobie ciszę; mieszkanie to urządził człowiek z nadzwyczajnym smakiem, tak, żeby nigdzie nie było widać pieniędzy; zdawało się, że czuła ręka starła z mebli, portjer, dywanów i obrazów wszystko pstre i zbyt bogate, pozostawiając spokój barwy i miękkość dotyku. Na tem tle mrocznem i jedwabistem, cichem tle, które zaprawione było smutkiem bogactwa, co przestało o sobie wołać i pokryło się nałotem dobrotliwej melancholji, gorzała jedna jedyna plama: słoneczny obraz Szczygła, hardy, młody, wiośniany krzyk w stronę słońca, wołanie namiętne i niefrasobliwe w pysze płomienistego żaru, krzyk, co wpadł z poddasza w to zacisze, śpiące na miękkiej, jedwabistej pościeli, odychające z trudem, w mrok ciężki, wonny, smutny i usypiający. Ten ustąpił z niechęcią i z trudem, ugodzony złotem światłem, które poczęło wsiąkać w dywany i gładzić ściany złotą poświatą. Sosna Szczygła z rudej wiedźmy, co na piaszczystem pustkowiu ręce łamie, uczyniła się złota. Nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia mojego zadowolenia:

— Jak dobrze, że tu się palą świece.

— W tym domu niema lamp, — rzekł ksiądz Łoś, — nieprawdaż?

— Tak, — mówił pan Zabłocki, — moja córka i ja nie używamy innego światła. To jest najmilsze. To jest światło ciche, każde inne krzyczy, a to jest dom ciszy. Jeśli pan pozwoli, pokażę go panu.

— Bardzo będę wdzięczny.

Pan Zabłocki skinął na służącego, który wziął jeden z kandelabrow i poszedł przodem. Starąłem się stąpać cicho, zresztą dywany gluszyły krok. Był to dom dość obszerny i bardzo smutny; wszędzie urządzenie było bogate i sensne w swojej mało-barwnej wytworności, nasyconej melancholją. Mrok ustępował przed naszym pochodem i krył się niechętnie w miękkie fałdy portjer i za wspaniałe, ogromne meble. Powietrze w całym domu przepojone było jakimś subtelnym zapachem, ledwie dającym się odczuć; mógł to być zapach jakichś przemyłych perfum, których kropelkę rozpylono, lub też woń smutku, radosna pogoda i milczący smutek mają każde woń swoją. Pomyślałem, że lepiej jest w takim domu umrzeć, niż żyć, śmierć bowiem musi być bezbolesną, łagodną i bezgłośną, życie zaś takie same, najcięższe ze wszystkich, cóż może bowiem być dotkliwszego, nad życie bezbolesne, łagodne i bezgłośne? Patrzę na tego wytwornego człowieka, co stąpa teraz przy mnie, wykwinny, cichy, który czasem z trudem podnosi rękę, aby mi bez jednego słowa pokazać rzecz jakąś przepiękną i czasem, jakby bardzo znużony, nakrywa mętne

oczy swoje powiekami i żał mi go. Myślę sobie, że dobrzeby było, aby go nagle coś przeraziło śmiertelnie, lub zimna, niewidzialna ręka chwyciła za gardło, tak, aby, poczuł nagle ucisk serca i przesywający ból... Możeby uczynił ruch gwałtowny, silny i rozpaczliwy, krzyknął w głos i na chwilę ożył. Lecz on by nawet wtedy nie krzyknął. On jest taki, jak jego dom. Ten człowiek nie nastraszy się śmierci własnej i ułoży się do skonu wytwornie; to już są tacy ludzie. Bardzo nieszczęśliwi, których dotknęła jedna z najstraszliwszych chorób, trapiących człowieka: skostniałość; on nie zna radości, ani smutku, nie zna smaku słodczy i soli, on nie płacze i nie śmieje się nigdy. Dla wszystkiego ma uśmiech jeden i ten sam, łaskawie dobry i bezbarwny, uśmiecha się nim do szczęścia i nieszczęścia. Żał mi go było bardzo, tem więcej, ilekroć razy mówił o córce; wtedy tylko coś serdecznego tliło się w oczach jakby przyćmionych, które patrzyły tak, jakby nikogo nie chciały tknąć spojrzeniem.

Dreszcz po mnie przebiegł. Spojrzałem mimowoli na księdza Łosia, który szedł za nami ciężko, a jego olbrzymi cień zasłaniał połowę powały; milczał wciąż, jakby się obawiał, że jego głos, do komendy przywykły i do śpiewu, wywróci te mury oklejone angielską tapetą, skupione i zadumane. Pomyślałem w tej chwili, że ten stary ksiądz jeszcze mi się stał bliższym, gdyż jesteśmy z jednego rodu, z jednej warstwy,

co się boi ciszy i cienia, z jednego biednego tłumu ludzi odważnych, który z wołaniem duszy i radosnem graniem serca idzie przed siebie, on w grób, ja nieco dalej, w przyszłość moją, która spadziostością też mnie tam zawiedzie; idziemy śpiewający, z wrzawą i szumem, na podbój serc, aby się w jednym odezwały chórze tysiącem głosów, dzwoniących w hymnie na cześć życia i radości słońca, a sfera psia bólów i głodu, nędzy i cierpienia, chłodu i złorzeczeń za nami goni. Niechaj kasa, bo ma kły. I niech siecze nas deszcz w twarze, aby się słońce wydało potem jaśniejsze. Niechaj już tak będzie, jak jest. Niechaj mnie niesie zaprzęg mych helleńskich koni po drodze pełnej przepaści i wyrw, po Mlecznej Drodze życia, co się pieni i szumi i tysiącem głosów woła i bluzga, byłem nie skostniał, jako ten oto i bym czuł wciąż pod czwartem żebrem stuk szybki, niespokojny, głośny i natarczywy, co się czasem w burzę rozpęta i głowę ogarnie szalem chmury ogniowej, palącej oczy i mózg, że się w wirze wichru ponad ziemią płynie, wśród gwiazd śpiewających i dzwoniących szklanym dźwiękiem w puste przepaście na cześć i chwałę wszystkiego, co żyje i co cierpi wielkiem cierpieniem, co się ku wyżynie boskiej na skrzydłach niesie w dumie swojej nieogarniętej, wspaniałej, płomienistej i w wieczność bije skrzydłami, jak orzeł bije powietrze. Cóż jest wobec tego ból i nędza? Niech się pastwi nad duszą ludzką

siedem lat złych i gorzkich, niech ją nęka bez litości za nagrodę tej jednej chwili, kiedy się rękoma rwie zachłannymi szmat purpurowego nieba na strój królewski dla wynędzniałej duszy, co długo leżała w pyłe ziemi; kiedy się żarem serca pali wieczyste śniegi na górach i woła wielkim głosem Prometeusza, co tu przykuty, bluźnił, aby się odezwał w grzmieciem górskim echu; kiedy się płonie jak żagiew wśród nocy, tak czerwona, jakby w niej płonęła krew aby się widno uczyniło mrowisku ludzkiemu, orzącemu ziemię!

Temu oto, który ciszą przesiąkł, blask złoty i cichy czterech świec przyświeca na całej jego drodze. W tej chwili światło ich padło na jego twarz i wtedy dojrzałem, że się stała bledsza. Byliśmy w pokoju bibliotecznym, bez okien, — światło dzienne padało z góry przez okno okrągłe, jak ta salka pełna szaf, w których w szeregu, jak żołnierze, stali mędracy, każdy z etykietą złotą swojego nazwiska na czole. Pokój ten bez okien wyglądał jak katakumba, w której pochowano mózg ludzki.

Służący zatrzymał się przed jakiemiś drzwiami i skierował na Zabłockiego pytający wzrok. On spojrział na mnie i rzekł cicho:

— Moja córka...

Zatrzymaliśmy się wszyscy, Zabłocki zaś jakby nastuchiwał; ksiądz Łoś oparł się o biblioteczną szafę i o czemś rozmyślał.

Serce zabiło mi silniej. Wiedziałem, że spotkam chorą czy też chorującą melancholijną pannienkę, pewnie bardzo bladą, bo wyhodowaną w tej mrdłej, bezgłośnej, woniejącej atmosferze i pewnie tak wytworną, jak jej ojciec, — mimo tego ogarnął mnie niepokój. Coś mię przecież z tą istotą sprzęgło poza nią; z jej powodu jestem w tym domu i mam z nią mówić — Bóg raczy wiedzieć, o czym? Przychodzą czasem na człowieka chwile niepokoju o nic, przeczuwa się coś, coby się nigdy stać nie powinno wedle najmędrzej rachuby ludzkiej, a co przecież się staje. Człowiek rzadko przeczuwa w ten sposób szczęście, zawsze zaś klęskę i to jest nieraz jedyna obrona człowieka przed tem, co ma przyjść w grozie i bólu. Może się to dzieje dlatego, że serce ludzkie bardziej przywykło do cierpienia i rozpoznaje je z daleka, o sto mil, nie widziało zaś nigdy szczęścia, więc nie czuje jego zbliżenia się. Kiedy je zaś wreszcie ujrzy, to i wtedy człowiek płacze, albowiem łyzy ma zawsze w pogotowiu. Dusza ludzka jest przesądna i nigdy szczęściu nie wierzy; tyle już było tego szczęścia na świecie, co przyszło, co się rozwiało i co umarło, słowa jednego nie wypowiedziawszy, że się człowiek stał zaboronnie ostrożny i napotkawszy szczęście, czeka długo niepewny. Kiedy zaś rękę po nie wyciągnie, już przeminęło, uniesione wiatrem.

Zdzciziałem, zdaje mi się, na tem poddaszu

ze Szczygłem, bo przestałem w tej chwili panować nad sobą i jakaś ciągnąca, miłe bolesna trwoga ogarnęła mnie całego. To robota mojej fantazji, która już wiele wyprzedła rzeczy niepotrzebnych, wiele dziecinnych, wywołała trwóg i wiele nadziei, które gasły, jak nikle, zielone światełka na bagnie. Zbyt dotąd byłem samotnym i nagle wszedłem w kolisko dziwnych ludzi, jakich dotąd nie spotkałem jeszcze, a za chwilę mam ujrzeć istotę jeszcze jedną, może z nich wszystkich najbardziej szarą, może zaś najdziwniejszą, zabrakło mi więc do tego odwagi. I ten dom jakiś taki dziwny, zarażający smutkiem miłym, cichym, usypiającym, że się w nim pewność wszelka rozplywa i hart jej mięknie... Tysiąc przywidzeń, jak tysiąc szybkołotnych nietoperzów poczęło latać w półmroku, jakby zbudzone światłem świec. Spotkam młodą, chorą panienkę. No i cóż? Widziałem wiele kobiet w życiu. Jeszcze raz wydobędę parę świecących i brzęczących słów, które się nosi w kieszonce kamizelki na codzienny użytek w rozmowie z kobietami i pójdę, skąd przyszedłem. Zresztą i tego nie zrobię. Żal mi tej biednej, nieznannej panienki, hodowanej jak kwiat, przed którą pewnie nikt jeszcze w biednym jej życiu nie skłamał, więc i ja nie skłamię. To wszystko dobre dla wypłowiałych lwic, które krążą po puszczy, szukając, ktoby je pożarł. Te nie znoszą słów prostych i uczciwych, bo na to zdo-

będzie się byle mąż, tym trzeba słów szlifowanych, bezczelnie udających brylanty, łaskotliwych, dzwoniących i przedewszystkiem nie mających sensu, wtedy bowiem mają pewnie ukrytą, straszliwą treść. Kłamstwo wszelkie, choćby najbardziej wyświechtane, jest w tym wypadku warunkiem i podstawą do dalszych pertraktacji, do czego już będą potrzebne jedynie westchnienia, także pewnie wiele mówiące. Nie wolno kłamać tylko wobec dzieci, które naprawdę uwierzą.

Nie wiem, skąd mi to wszystko na myśl przychodzi, bo ani nie będzie potrzeby gatunkowania słów, ani zaprawiania ich kłamstwem. Czekam za temi drzwiami ktoś, kto nie jest kobietą i nie jest dzieckiem. Nic jej nie powiem, prócz tego, co jest konieczne. Nie mam zresztą najmniejszego prawa do obmyślenia prologu, a następnie dramatu; jeśli to uczyniłem, to z przyzwyczajenia. Kiedy się w życiu spotyka dwóch mężczyzn, mogą nie powiedzieć do siebie ani słowa, podadzą sobie ręce i rozejdą się; kiedy mężczyzna spotyka kobietę, starają się wtedy i on i ona pozostawić ślad jakiś najmniejszy, choćby tylko w oczach drugiego i choćby się nigdy w życiu nie mieli więcej spotkać; najuczciwsza kobieta nie zgodzi się na to, aby jej nie zauważono, wystarczy jej błysk podziwu lub zdumienia na jej widok. Należy o tem wiedzieć przy spotkaniu kobiety, że nie można jej

niczego nie powiedzieć, choćby tylko wzrokiem. Przyzwyczailem się więc i ja do tego i stąd to przygotowywanie się. Najszczęszy człowiek jest komedjantem, choćby w jednym atomie swoim, choćby w szczerości własnej.

Chciałem się otrząsnąć z tych myśli, szumiących dokoła głowy jak owady, zapomnieć o codziennym teatrze amatorskim, który się gra na każdym miejscu i o każdej porze i spotkać tę dziewczynę jasnym, uczciwym spojrzeniem. Człowiek przeżywa takie chwile, kiedy chce być niezmiernie dobrym i czystym i duszę swoją okazać, wybieloną jak śnieg: chwilę taką jedną i jedyną ma każdy człowiek owego zawsze dnia, w którym oto narodziła się w nim pierwsza miłość. To jest zwiastowanie. Potem przemija, przemija, jak wszystko zresztą i jak miłość.

Mnie zamarzyła się nagle ta białość duszy, jasność słowa i czystość spojrzenia, bo poczułem w sobie wielką, serdeczną litość dla tych wszystkich, pewnie niezmiernie dobrych ludzi, którym patronował, cudownem sercem swoim błogosławiąc, ksiądz Łoś, dla tych ludzi, których smutek cieszył, że są bezgłośni i jakby czekający śmierci łagodnej i dobrej. Wezwali mnie, abym ze świata przyniósł w dłoniach snop słonecznych promieni, a w źrenicach wieść radosną o życiu. Trzeba więc być dobrym dla tych dobrych. Trzeba, aby w tym domu zapachniało życie, woniejące, jak rozkwie-

cona, zalana słońcem i złotym pyłem pszczoł, łąka. Wiem i czuję, że mam gdzieś na dnie serca ocalałe z pogromu jakieś dobre słowo, dobre i kojące, że pod powiekami ukryty uśmiech mam na wielkie, słoneczne przeznaczone święto, prawdziwy i leczący, w całym zaś sobie pragnienie czynienia dobrego, tęsknotę, aby nad wszystko, co żywe, zaprowadzić miłość, jak słoneczną jaśń, nad ludzi i drzewa i morze, abym sam mógł wziąć okruch jeden brylantowy, pyłek jeden z tego ogromu, człowiek biedny, któremu nie potrzeba wiele.

Należy mi więc wejść za te drzwi jako temu, którego życie nauczyło nie przeklinać, lecz błogosławić; spojrzeć w oczy temu pewnie cichemu dziecku i rzec mu spojrzeniem: niech ci będzie zawsze dobrze, dziewczyno cicha. Niema we mnie w tej chwili innej myśli, jak tylko myśl czysta i nie znam w tej chwili słów innych, jak te tylko, które mają kształt serca!...

— Wejdźmy! — rzekł cicho pan Zabłocki.

Dreszcz przebiegł przez całe ciało moje, kiedy drzwi się otwarły bez szelestu.

XIII.

W złotawym mroku nakrytych abażurami świec dojrzałem dwie kobiece postacie. Pan Zabłocki mnie zaprezentował, ja zaś nisko pochyliłem głowę, czekając, która z tych pań do mnie przemówi; nie usłyszałem żadnego głosu, spostrzegłem tylko, starając się oswoić z mrokiem, wyciągniętą ku mnie białą, aż przejrzystą, drobną rękę. Podszedłem szybko i ująłem ją w swoją dłoń. Panienka siedziała przez pół, przez pół leżała w ogromnym fotelu, pięściwym i przytulnym. Wtedy nie widziałem jej postaci, nie widziałem niczego, prócz oczu. Przy pierwszym spotkaniu z człowiekiem zawsze jakiś rys, jakiś szczegół uderza wzrok przedewszystkiem i czasem, po latach, nie pamięta się twarzy, pamięta się tylko to jedno, co najpierw padło w źrenice i co w nich już pozostało na zawsze. W tej chwili widziałem tylko oczy.

Albo mnie mrok mamił, albo tak było w istocie, nie wiedziałem wtedy; patrzyły we mnie oczy nadmiernie duże, a głębokie, czarne o złotawym połysku, który zapewne pochodził od migania świec;



były to oczy spokojne, rozumne, patrzące łagodnie i bez drgnienia w oczy moje. Pomyślałem, że pewnie widzą one głębiej, niż każde inne i widzą więcej, nie są to bowiem oczy dziecka, ani kobiety pragnącej; zdawało się, że całe życie tego dziewczęcia jest w nich i dusza jej mieszka w tych źrenicach, które się niczemu nie dziwią, niczego nie pragną widzieć, za niczem nie tęsknią, niczego ogniem nie palą, lecz są spokojne spokojem człowieka, który wiele cierpiał, głębokie tą głębią, na której dnie śpi śmierć na kwiatach i smutne tym smutkiem, który się uśmiecha, poznawszy, że złote piękno schnącego jesiennego liścia przyrównane być może do bieli wiosennego kwiatu. Zdawało mi się, że twarz cała blada i drobna, jeszcze się mniejszą staje, a tylko one, oczy wielkie, patrzą cicho, bez uśmiechu, a przecież się uśmiechają, na ich zaś dnie przepaścistym tlą dwie złote iskierki życia, to wszystko, co z niego pozostało i grzeją serce i duszę, aby służyły tym oczom, które patrzyły najpierw ciekawie, potem w przerażeniu coraz większem, jak się dokoła dziecinnego łóżka włóczą strachy i mary, trwożące i pijące krew z piersi bujnych, coraz bledszych i zapadających w głąb; które patrzyły, jak się dzień zmawia z nocą, aby przemijały prędzej, skracając życie oczom, które zamykały się, przerażone, a przecież widziały, aż wymęczone łękiem, wybielone łzami — uśmiechnęły się po raz pierw-

szy do widma, które uklęknęło, z wielką czcią wyciągając dłonie i prosząc o serce — do widma śmierci. Wtedy oczy te, które widziały tylko różowy rąbek wschodzącego życia, nieuczone poznały głęboką treść wielkiej księgi i stały się jednego dnia rozumne. Pomazał je smutek, wielki-nauczyciel, olejami mądrości i jednego dnia stały się mądre. Odtąd już patrzyły mądrze, lecz zawsze smutnie, bo smutną jest wszelka mądrość, im ona bowiem większą się staje, tem mniejszym się staje człowiek i kurczy się aż do małości serca, które jest wieczne i nieśmiertelne i ponad moc niszczącą mądrości. I w obliczu jej maleje to, co było najpotężniejsze na świecie: śmierć. Poznawszy to, uśmiechają się oczy mądre i od tej chwili smutek ich jest uśmiechnięty łagodnie i przyjaznym, dobrem spojrzeniem witają wierną towarzyszkę człowieka, śmierć, z którą o rzeczach rozprawiając boskich, pójdą jako dwaj filozofowie dobrotliwi na łąki, asfodelami pyszne, gdzie panuje miłość, co jedno skrzydło rozpostarte ma nad światem, a drugie nad miejscem wiecznym. Ona bowiem nie ma początku, ani końca, ani się rodzi, ani umiera.

Patrzyły we mnie oczy, które wiedziały.

Z czasem się już z takiemi oczyma rodzi dziecko, które zawsze jest ciche i smutny ma uśmiech. Matka mówi o niem, że będzie poetą, lecz dziecko takie nigdy nie żyje długo.

Patrzyły na mnie oczy mówiące: widzę śmierć, która się do mnie uśmiecha, — czemu żyję tak długo? Widzę zgryzotę twego serca i męczy mnie to. Widzę w koronie kwiatu robaka, który ją stoczy i przyprawi o śmierć. Wszystko widzę i mam duszę od tego wylękną. Nie ma dla mnie rzeczy zakrytych, więc nie mogę żyć, bo nie może być, aby człowiek wiedział wszystko. Uśmiecham się do śmierci, bo ona uśmiecha się do mnie oczyma, które są zielone i podobne do głębi morza. Niech ją dopuszczą do mnie, abym wyjęła ze mnie serce, które jest obolałe. Oto jest przyjaciółka moja jedyna, która idzie ze mną od wielu, wielu lat i mówi mi co nocy, kiedy wszystko śpi, którądy trzeba iść, aby dojść. Od niej wiem słowa takie, których nikt nie pojmie, albowiem nie są z tego świata. Niech ją dopuszczą do mnie, abym ujrzała jeszcze dzisiaj to, czego nikt nie widział, a o czym wiem, że jest, bo tam właśnie idę, zatrzymawszy się u was na chwilę...

Rzekłem oczyma oczom tym przepaścistym: W imię życia, które tworzy i czyni, mówię ci...

Odpowiedziały mi złotym połyskiem: Jeśli przyszedłeś mnie cieszyć, odejść w czas, abys później nie odszedł z goryczą. Pozostaw mnie w uśmiechniętym spokoju moim, jeśli przyszedłeś leczyć moją duszę. Jestem szczęśliwa, och, jak bardzo jestem szczęśliwa. Nie wie człowiek, jaką bezmierną rozkosz czyni przecucie śmierci, która na przyjście

swoje złoci liść drzewa i każe mu głęboko milczeć, na kwiatkach gasi kolory słońca i maluje je melancholją, a człowieka czyni pięknym, aby duszę miał białą, pokropioną hyzopem, a oczy rozświetlone, jak dwa księżycy; wypięknia się dusza moja i odziewa w nieskalaną biel, jak na przyście obłubieńca, a na promieniach pływa i na liljowej chmurze ciszy, w milczeniu głębokim, albowiem tylko milczenie mówi. Więc mnie nie żałuj, gdyż jestem piękna. Tego jednego tylko pragnęłam i oto śpi snem złotym w przepaści moich oczu piękno smutne i nieme, dlatego oczy moje nie mogą patrzeć w węzowe kłębowisko życia, które rodzi nieczyste potwory z zielonemi oczyma i z rudą grzywą płomieni na grzbiecie: troskę, zgryzotę, rozpacz i szaleństwo. Moje piękno ma w sobie pokój śmierci i jest wieczyste. Jestem liść złoty, który się odewiał od gałęzi i w tumanie złotego pyłu jesiennego słońca waży się w powietrzu cichem i niemem i bez szelestu, kręgiem, ku ziemi dąży. Jestem szczęśliwa.

Powiedziały tym oczom głębokim zdumione moje oczy: Więc czemuś smutna, przyjaciółko moja? — Odrzekły mi cichym, ledwie widnym uśmiechem jej oczy: O, jak mało widzą twoje źrenice, które zawsze krążyły po ziemi i nigdy nie zajrzały aż na głuche dno zielonej, głębokiej wody! Widzisz smutek oczu moich, a nie zajrzałeś w przepaść pod

niemi, w cichą przepaść bez wiatrów, gdzie się radują własnym blaskiem klejnoty moje, łyż nocy, stężale w czarne perły i rubiny z kroperek krwi, które czasem zamiast potu ukazują się na skroniach. To jest wiano moje na zaślubiny ze śmiercią. Czy myślisz, że jest naga, płachtą okryta, że oczodołami pustymi patrzy i że ma w ręce kosę? Jeśli w takiej postaci jawi się twoim oczom, pojmuje twoją trwogę, człowieku bardzo biedny. Moja śmierć ma kształty greckiego efeba, z ciałem spalonem na miedź; piękna jest, jak młode księżątko czarnookie, usta zaś ma młode i gorące. Wiem, bo mnie całuje każdej nocy, pochyliwszy się nade mną z wielką czcią, wszakże zna moje serce i wie, że jest czyste. Wtedy raduje się, o, jak bardzo się raduje. Wtedy wiem, że jestem piękna, bo jakżeby inaczej mogłaby mnie ogarnąć radość boska, która duszę wyjmuje z piersi i niesie w blask, w złoty śmiech słońca? Brzydota cierpi zawsze i nie raduje się nigdy, — radość jest udziałem bogów. Więc czemu mówisz, że jestem smutna, kiedy są chwile takie, w których czuję, że oto ciało całe mam prześwietlone nawskroś, że wygląda jak liljowy obłok o poranku, a duszę rozśpiewaną tym śpiewem, którym śpiewają gwiazdy, jeśli się wiatr pośród nie zabłąka; wtedy oczy moje, które się tobie wydają smutne, podobne są do dwóch ogni palących, zapalonych blaskiem radości. Radosna jestem, bo się wtedy

unoszę ponad ziemię, która wygląda jak tarcza srebrzysta i wtedy, z niezmiernej oddali i ona piękną się wydaje, bo ma pozór umarłej. Radosną jestem, ponieważ trwam w mojej wiosnie, która będzie wieczysta, nie ujrzę bowiem ani mojego lata, ani jesieni mojej. Radośniejsza jest śmierć o poranku, kiedy całe niebo zakwita liljami, niżeli wieczorem, kiedy się na niem krwawią róże konające i płaczą kroplami rosy. Lecz ty nie pojdziesz ziemskiej tej radości, bo oczy twoje są okrażone znużeniem i pełne są pyłu, które ci wiatr ciska w źrenice...

Odrzekły jej oczy moje: W trudzie moim jest piękno, które się odradza, w znużeniu mojem jest słodycz, która płynie z mego dzieła, jak miód i karmi i poi dusze umęczone. Powiedz śmierci swojej, niech odejdzie, skłoniwszy się pióropuszem, albowiem cię mam. Cóż, że ci niebo maluje w liljowe kolory, jeśli cię potem zawiedzie w pustkę nieurodzajną, dziecko ty biedne, oszukane przez śmierć? Pamiętaj, że na ziemi tylko i nigdzie poza tem jest coś, za czem tęsknią aniołowie, coś, co jest wieczyste jak Bóg i jak śmierć i co przed nimi jeszcze było, albowiem oni z tego są źródła, coś, co w pięknie swoim jest ponad morze i ponad gwiazdy, coś, za czem tęsknią nawet umarli, bo nie znaleźli tego w liljowym śnie nieba. Czy wiesz, co jest jedynie na ziemi?

Oczy jej spojrzały we mnie ze smutnym uśmiechem, mówiąc: Cóż może być na ziemi nieszczęśliwej?

— Miłość! — odpowiedziały jej oczy moje, ona zaś nakryła przepaściste oczy swoje powiekami, bo ją słowo to oślepiło jak błyskawica...

Usłyszałem głos niski, altowy, przedziwnej piękności:

— Dziękuję, że mnie pan odwiedził.

Uścisnąłem jej drobną rękę, którą dotąd trzymałem w dłoni.

Przywitałem się ze starszą panią, która była daleką krewną, trzymaną do towarzystwa panny Zabłockiej i nazywana była „ciocią Isią“. Była to przesadnie afektowana, leciwa matrona z broszą na szyji, wyobrażającą malowaną na porcelanie głowę młodego neapolitańczyka, broszą tej wielkości, że mogłaby w czasie bitwy służyć za tarczę. Pocziwa jej twarz, okolona pejsowatemi, figlarnie skrzywonemi lokami, okraszona była nieschodzącym z niej uśmiechem, podobnym raczej do bolesnego skrzywienia. Patrzyła na mnie z nieudanym podziwem i z dziwną serdecznością, której powód tkwił w tem, że ciocia Isia pisywała wiersze, byliśmy więc sobie bliscy z racji koleżeństwa. Jedynym ich czytelnikiem był anielsko cierpliwy ksiądz Łoś, który mi o nich później opowiadał; były to rozmaite z rozkrwawionem sercem „skargi dziewicze“, — „prośba słowika

do róży“, — „smutne skowronki“ i tym podobne arcydzieła liryczne, rzewne i zacne, największem jednakże marzeniem jej pocziwego życia była chęć wypowiedania się przed księdzem Łosiem — wierszami. Odwodził ją od tego zacny ksiądz, jak mógł, twierdził wreszcie, że osobie tak pocziwej zbraknąć może rymu z powodu małej ilości grzechów, ciocia Isia gotowa była jednakże nawet zgrzeszyć dla rymu. Byłby to w każdym razie rym męski.

Witał się z nią serdecznie w tej chwili ksiądz Łoś, potem przystąpiwszy do fotelu panny Zabłockiej, gładził ją po głowie i mówił:

— Jak się dziewczynka miewa, dobrze, co?

— Dobrze, — odrzekła swoim ślicznym niskim głosem.

— I nic nie boli?

— Prawie nic.

— No to dobrze, bo ten mój przyjaciel, — eksk, wskazując głową na mnie, — opisałby Zofję w straszny sposób, gdyby co bolało.

Zarumieniłem się, jak żak i spojrzałem na ędzę błagalnie. Panna Zofja uśmiechnęła się do niego łagodnie.

— Ksiądz Łoś zawsze tak ze mnie żartuje, bo mnie nie kocha. Ale pana strasznie kocha, pana i pana Szczygła.

Z kolei staruszek się stropił.

— Plotki robisz, dziewczyno niedobra.

— Wcale nie plotki, przez cały tydzień nic, tylko o panach i o Haneczce. Ja doskonale wszystko wiem, wiem nawet, że ta dziewczynka ma łóżeczko w pracowni malarskiej, a koło niego parawan z obrazów, prawda, ojczulku? A w Haneczce to się ksiądz kocha.

— Prawda! — rzekł cicho pan Zabłocki, który przysiadł opodal i nie spuszczał z niej spojrzenia.

— To nie ja opowiadałem, — mruknął wesolo ksiądz.

— Ciociu Isiu! Kto to opowiadał?

Ciocia przeniosła swój bolesny uśmiech z lewej strony ust na prawą i coś, pewnie wierszami, bąknęła pod nosem, panna Zofja jednakże już nie oczekiwała na odpowiedź. Zdawało mi się, że chciała zrobić przyjemność ojcu, więc się ożywiła na chwilę a twarz jej poważna przybrała wyraz dziecięcy. Teraz nagle zagasła, jakby tych niewiele słów zmęczyło ją: nie spuszczałem wzroku z jej twarzy, podobnie jak pan Zabłocki. Nie była to twarz piękna, zbyt była drobna i bez krwi, raczej brzydka, wspaniale jednakże oczy nadawały jej twarzy wyraz nieziemski; panna Zabłocka nie wstawała z fotelu, więc nie można było określić jej postaci, musiała jednakże być wątła. Młode stworzenie z wieku, miała wyraz kobiety, która wiele wycierpiała i tylko czasem, bardzo rzadko, jakby wywołany sztucznie, napięciem woli, zjawiał się na jej twarzy uśmiech młody. Głos

jej przejmujący, niski bardzo, potęgował wrażenie, że to nie dziecko, lecz ktoś bardzo biedny, mądry przez ból i poważny wielką powagą nieskarzającego się smutku.

Wiedziałem, że ją cieszy obecność tylu osób bliskich i że ją równocześnie bardzo męczy; można to było wyczytać w jej oczach, dziwnie wymownych, rozumnych i nie kryjących fałszu. Czasem kierowała je wprost w moje oczy, lecz nie było w jej spojrzeniu nic z ciekawości, jakby chciała rzec wzrokiem, że właśnie takim mnie sobie wyobrażała i że jej nie dziwi na świecie nic, nic, bo przykuta do swego fotelu, rozmyśla i dzień i noc, czująca, wrażliwa, mądra mądrością samotnika, którego oczy widzą głębiej i dalej i widzą w mroku. Tak byłem w nie wpatrzony, że utonąłem w nich całą myślą. Czułem jakąś wielką rozkosz patrzenia i miałem wrażenie, że złotawy błysk tych źrenic czarnych jak noc hypnotyzuje mnie, spojrzenia zaś ich toczą dookoła mnie złote kręgi, coraz węższe i węższe, że wreszcie przestałem widzieć wszystko dookoła, widziałem tylko dwa czarne morza tych oczu ludzkich, najpiękniejszych na świecie.

Dreszcz po mnie przeszedł.

Zacząłem o czemś mówić, — sam nie wiem o czem. Posłuszne słowo padało samo z moich warg, pewnie bez porządku, wiem to tylko, że słyszałem swój głos własny jakby zdaleka, jakby mo-

im głosem mówiła osoba obca; mówiłem o rzeczach błahych i pustych, monotonna i niejasno. Dookoła była cisza, myśmy tylko oboje rozmawiali oczyma, słowa zaś moje tułały się wśród mroku, nie wiedząc, co z sobą uczynić. Padł na mnie lęk. Nikt jeszcze w życiu mojem nie miał władzy nade mną, byłem bowiem człowiek mocny, zahartowany w nędzy ostrożnej, podejrzliwej, nakazującej ciszę sercu, aby go kto nie poraził śmiechem, gorszym stokroć od bólu. Te oczy były mocniejsze ode mnie.

Potem zaczął mówić pan Zabłocki; znowu zdawało mi się, że ktoś mówi, nie obok, lecz z oddali. Byłem, jakby w zaczarowanym kręgu, w którym panowało milczenie, wszelki zaś głos ludzki kładł się jakby u progu, a dolatywało jeno lotne jego echo, dopiero, kiedy ona przemówiła, niski dźwięk jej przeczystego głosu wypełniał ten szklany klosz, w którym byłem i stawał się przez to jakby głosijszym. Miałem pełną duszę tego głosu jak śpiewu i aż przymknąłem oczy, tak mi było dobrze, miękko i pieściwie wśród tych dźwięków powolnych, płynących ciężko, bo były z metalu, łagodnych i dobrych. Mówiła:

— Czuję się dobrze. Naprawdę, że mnie rozpieszczacie zanadto. Wie pan, mnie tu wszyscy tak niemożliwie piezczą, bo się wszystkim zdaje, że jestem chora. Ksiądz Łoś wmawia to w mego ojca, a ojciec we mnie, a ja nigdy zdrowszą nie

byłam. Zobacz pan, — będziemy czytali, wszystko co pan łaskawie każe, będziemy malowali z panem Szczygłem na przekór księdzu, który czyta tylko bre-wjarcz i to tylko jednym okiem.

— Ot, doczekałem się! — mruknął ksiądz.

— A ciocia Isia da nam swoje poezje, które chowa gdzieś między sukniami. Naprawdę, proszę pana, między sukniami, aby były pachnące. Prawda, cioteczko? Da nam ciocia swoje wiersze, bo pan ich bardzo ciekawy?

Ciocia Isia podniosła poczciwe oczy do nieba i stanęła cała w purpurowych zorzach, potem skrzywienie swojego wieczystego uśmiechu przeniosła na przeciwną stronę ust.

Panna Zofja odpoczęła chwilę, potem, spojrzawszy mi w oczy, rzekła:

— Pan musi być bardzo, bardzo dobry...

Uśmiechnąłem się sposobem cioci Isi.

— Musi pan być dobrym, jeśli pan mnie odwiedził. Mnie nikt nie odwiedza, chyba nowa książka, a i z tych nowych książek ciocia odbiera mi połowę, bo nie są dla mnie.

— A sama czyta je w łóżku, — rzekł ksiądz łoś, uśmiechnąwszy się.

Ciocia Isia, której jednego słowa dotąd jeszcze nie słyszałem, spojrzała na księdza wystraszona, i chciała wielką grozą spojrzenia przysiądz przed Bogiem i ludźmi, że się jej dziewiczego serca nie

imają sprawy djabelskie, spotkawszy się jednak z dobrym uśmiechem księdza, uśmiechnęła się także jedną stroną twarzy. U tej zacnej matrony wszystko się kończyło na tym poczwicie paralitycznym uśmiechu. Straszliwe posądzenie wywołało jednakże na jej zawiędłą twarz w aureoli loków bladą jutrzenkę rumieńca, podobną do płamy z cegły.

Zauważyłem, że zachowanie się wszystkich zebranych tu osób jest dziwne, wszyscy bowiem smutno kłamią; chora panienka starała się przemawiać wesoło i wciąż zaczęła pajączną słowa o dobre serce księdza, lub cioci lsi, oni zaś czynili to samo. Uśmiech księdza był nieszczerzy i znać było, że nie mógł przylgnąć do jego twarzy, surowej i bladej; uśmiechał się z przymusem, jak wierny dworak chorej księżniczki, którą kocha z całego serca. Rozmowa rwała się wciąż, w przestankach zaś myślał każdy o tem, coby powiedzieć, by się uśmiechnęła ta dziecinna blada twarzyczka; było to zgromadzenie pajaców tragicznych, uśmiechających się boleśnie, gdyby zaś można odwrócić twarz i nakryć ją mrokiem, byłby każdy płakał. Ciężki, duszny smutek zwisał jedwabistem velarium od stropu, kiedy zaś wszyscy umilkli, cisza stawała się przeraźliwa. O, jak smutno, tem smutniej, że ile razy to biedne dziecko zwracało na kogokolwiek swoje wielkie oczy, tyle razy ten człowiek — uśmiechał się. Wyrwał palcami jakiś szczątek uśmiechu

z pod serca i malował sobie nim twarz. Ona zaś umiała patrzeć do głębi.

Uczulem nagły ból serca. Widziałem nędzę i nie mogłem patrzeć na to, jak dobija to dziecko; w wielkiem roztkliwieniu czulem wielką jej krzywdę i żal do samego siebie za zbytek sił i za wielmożność zdrowia, które chciałbym podzielić na równe połowy i jedną z nich nakarmić jej ciało wątłe i bezsilne.

Powstałem nagle i począłem się żegnać ze wszystkimi. Poczulem znów jej rękę gorącą w mojej dłoni i wzrok jej, który mnie objął całego. Rzekła cicho:

— Niech pan wraca szybko.

— Dobrze, — odpowiedziałem — teraz mi już czas.

Czas był najwyższy, gdyż godzinny pobyt w tym smutnym domu przejął mnie chorym smutkiem nawskroś. Bóg mi świadkiem, że serce miałem czyste i oczy jasne, kiedym tu wchodził. Kiedym wychodził, poczułem na sercu ciężar, a oczy miałem opętane widmem. Nie widziałem nic przed sobą, tylko jej oczy wielkie, smutne i mówiące.

XIV.

Szczygiel nazwał starego Zabłockiego „masonem“ i na to już nie było rady.

— Dłaczego mason? — zapytałem.

— Bo on tak wygląda.

— A widziałeś kiedy masona?

— Nie widziałem, ale on jest mason. Ty się zresztą na tem nie rozumiesz.

Jak eremita był dla Szczygła widmem sympatycznym, tak mason był synonimem wszelkiej niesamowitości niemiłej. Mój przyjaciel nie lubi ludzi z mgły i wytwornie cichych.

— On jest taki, — mówił, — że czekasz, kiedy się rozleci, a na noc to go pewnie lokaj całego rozkręca i wkłada do szufladek. Smutny taki, jak śmierć, a ubrany, jak do trumny.

— Ale ciebie uwielbia.

— A mnie co po tem? On mnie nie uwielbia, on się moich obrazów boi, daję słowo, że się boi. Widziałeś, jak on tu oglądał obrazy, co? Ciągłe zamyka oczy, bo mu na płótnie światła za wiele. Łoś, ten umie patrzeć, Boże drogi, to cholera, nie

ksiądz. Daj mu Boże zdrowie! Powiada: Szczygieł, więcej słońca, łopata rzucaj światło, bo ludziom źle, nędza gryzie! Słowo daję, tak gadał. A potem mówi: Ha! to obraz? — świństwo, nie obraz. Myślisz, Szczygieł, że ja ci rozgrzeszenie dam? Nie dam i djabli żywcem cię porwą, jeśli ta gęba będzie taka smutna, jak po dyzenterji. Aż przyjemnie słuchać, daję słowo!

Szczygieł się strasznie pokochał z księdzem, od czasu, kiedy go chcąc uczcić, posłał mu w podarunku niewielki obraz, nazwany: „Pogrzeb eremity“, najpiękniejszy obraz, jaki stworzono w czasach ostatnich. Cała cudowna dusza Szczygła i jego dobroć dziecięca, zasmucona śmiertelnie, była na tem płótnie, wlokąc się za białą, sosnową trumną naszego przyjaciela, eremity. Stary ksiądz miał łzy w oczach i powiada:

— Szczygieł bracie, warto umrzeć, aby być tak pochowanym. Oł, szczęśliwy eremita...

A Szczygieł, mniemając w dobrej duszy, że, jeśli to taka przyjemność, to się ona przedewszystkiem księdzu należy, odrzekł więc serdecznym głosem:

— Ja księdza po śmierci też tak machnę, daję słowo!

Zaczęliśmy się śmiać przez łzy, a ksiądz Łoś najgłośniej; Szczygieł spojrział na nas ze zgorszeniem i rzeczę:

— Ja to naprawdę zrobię, ha! ja na wiatr nie gadam.

— I jakże tu nie kochać takiego? — zawołał ksiądz Łoś i w tejże samej chwili żebra Szczygła, przypominające obręcze beczki, gięły się w uścisku księdza.

Mieliśmy teraz żywot urozmaicony, mając dwa domy, w których „bywaliśmy“, — u księdza i u Zabłockich; Szczygiel z Hanką najczęściej urzędowali u księdza, u którego było biednie, lecz zacisznie i strasznie dobrze, ja u Zabłockich. Wizyty u księdza Łosia były mocno ożywione, czasem zaś zdawało się, że jeśli się tych dwóch zacnych ludzi z wielkiej miłości nie pobije, to w każdym razie rozejdą się na zawsze, wieczorne dyskusje bowiem Szczygła z księdzem były najpocieszniejszym, jaki sobie tylko wyobrazić można, teatrem. Szczygiel był zapalczywy, staruszek zaś nieszkodliwie groźny i marmurowym wyrazem swojej ślicznej twarzy przywodził Szczygła do rozpacz; ksiądz odmłodził w naszym towarzystwie i wyprawiał cudowne awantury ze Szczygłem. Zaczynało się zawsze od jakiegoś piekielnego aforyzmu Szczygła, najczęściej na temat ludzkiej obludy, wobec czego mój przyjaciel był zdania, że djabli wiedzą, po co wszyscy razem żyjemy. Ksiądz wtedy mówił:

Szczygiel bracie, nie kłam tak bezecznie. Kochasz ludzi i duszę byś z siebie wyjął, aby kogoś poratować,

— Kto kłamie? ja kłamię? — krzyczał wtedy Szczygieł, — nienawidzę ludzi i wszystkiego nienawidzę, a księdza też nie cierpię, bo gada, aby gadać.

— A nieprawda, — zaperzał się zacny Łoś, — kochasz mnie Szczygieł i jeszcze raz pytam, czemu kłamiesz? Taka to już w tobie natura djabelska. Powiadam ci, Szczygieł, przyjdź którejs niedzieli do kościoła, to cię ochrzczę.

Potem machnął ręką.

— To ci zresztą także nie pomoże. Ot, nieszczęśliwe dziecko, w ładne ręce się dostało...

Wtedy Szczygieł podnosił się groźny, lypał straszliwie oczyma i robił długo jakieś operacje szczękami; brał wreszcie Haneczkę za rękę i mówił:

— Chodź, Hanka, do domu, bo nic tu po nas. Ksiądz nas wypędza na mróz, abyśmy poginęli. Chrześcijański ksiądz! ha!

— Nie idź z nim, dziecko, — wołał ksiądz, — bo to warjat.

— Ja chcę jeść, — mówiła Haneczka.

— Małe dziecko, a ma więcej rozumu, niż taki długi soliter, — mruczał ksiądz, — czekaj, Szczygieł, bo zaraz będzie wieczerza. Przysuń Haneczce krzesło.

Szczygieł przysuwał krzesło jednym kopnięciem nogi w celu zamanifestowania swojego tygrysięgo rozdrażnienia i sadzając na niem delikatnie dziecko, mruczał:

— Jedz ostrożnie, bo nas pewnie chcą struć.
Podczas jedzenia Szczygieł mało gadał, bo i Haneczkę cudownie karmił i sam pożerał niemożliwe ilości; ksiądz tylko się cieszył i podsuwał przyjacielowi, co tylko było na stole, wtedy zaś Szczygieł mruczał, ale już dobrotliwie:

— Nie potrzeba, ja mało jem.

— Jedz, jedz i niech ci będzie na zdrowiel

— A właśnie, że nie. Porządny człowiek nie może się przyzwyczajać do jedzenia.

Po wieczery na pół godziny była zgoda, która była ciszą przed burzą; w odpowiednim czasie przyglądał się ksiądz długo barometrowi, który miał wyschnięty stos pacierzowy, bo rtęć z niego uciekła przed dwudziestu laty, więc od dwudziestu lat zapowiadał stałą pogodę; ksiądz pukał w niego długo palcem, chcąc zbadać zamiary igły, potem mówił:

— Dzięki Bogu, znowu pogoda na parę dni.
Szczygieł wpadał w rozpacz.

— Śnieg z deszczem pada od tygodnia i będzie padał jeszcze tydzień. Niech ksiądz spojrz przez okno.

— A ja poco będę patrzył przez okno, kiedy mam barometr? Pogoda jest i będzie.

— Jak może być pogoda? — krzyczał Szczygieł, jak opętany. — Hanka, gadaj dziewczyno, pada śnieg, czy nie?

— Pogoda, — mówiła dziewczynka, której było już wszystko jedno, bo była śpiąca.

— A widzisz! — wołał ksiądz, uradowany jak dziecko.

Wtedy Szczygieł słabnął i mówił:

— Dziecko mi zdeprawowali, tegom się doczekał. Chodź, Hanka z tego domu, bo duszę niewinną stracisz.

— Pogoda! pogoda! a widzisz, przyjacielu, że pogoda, — powtarzał ksiądz, lecz Szczygieł już tego nie słyszał, bo był za drzwiami.

Nazajutrz było mniej więcej to samo, gdyż Szczygieł nie mógł wyżyć jednego dnia bez księdza, a ksiądz bez niego.

Co drugi dzień szedł Szczygieł do Zabłockich i malował z panną Zofją, którą lubił z całego serca. Panna Zofja czekała go zawsze z upragnieniem. Umrzeć można było ze śmiechu, patrząc na to, jak Szczygieł w rozmowie z nią starał się być wytwornym i subtelnym. Miał w sobie ten źle wychowany człowiek dziwną miękkość, w oszalałych zaś jego słowach było zawsze tyle serca, że się jaśniej czyniło w mrocznej atmosferze tego domu, kiedy w nim był Szczygieł. Patrzył na pannę Zabłocką z wielką tkliwością i ogromnie lubił wtedy mówić ten mój głuchoniemy przyjaciel; mówił z wielką radością i tylko patrzył od czasu do czasu nieśmiało w jej wielkie oczy, serdecznie na niego patrzące.

Rosła w nim wtedy rozpaczliwa odwaga i gadał nieustannie; panna Zofja mówiła mi, że przepada za jego sposobem mówienia, w istocie bowiem można było przewędrować chyba pół świata i tylko w jakimś stołecznym zoologicznym ogrodzie usłyszeć coś podobnego.

Panna Zofja malowała jakiś kwiat, potem Szczygieł przychodził oglądać, poprawić i czynić uwagi; przypatrywał się najpierw bardzo długo obrazowi i czasem groźny, straszny zabójczy wzrok przenosił na pannę Zofję, która udawała wtedy wielką trwogę. Spozierał znów na obraz i mówił:

— Co to jest?

— Begonja, — odpowiadała ślicznym swoim głosem panna Zofja.

— Niech to pani powie komu innemu, a nie mnie. Ja za stary wróbel. Naturalnie, mnie można wszystko powiedzieć, ojoj, czemu nie? Pani myśli: głupi malarz Szczygieł, to zaraz uwierzy, — akuratnie! Begonja!... to jest szcztotka do lampy, nie kwiat.

— Ja myślałam...

— Niema co myśleć, dobry malarz nie myśli! Właściwie to myśli, — poprawiał się, — ale nie wtedy, kiedy maluje. Po jakiego mi licha myślenie? Farba grunt, oko grunt, dotknięcie.

Nagle mu się bardzo żał robiło biednej panienki

i cichym głosem, ogromnie serdecznym, mówił, aby naprawić wrażenie nagany:

— Właśnie niech pani nie słucha, co ja gadam, bo i niema czego słuchać. To bardzo ładny obrazek. Ślepy pozna, że to kwiat.

— Ale pewnie czegoś brakuje?

— Czegoś brakuje? Wszystkiego brakuje, płótna szkoda — mówił Szczygieł z serca — ale to nic. Niech się pani nie martwi. Inne pannice to tak malują, że nie daj Boże. Lepiej, żeby to zamąż wychodziło, tylko takiej, co krótkie włosy nosi i cała poplamiona jest farbą, nikt nie chce brać. A pani czemu zamąż jeszcze nie wyszła?

— Bo mnie nikt nie chciał, panie Eustachy.

Szczygieł patrzył na nią niedowierzająco, mrużył figlarnie oko i mówił:

— Gadaj pani zdrowa.

— Żeby zdrowa... — dodawała cicho panna Zofja.

Wtedy Szczygłowi serce się krajało i zły był na siebie, że wypowiedział to słowo; bąkał wtedy to i owo, lub powracał do dawnego tematu.

— Namalowała pani kwiat, — mówił — no to i dobrze, każdy może namalować kwiat. A dusza gdzie? a oczy gdzie? Wszystko na świecie ma duszę, oprócz człowieka, w którym czasem nic niema, ale kwiat ma duszę zawsze, najmizerniejszy nawet. W nocy ona z niego wychodzi i błąka się,

którędy zaś przeleciała, tam powietrze pachnie. Oczy także ma każdy kwiat i patrzy, co się na niebie dzieje, czy się trzeba radować, czy smucić? Kiedy się co maluje, wtedy trzeba najpierw wiedzieć, gdzie tkwi dusza. Malujesz kamień i myślisz: Kamień bałwan, duszy niema. A kamień czasem jęczy, taki stary kamień, co ma siwy łeb, srebnym mchem obrosły i żyje. Tysiąc lat myśli i stęka. Kiedy taki jeden z drugim rzeźbiarz marmur obra-bia, myśli sobie, że można walić w niego z całej siły i drzeć go rylcem, bo to kamień. Otóż właśnie wymyślił głupio; z takiego rzeźbiarza nic nie będzie, bo mu się marmur pod rękami zawężmie, zatnie szelma i ani rusz. Duszy mojej nie uszanowałeś, powiada, to sobie bij, wal nawet twardym łbem, a ja ścierpię i nie poddam się. Ale kiedy rzeźbiarz, mądry człowiek i artysta, umie do kamienia zaga-dać, pogładzi go ręką, albo czasem zafrasowaną głowę, siódmym potem pokrytą, o niego oprze, wtedy pani patrz. Ho! ho! Kamień gada, daje słowo, że gada, jęknie z wielkiej radości i dzwoni i woła: bij we mnie, aż ci ogniem w oczy trysnę! Dostań się do serca mego po tej żyłce ledwie wi-dnej! Kształtuj mnie, boży człowieku, a ja będę jako воск, bom czekał na ciebie milion lat, w głu-choj skale śpiący. Zmartwiała we mnie dusza, ale żyje. Bij we mnie ręką, sercem, duszą i młotem, bo to jest pieśczoła moja!... Kamień się wtedy

z zimnego staje ciepły i różowieje, bo krew zbudzona zaczyna w nim krążyć i taki się robi pieściwy i miękki, jakby wiedział, że kiedy stos gruzów z niego opadnie, z bryły onej wyjdzie kobieta naga i piękna! Ha!

Czoło wtedy ocierał zmęczony, zacny Szczygieł i dodawał zawsze niezmiennie:

— Zresztą głupstwa gadam, moje uszanowanie pani.

Zabierał Haneczkę i szedł na odmianę do księdza, bo kiedy się rozgadał, był wtedy w nienormalnym stanie i musiał się uspokoić codzienną awanturą z księdzem.

Haneczka była u Zabłockich najmiłszym gościem, jednakże nie bardzo jej się w tym domu podobało. Szczygieł był dla niej ojcem i matką, więc co on robił, to robiła i ona, co się jemu podobało, musiało się podobać jej i naodwrot. W domu Zabłockich było jej za smutno, masona zaś lękała się wyraźnie; kiedy Szczygieł był w pokoju panny Zabłockiej, wtedy dziewczynkę porywała ciocia Isia i tuczyła ją, jak młodą gęś, nie było bowiem takiego przysmaku, któregooby ta smętna wieszczka nie wymyśliła dla najmiłszej swojej Haneczki. Zdaje się, że jej musiała odczytywać swoje wiersze, bo dziecko miało czasem wyraz twarzy mocno znudzony; przez tę miłość dla Haneczki zdobyła sobie jednakże całkowitą sympatję Szczygła.

- Dobra baba — rzekł mi.
- Ożeń się, ona jeszcze dobrze wygląda.
- Łykowata, — odpowiedział, czyniąc dziwne ruchy rękoma — zjelczała.

I o nią jednak był zazdrosny ze względu na Haneczkę, jak zresztą o wszystkich, uważał bowiem, że sam jeden ma prawo do jej wyłącznej miłości i że on jeden może ją wychować. Tak był zaślepiony w tem dziecku, że ze zgrozą myślałem, co Szczygiel uczyni, kiedy mu je odbiorą, bo że odbiorą, to pewne. Pani Zasielska pozatratwia swoje tajemnicze sprawy i zgłosi się bezwątpienia po córkę, wszystko bowiem najgorsze można powiedzieć o kobiecie bez wielkiego ryzyka, nie wolno jednakże w wątpliwość podawać jej macierzyńskiej miłości. Jaka ona tam jest ta mistyczna przyjaciółka Szczygła, to jest, zrobiła głupstwo, lecz pewnie nie na długo, musiała zaś dobrze poznać Szczygła i wiedziała, że rodzony ojciec takby dziecka tego nie kochał, jak on je kochał. To ją nieco tłumaczy, jeśli musiała w istocie wyjechać na dłużej. Wróci i zabierze Hanę, a wtedy będzie katastrofa.

Szczygiel biedaczyna miał teraz jakieś jaśniejsze życie, zniósłby największą nędzę dla tego dziecka, wszystkoby dla niego porzucił; przywiązany był do Haneczki zupełnie chorobliwie, miłość zaś była obopólna. Dziewczynka zapomniała o matce i chowała się zdrowo i radośnie wśród trzech wiel-

kich przyjaciół, których jej było wolno targać za włosy i za uszy, wśród zgromadzenia wielbicieli swoich zapamiętałych, do nas dwóch bowiem przyłączył się skwapliwie ksiądz Łoś.

Szczygieł szeroko projektował na temat wychowania Haneczki i potrafił z nią o tem gadać przez cały dzień, oboje więc dokładnie i z największą pewnością wiedzieli, że za dwadzieścia lat Szczygieł kupi willę we Florencji, że będą hodowali tylko żółte, pnące się róże, że ja dostanę w tej willi pokój na piętrze i że za dwadzieścia jeden lat Haneczka wyjdzie za mąż. Szczygieł określił dokładnie, jak ten mąż powinien wyglądać i jak się ma zachowywać, bo jeśliby nie chciał, to pal go lichy, bo czyż mało na świecie ksiąząt? Każdy zaś do nóg padnie Szczygłowi i będzie prosił i będzie błagał, ale Szczygieł jako teściowa będzie twardy i najpierw wszystko mądrze wybada i wprzódy pojedzie do kraju, aby się naradzić z księdzem Łosiem, bo nikt inny przecież ślubu Haneczce nie da, tylko on.

Haneczka zgadzała się zasadniczo na wszystko i oboje byli serdecznie zadowoleni w każdym wypadku, bo czasem Szczygieł po głębokim namyśle zmieniał zamiary i zamiast kupować willę we Florencji, chciał dla swej dziewczynki kupić śliczną wieś w kraju. Zapytana o zdanie, Haneczka chmużyła się tak właśnie, jak Szczygieł, bo to nie była

sprawa byle jaka, trzeba się było nad tem zastanowić. Po namyśle aprobowała więcej patryjotyczny nowy projekt, więc się serdecznie całowali przez pół godziny w celu udokumentowania nieodmiennych już do następnego dnia zamiarów.

Na każdy wypadek trzeba było Haneczkę rozwijać i kształcić w niej duszę, aby się nie zapatrzyła na swego przybranego ojca, bo ze ślicznego dziecka mogła wyrość niemowa, z czem on mógł żyć od biedy, kobiecie jednakże byłoby nijako. Kierunek wychowania objął najgorzej wychowany na świecie człowiek, bo on właśnie, ja byłem tolerowany w tym związku duchowym jako nadworny jej poeta, zmuszony częstokroć do ciężkiej pracy, godzinami bowiem całami musiałem opowiadać bajki, których jej zawsze było za mało. Siadaliśmy czasem we troje o zmroku, Szczygieł trzymał Hanę w ramionach, przytuloną do niego miłośnie, ja siadałem opodal i opowiadałem niestworzone rzeczy. Wśród tego Hania zasypiała, więc ją Szczygieł układał w wielkiej ciszy w łódeczku, a ja urywałem opowiadanie szeptem. Po chwili on powracał, siadał naprzeciwko i mówił cicho:

— Gadaj że dalej, no i co się stało?

Albowiem znakomity malarz, mój przyjaciel ponury i smutny, artysta boży, był jako dziecko i takie też miał serce.

Z niego nauczał Hanię, jak z książki, złotemi

pisanej literami; słodkie to dziecko zadawało pytania, a on odpowiadał po namyśle, cierpliwie i po dziecięcemu i wtedy oboje rozumieli się najlepiej, bo odpowiedzi jego były godne jej pytań.

Hania pytała:

— Z czego się robi słońce?

— Ze złota, — odpowiadał jej mistrz, — a księżyc robi się ze srebra. Pan Bóg wziął wielką górę kamienną w rękę i bił nią jak młotem w wielki stos złota, aby się stała okrągła. Tak samo uczynił księżyc, a potem przywiązał je promieniami do nieba. Ha, tak było! Słońce świeci w dzień i niczego się nie boi, dlatego jest wesole, a księżyc boi się sam jeden w nocy na niebie i dlatego ma wciąż otwarte oczy, nigdy nie śpi i jest smutny.

— A dlaczego smutny?

— Powiedziałem ci, Hanuś, bo jest sam.

— A dlaczego sam?

— Bo jest taki piękny, że drugiego takiego niema na świecie.

Jeśli księżyc właśnie był na niebie, podnosili wtedy oboje oczy i patrzyli przez górne szyby pracowni i długo milczeli. Haneczka patrzyła długo, strwożona, na smutny księżyc, potem mówiła szeptem:

— On na mnie patrzy.

— Tak, dziecino, patrzy.

— A co on mówi?

→ On mówi, że się nie ma przyczem ogrzać i że siny jest od zimna i że jest najbiedniejszy na świecie.

Hania myślała długo, potem szepce:

— Powiedz mu, niech tu przyjdzie.

— Idzie właśnie.

Wtedy księżyc dzwonił cichutko promieniami o szyby i wchodził do nich wielką smugą światła, aby się ogrzać przy tych dwóch sercach, które przytulone do siebie, były cicho, równo i szczęśliwie.

XV.

Przez dwa miesiące, dzień w dzień, przychodziłem do Zabłockich o tej samej godzinie; stałem się niemal członkiem rodziny, tak, że po pewnym czasie poczciwa ciocia Isia przestała asystować przy moich rozmowach z panną Zofją. Stary Zabłocki przy każdej sposobności dziękował mi spojrzeniem i czasem, bez powodu, milcząco ścisnął moją rękę. Szczygieł przychodził rzadziej, był bowiem w stanie podnieconym. Malował swój wielki witraż.

W całym domu panowała cisza i uroczysty, kościelny jakiś spokój. Z początkiem marca jednakże spokojną wodę tej ciszy zmąciłem ja, zupełnie nieoczekiwanie, przyniósłszy jednego dnia kupioną na rogu ulicy mizerną wiązkę bladych, bezkrwistych, przerażonych sobą pierwiosnków. Nie przypuszczałem, że moje nieszczęsne pierwiosnki zaniepokoją cały dom. Ujrawszy je, pan Zabłocki przybladł.

— Jakto? już wiosna? — zapytał.

— Jest już za miastem!

— Boże, Boże! — szepnął stary mason.

Mniej więcej dosłownie powtórzyła dialog ciocia Isia. Uczyniło mi się nijako.

— Cóż wy się tak w tym domu boicie wiosny?

Ciocia Isia uśmiechnęła się boleśnie i szepnęła cicho, jakby mi się chciała zwierzyć z wielkiej tajemnicy.

— My nie, my się nie boimy wiosny dla siebie, ale boimy się jej dla Zosi.

— Nie rozumiem...

— Zrozumie pan, kiedy pan zobaczy. Każdej wiosny zbliża się do niej śmierć, — rzekła głucho.

— Śmierć?!

— Tak, to dla niej straszna pora; wtedy jest w ciągłej gorączce i wtedy zdrowie jej jest najslabsze.

— Czemuż to?

— Czy ja wiem? Doktorzy powiedzieli, że rzeba się bać najwięcej wiosny, więc się jej boimy. O, matko Boska, matko Boska!

Spojrzałem z niemą trwogą na moje pierwiosniki. Te biedactwa, wróżące narodziny życia, w tym domu wróżą śmierć. Podąłem je cioci Isi.

— Niech pani to weźmie, — rzekłem — to w istocie smutne kwiaty.

Dobra kobiecina wzięła je i z nabożnym lękiem wyniosła z pokoju.

Panna Zofja wiedziała już jednak o wiosnie. Rzekła mi:

— Dzisiaj rano było u mnie wiosenne słońce.

Oczy miała rozgorzałe więcej, niżeli zwykle; w ostatnich dniach przybladła bardzo i uczyniła się dziwnie brzydka, jakby po to, żeby jej oczy na tle tej brzydoty wydały się jeszcze piękniejsze.

— Jest mi dziwnie dobrze, — mówiła, — bo mi się zdaje, że się rozpływam w tem słońcu. Czuję, jak ono wchodzi we mnie i jak mnie pieści. Wtedy wszystko dokładniej czuję, widzę jaśniej, aż do głębi wszystkiego i słyszę najmniejszy szelest. Patrząc przez okno w ogród i widzę jak się sok ziemi, słodki i lepki podnosi ku górze i wchodzi w żyły drzewa, płynąc ku jego sercu. Drzewo drży, jak człowiek, ku któremu zbliża się szczęście. Mam pełne oczy blasku, który wszystko przed niemi otwiera i rozsuwa wszystkie zasłony, świat się czyni przede mną cały złoty, pomazany słońcem i poczyną wirować szybko, coraz szybciej, aż się wreszcie jeden tęczyowy krąg z niego czyni ze splełanych barw i jak kolorowy motyl leci w ciemność, coraz dalej i dalej, aż mi niknie z oczu. Wtedy zapada noc i wtedy wszystko słyszę; wiem, kiedy i którymi ścieżkami wiatr chodzi po ogrodzie i jak węszy przy ziemi, szukając śladów czyichś, bo czasem w nocy ktoś cichym krokiem przechodzi przez ogród i na jedno mgnienie zatrzymuje się przed mojem oknem. Ale to tylko w nocie pochmurne, bo kiedy niebo jest rozgwieżdżone, wtedy nie słyhać nic innego,

tylko wielki szum gwiazd. Powietrze jest pełne muzyki, która jest najpiękniejszą ze wszystkich: promień uderza o promień i każdy z nich brzmi, jak dotknięta struna takiego instrumentu, który ma dźwięk cichutki i brzękliwy. Wtedy zamykam oczy i słucham każdą cząsteczką ciała, każdym nerwem i wszystko wtedy we mnie jest chciwe tych niebieskich głosów nieustannych, jednostajnych i przez to bardzo smutnych. Słońce śpiewa i bucha krzykiem palącym, noc zaś gwiazdami brzęczy, jakby rój niezliczony pszczoł spadł na niebo. Cały świat wtedy rozdrżany jest przy tem brzęczeniu i wszystko na świecie śpiewa najcichszym głosem, bo wszystko na świecie ma swój głos, nawet krew, płynąca w żyłach. Ja słyszę szum krwi w pana sercu...

— Moje serce jest ciche.

— Serce pana mówi. Mówi, a ja słyszę.

— Co mówi serce moje?

Ona położyła rękę swoją na mojej i przymknęła oczy.

— Mówi, że jest biedne, bo pragnie urość w niezmierną bryłę góry, a nie ma sił. Skarży się. Chciałoby się ofiarować jakiemuś nieszczęściu i żywić je własną krwią, aby zakwitło, lecz się boi. Czemu ręka pana tak drży?

— Ręka moja drży, bo..

— Cicho, cicho! Najmniejsze słowo, spadłszy z ust, rośnie czasem w krzyk i zabija to, co może umrzeć nawet od tchnienia. Nie potrzeba mówić. Słowo jest jak skaza na wielkiej, białej czystości ciszy, która wszystko wie. Cisza to jest stworzenie mądre, które rozmyśla bez końca, a jeśli mówi, to tylko oczyma. Ludzie mówią za wiele i dla tego są nieszczęśliwi, bo najcudniejszy diament pokrusza na słowa, które padają w proch, jak sypki miął... Cicho, cicho, cicho! Ja i tak wiem, ja widzę i słyszę... Idę za panem, kiedy pan stąd odchodzi, idę jak cień niewidzialny. Dusza moja wychodzi ze mnie i wędruje po nocy. Pan był dla mnie dobry.

— Dziecko moje! — szepnąłem najcichszym szeptem i pochyliłem głowę, aby czołem dotknąć jej ręki. Jej ręka drgnęła z kolei.

Głos jej, niski i przeczysty, brzmiał jak nabrzmiała śpiewem struna.

— Pan był dobrym dla mnie. Tak. Przejrzałam do głębi serce pana zaraz tego dnia, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy. Przedemną nikt skłamać nie może. Widziałam każdą myśl i było mi dobrze. Potem naszedł mnie niepokój, bo dotąd byłam śmiertelnie spokojna i zdawało mi się, że już się nic na świecie stać nie może, coby zamącić mogło mój spokój. Lecz pan dziwnie mówił. Świat się zakręcił wraz ze mną i po raz pierwszy zniknęła z moich oczu śmierć. Cicho, cicho! Ja

do jej widoku przywykłam, jak do widoku słońca. Myślałam, że umrę smutno, a teraz wiem, że umrę radośnie. Nie wiem, skąd jest ta radość, lecz ją czuję, bo mi się czasem zdaje, że się nasz smutny dom rozświetla i przystraja się w blask, jak na święto. Pan z tem światłem tu przyszedł.

Odpoczęła chwilę, bo ją mówienie męczyło; słyszałem jej oddech ciężki i trudny, potem znów głos mówiący:

— Niema na świecie rzeczy złych, są tylko piękne i niepiękne, lecz piękno prędko umiera, jakby się chciało utrwalić wieczyście we własnej śmierci. Brzydota jest silną i żyje długo, rękoma jak korzeniami wpiwszy się w ziemię. Dlatego śmierć tego, co było piękne, jest radosna, umiera ono bowiem w zachwyceniu i z wiarą cudowną, że się ponad światem rozplynie, ponad duszę i serca i będzie do skończenia świata mówiło słodko i będzie śpiewało ponad ziemią w blasku słońca i w nocnej ciszy. Ja się nie obawiam śmierci dla tego, co w nas jest. W nas jest coś, co podobne jest do rozkwitłej gałęzi, albo do miesięcznego światła. Ja wiem, że się w światło rozplynę, w srebrzyste, ciche, łagodne światło, kojące i dobre. Dlatego nie boję się śmierci. Spłynę na ziemię z powrotem i będę wszędzie. Kiedy umrę, niech pan mnie czeka pierwszej miesięcznej nocy... zjawię się tak cichutko jak blask... wtedy ręce trzeba wyciągnąć i nabrać

tej jaśni w dłonie, jak srebrzystej wody... Będzie lżej, lżej... Sercu samotnemu będzie lżej... Cicho!... mój Boże, czemu pan płacze?... Tak mi jest dobrze, tak mi jest niezmiernie dobrze... Mrok już zapadł, a przedemną wszystko jaśnieje, może dlatego, że mówiłam o blasku... Wiosna przez powietrze płynie, a śmierć moja przylatuje na wiosnę.

Chciało mi się płakać w głos. Przywarłam ustami do jej gorącej ręki i czułam, że mi ona rękę swoją drugą położyła na głowie. Mrok był. Jedna, wąska fala czerwonego umierającego światła tułała się po ziemi. Była wielka cisza. Słyszałem leciutki stuk jej serca. Podniosłem głowę i spojrzałem na jej twarzyczkę dobrą i brzydką, bladą i wynędzniałą a taką promienną, jak gdyby zamkniętymi oczyma widziała wielkie jakieś szczęście, które się długo tułało po świecie, szukając nadaremnie drogi, aż wreszcie spłynęło do jej bezsilnych nóg na tej czerwonej fali światła, co za chwilę krwią się własną zachłyśnie i skona. A z tem światłem... o, Boże, Boże Wiekuisty! Ocal to dziecko, które nikomu nie uczyniło krzywdy, tego białego gołębia, co się gotuje do lotu w ciemność, duszę tę przeczystą i jasną, jak miesięczny promień. Niech żyje i niech smutek od niego odejdzie, smutek mądrości i poznania; trawiący i palący, a życie rozśpiewane, bujne i wiosenne niech ją porwie na skrzydła i niesie aż pod gwiazdy. Niech przeżyje jedną chwilę szczęścia,

nie tego, które jest smutne i zapatrzone w nieludzką piękność swoją i umrze na piękność, lecz tego, które jest w grozie burzy, w cudownem szaleństwie pędu, w rozbłyśniętym krzyku błyskawicy. Niech serce ludzkie nie umiera jak kwiat, który gaśnie cicho i bez jęku, lecz niech pęka z wielkim szumem krwi, tryskającej jak fontanna za tę chwilę radosnego szczęścia, na którego widok oczy mdleją i goreje mózg.

Ozwał się jej cichy głos:

— Powiedział mi pan kiedyś, że nie spokój jest szczęściem człowieka, lecz staje się ono w ciągłej pracy serca i trwa i nie przemija tak długo, jak długo przewala się w tem sercu krew w wielkiej pracy. Ja tego nie wiedziałam. Myślałam o tem długo, przez wiele dni i przez wiele nocy. Tak, to prawda. Zmąciłam spokój swój, a niepokój wydał mi się radosnym. Coś się we mnie staje, — nie wiem co, — coś we mnie pragnie, — nie wiem kto? Nie ja, gdyż takiej wielkiej siły, któraby starczyła na pragnienie, niema we mnie. To pan we mnie pragnie i we mnie mówi, bo wszystko to jest obce we mnie i dziwne. Ja myślałam o śmierci, a pan we mnie mówi, że... Och!

— Boli?

— Coś boli... To nic... Ot, moje serce; zbudziłam je, mówiąc o niem, więc zabolalo. Nie można go budzić, bo już zasnęło na zawsze, pogodzone

z tem, co ma być i co być musi. Pan go dotknął...
Ale to nic, niech boli.

Znowu przymknęła oczy. Długie rzęsy rzuciły cienie na białosc twarzy; drobne usta były zaciśnięte i w mroku zdawało się, że są sine. Musiała cierpieć bardzo, tak się jednak przez długie lata wyszkoliła w tem cierpieniu głuchem, złem i nienawistnem, że rzucała na nie słodycz swoją cichą i dziecięcą jak złocistą, powiewną zasłonę. Uśmiech biedny i bolesny wypłynął na jej twarzyczkę i gładził ją miękko.

Patrzyłem na twarz tego mądrego dziecka i czułem, że siłą muszę się powstrzymać, aby mu do nóg nie paść i nie ucałować tych nóg z wielkim szlochem, którym serdeczna dobroć się skarży, że nie może uczynić nic, nic. Jakiś skowyt chwycił mnie za gardło, więc nie mogłem jej powiedzieć, że oddam biedne życie moje, aby jej było dobrze, że jeśli trzeba krwi mojej, aby zafarbować tę śmiertelną bladość twarzy, to ją wytoczę radośnie, bo mi ta krew na nic, bo się burzy i szaleje tylko i czerwieni purpurą jakieś słowo suchotnicze, jakiś rym nędzny, aby się potem toczył po bruku, po ściekach i wałęsał po ludziach. Chciałem ją wziąć w ramiona i tulić do piersi, aby wszystko z nich ciepło przelać w nią, całować jej oczy, aby zdjąć z nich smutek, jak kataraktę. O, ty brzydkie, słodkie dziecko moje!

Przyszedłem tu, włóczęga wieczysty i dzień po dniu, godzina po godzinie stawałem się dobry tą dobrocią, która przepaja nawskroś i prześwieśla tak, że niczego w głębi ukryć nie mogłem. POCO taić? POCO kłamać przed dzieckiem, które widzi więcej, niż mędrzec? Niech wie... Tułałem się po rozmaitych drogach miłości, wzdłuż której rosną dzikie, okwiecone drzewa i czasem na którymś przysiada wolny ptak. I znowu dalej i dalej, po to samo, znowu wyprawa po słowo zawrotne i pachnące, po kłamstwo w świetnym szychu, aż jednego dnia zabołało serce, znużone, wściekłe i rozczarowane. Potem samotność poczęła gryźć i gryźć cierpliwie i boleśnie. Więc ją tu przyniosłem ze sobą w sakwie, zmęczony i znędzniały. Przyszedłem z tego strychu, zwlokłem się z tej pustelni, gdzie się tłukłem jak nietoperz po nocy, szukając rozgorzałemi oczyma tego, co tylko w słońcu żyje. O, jakie to kłamstwo złe i wściekłe, jaki to wymysł stetryczalego mózgu, że samotność daje siłę! Nigdy się tak nie dzieje nigdzie. Wyprzedzie z siebie taki samotny pajak tyle mądrości i tyle siły, żeby sobie zwalić powałę na łeb, albo się rzucić w napadzie tej siły na własną mądrość, jak na miecz. Co komu z samotnego serca? Nawet Bóg nie jest samotny.

Uciekłem od tej skowyczącej samotności mojej i wbiegłem w ciżbę, szukając stęsknionemi oczyma

kogoś, komu serce moje dam do rąk, bez pytania, co z niem uczyni? Niech je ciśnie w dłoniach, albo niech je udręczy, wszystko jedno, byle nie stygło w piersi i byle czuć dotknięcie czyichś rąk. A jeśli to będą ręce dobre, ucałuję je, bo się dopełni powinność serca, które po to zostało stworzone, aby je można było oddać.

Przyniosłem je tutaj do tego smutnego domu i złożyłem je do rąk tego dziecka, które widziało rozpacz, żal, smutek i smutną dobroć, lecz nigdy nie widziało serca. Weźmij je, dziecino najśladza i niech ci służy wiernie jak pies, co się błakał wśród zamieci, wśród głodu i chłodu, aż napotkał oczy twoje. Weźmij je i tul w dłoniach, bo utrudzone jest bardzo. Przewaliły się przez nie burze i opłakały je deszcze; zarysował je piorun, zaprawiła je gorycz. Niema serca na świecie, które nie ma swojej historii strasznej: ja moją opowiedziałem wśród śmiechu, bo mi się zdawało, że się nie godzi roztkliwiać nad czemś tak śmiesznem, jak serce. A ono biło we mnie ciche i czekające, aż się stanie coś, co mu wszystkie krzywdy wynagrodzi i co mu pieszczotą miękką i najmiłą zapłaci za to, że się kurczyło w lęku, który przychodził znikąd, że się łamało po stokroć razy i smuciło wielkim smutkiem, kiedy się skrzydła w locie w słońce spętały, że się dławilo jękiem, patrząc na nędzę siną i nie mającą nadziei, na wszystko, wszystko złe, którego pełna

jest ziemia, jak chwastu. Tyle lat, tyle złych, smutnych, dręczących, męczących lat czekało na to, aby na nie spadł obłęd boży: miłość.

Weźmij je w dłonie, ty smutne dziecko, a będziesz przeciw śmierci silne. Śmierć odejdzie we wstydzie, bo miłość silniejsza jest od śmierci. Płynie z mego serca miłość, jak struga światła, które wszystko po drodze koi, złoci i wypięknia, miłość tak wielka, jak świat i śpiewająca słodkimi głosami na chwałę najjaśniejszego życia, co się pędem pnie do słońca i raduje się wiosenną zielenią liści. Czy mnie słyszysz? Nie mówię do ciebie ani słowa, a głos mój brzmi jak muzyka. Zdaje mi się, że jestem na pysznym, wyniosłym, rozkwieconym brzegu, dookoła mnie huczy wielkim, boskim głosem potężne morze, co się kocha w ziemi, a głos mój ponad jego szumi, bo ci mówię o miłości mojej, która się narodziła z twoich oczu dziecięcych, rozkwitła w ciepłe twoich rąk, jak gałąź wiśniowa, mowić się nauczyła twoim głosem, w którym jest słodycz i do serca twojego się tuli, co naznaczone jest przecuciem śmierci, a żyć będzie, bo ja je napoję moją krwią i duszę własną w niem spalę, aby żyło i śpiewało o szczęściu. Czy mnie słyszysz? Masz oczy zamknięte i uśmiech cierpiący na twarzy, ponad tobą zaś lata światło, które jest z ciebie. Słyszysz mnie dusza twoja, a ja mówię bez fałszu. Spokojny jestem, jak człowiek, który wiele wycierpiał

i mówię jasno, słowo po słowie, prosto i wyraźnie, abyś pojęła, że cię kocham. Kocham cię, boś ty jest jedna. Kocham oczy twoje, bo są piękne i kocham twarz twoją, bo jest brzydka. Ręce twoje, bo są dobre i włosy twoje, bo są pełne blasku. Kocham czyste serce twoje i duszę twoją, bo jest biała. Kocham powietrze, bo ciebie otacza i wszystkich twoich, bo są twoi. Kocham uśmiech twój i twoje cierpienie. Niema w tobie i dookoła ciebie cząstki jednej najdrobniejszej, którejby nie kochał. Kocham każdy dzień twój, który minął, bo był z tobą i każdy dzień, który przyjdzie, bo będzie z tobą.

Mówię spokojnie, prosto i jasno, abyś mnie pojęła.

A za wielką miłość moją nie chcę niczego, chcę tylko, abyś żyła. Jeśli mi każesz odejść, odejdę w mrok mój i w moją pustkę, które czekają na mnie i będą cię kochał za ostatnie twoje do mnie słowo. Chcę tylko, abyś żyła. Będę biegł wśród tłumu ludzi i będę wołał: żyje dziecko moje najmilsze. Będę chodził po lesie i wołać będę do każdego drzewa: raduj się, bo żyje ta, którą ukochałem z całego serca i ze wszystkich sił moich, aż ją uzdrowiłem słońcem mojej miłości.

O, jakże bardzo cię kocham! Nie tylko radością tej chwili, lecz cię kocham bolem wszystkich minionych dni, udręką nędzy, rozpaczą zawodów, nadzieją

laski i wszystką radością, która była ze mną kiedykolwiek. I zdaje mi się, że wszystko zmalowało na świecie, wszystko jest drobne jak pył, a wielką jest tylko miłość moja, gdyż szedłem do niej nie przez wirydarze, lecz po drodze kamienistej i twardej. Rośnie serce moje, jak drzewo, wzmagą się dusza moja, jak morze szumiące, które jest Bogu podobne i piętrzy się falą, aż pod niebo i zalać chce całą ziemię dobrocią bezmierną i miłością, która nie ma granic.

Patrzę na usta twoje i całuję je bez dotyku całowaniem dobrem i pieściwem, aby dusza moja przeszła w twoją. Nic już na świecie duszy mojej od twojej nie rozdzieli, albowiem są jedno.

Patrzę na ciebie całą i skrzydła pod ciebie podłożywszy, podnoszę cię ponad ziemię, jak na wicherze i tak cię nieść będę przez tysiąc lat, aby nie było na jedno mgnienie oka rozłąki wśród serc naszych.

Jeśli w tej chwili otworzysz oczy i spojrzysz w moją stronę, nie ujrzysz już mnie, lecz miłość, która przysłała do ciebie, aby rzec jedno jedyne słowo, na którego dźwięk drży ziemia, a morze szumieć zaczyna: kocham cię.

Wpatrzyłem się w jej twarz, która wyglądała, jak twarz śpiącej. Mrok objął głowę jej miękkimi rękoma dookoła, tak, że jaśniała tylko łagodnie biel twarzy. Otworzyła oczy i spojrzała w twarz moją,

nachyloną nisko; oczy nasze zapadły w siebie na długą chwilę. Potem usłyszałem cichy, lecz wyraźny, głęboki szept:

— Ja wiem... wiem... od dawna.

XVI.

Czuwałem przy niej całe dnie, w oczy jej patrząc, czy czego nie pragnie. Wszyscy po domu snuli się jak zmory, na kogo jednak ona spojrzała, ten się w tej chwili uśmiechał. Ze starego Zabłockiego uciekła, zdaje się, resztką krwi, poruszał się, jakby z przyzwyczajenia, — ciocia Isia popłakiwała po kątach. Kiedy panna Zofja chciała być sama, wtedy pocziwa kobiecina siadała w przyległym pokoju i godzinami nie spuszczała oczu z drzwi, wiodących do pokoju panny Zofji.

— Po co pani tu siedzi? — spytałem.

— Może mnie zawoła, może jej czego będzie potrzeba. Dziecko moje nieszczęśliwe...

— Cicho, niech pani nie płacze, wszystko będzie dobrze.

Ciocia Isia mówiła szeptem, chlipiąc cicho śmieśszem, pocziwem łkaniem.

— Nie może Pań Bóg mnie zabrać? Co komu po mnie? We mnie już wszystko umarło, niechby umarła i reszta, co się po ziemi tłucze. A to dziecko niech żyje. Od najmłodszych lat cierpi i cierpi, aż

się serce kraje. Ani jednej chwili spokojnej, ani jednej szczęśliwej godziny.

— Jak jest dzisiaj?

— Tak jak było; doktor mówił wczoraj po pańskim wyjściu, że jest podniecona. Była wesola i szczebiotała cały wieczór. Dzisiaj znowu cicha i smutna. Nie mówiła jeszcze z nikim, chciała by ją pozostawić samą i dać znać, kiedy pan przyjdzie.

— Mówiła tak?

Ciocia Isia spojrzała na mnie uważnie i rzekła uroczyście:

— Niech panu Bóg zapłaci za każde dobre słowo, którem ją pan cieszy. Pan ją bardzo lubi?

Musiałem zblednąć, usłyszawszy to pytanie. Dobra ciocia Isia, nie czekając odpowiedzi, wzięła rękę moją w swoje obie ręce i rzekła szeptem:

— Niech się Bóg zlituje... nad wami... Będę się modliła dzień i noc... Niech wam... Ja wiem, ja czuję... Jestem stara, lecz kiedyś byłam młoda. I czekałam, o, jak ja ciężko czekałam... Straszna jest rzecz oczekiwanie, a potem jeszcze straszniejsze jest, kiedy się czekać przestanie. Ale ja zawiedłem sercem czuję... Śmieszna jestem, trudno, ot stare pannisko... Będę się za was modliła, przecież i śmierć może ma serce. Niech wam Bóg da wszystko najlepsze...

Przypadłem do jej rąk, a ona ucałowała mnie w czoło. Czulem, jak jej gorące lzy po niem pły-

nę. Uciekła potem z pokoju, biedne, zacne stare pannisko.

Panna Zofja blada dziś była, jak opłatek, tem czerwiesze zaś wydawały się usta, jakby od wczoraj rozkwitłe i nabrzmiałe i oczy tem głębsze w swej atramentowej czerni, zwrócone ku drzwiom. Usiadłem naprzeciwko niej, ona zaś ujęła moje obie ręce, patrząc mi w oczy wzrokiem słodkim i cichym.

Długo nie przemówiliśmy do siebie ani słowa, bo niema w ludzkiej mowie tego, cośmy sobie mieli powiedzieć oczyma. Miłość wielka i miłość głęboka jest milcząca. Jeśli kochający się ludzie rozchodzą się, to tylko dlatego, że zbyt wiele mówili, kiedy zaś powiedzieli sobie wszystkie słowa z ubogiej mowy miłosnej, wtedy im się zdaje, że i miłość ich się skończyła, bo się skończył ich słownik. Człowiek głęboko kochający boi się słów, — z każdym bowiem ulatuje drobniutka cząstka serca i tuła się po powietrzu. Kiedy wielka miłość przemawia, wtedy mówi kilkoma najprostszemi słowami. Kunsztowny język miłosny jest odzieniem pstrzem dla miłości ubogiej i beztreściowej. Wielka miłość przemawia językiem duszy: milczeniem, pozdrawia szumem krwi w sercu, woła spojrzeniem, raduje się dotknięciem ukochanej ręki, opowiada uściskiem, śpiewa pocałunkiem. Słowo zaś mowy ludzkiej jest cichem tego wszystkiego echem i nieudolnie za-

świadczą to, co się w głębi już stało i wyśpiewaniem było jak hymn.

A kiedyśmy wypili z oczu naszych wszystką słodycz duszy, zapytała mnie:

— Powiedz mi, co uczyniła wiosna?

Wiosna się cieszy. Chodzi po polu i śmieje się w głos, aż skiby drżą z radości. Ziemia pachnie i połyskuje w słońcu czernią aż niebieską. Chmury się gonią po niebie, a wiatr za nimi ujada. Powietrze jest słodkie i pieszczące.

— A co czynią drzewa?

— Szeleszczą o swoim szczęściu.

— A co czynią ludzie?

— Mówią o swoim nieszczęściu. Szczęście zaś, młode i wiosenne, chodzi wśród nich i mówi: oto jestem, czemu jesteście smutni?

— A oni?

— A oni myślą, że szczęście jest daleko za siódmą górą, bo tak jest powiedziane w bajce. Oni nie umieją patrzeć, więc nie widzą. Ludzie mają zmęczone oczy od wypatrywania i dusze w nich są senne od znużenia. Czasem się który zbudzi i krzyknie, a wtedy mówią, że oszalał, albo że jest poeta, ten zaś człowiek ujrzał najpiękniejsze przy sobie widmo. Ludzie sobie nawzajem nie wierzą, dzieli ich smutek. Tylko radość jest węzłem, który łączy, łączy i dzieli.

— Skądże wezmą radość?

— Trzeba ją podnieść, jak grudę z ziemi. Radość jest wszędzie. Bucha nią cała ziemia, płynie rzekami i przewala się po morzu; drzy od niej powietrze i rozpala się co nocy w gromadzie gwiazd, radość przeczysta i złota. Wiatr ją niesie i wędruje ona na chmurach przez niebo, jak na wielbłądach przez pustynię, — lecz ujrzy ją tylko miłość. Kto miłością ogarnie świat, rzeki i morza, drzewa i ziemię, kto wiatr w uścisk ramion pochwyci, ten sobie duszę, jak puhar winem, radością napelni i za wszelką mądrość starczy mu ona. Duszą świata jest Bóg, a Bóg jest miłością — miłość jest duszą świata.

Miłość... — szepnęła jak echo.

— Niech będzie pochwalona po siedemkroć razy. Przyszła na nas i załała nas światłem. Drży w powietrzu nad głową twoją, jak gołębica boża.

— Jest we mnie.

— I we mnie jest, że jestem pełen światła. Na gruzy i na ruinę serca padł blask i życie nowe rośnie we mnie. Weźmij je, bo jest twojem. Niech cię nakarmi, jak słodki chleb, niech cię napoi, jak źródło, niech cię uzdrowi. Weźmij je. Niech rozbłyśnięte życie nowe położy ci ręce na oczy, abyś nie widziała śmierci. Niech cię wielmożną opieką otoczy i na skrzydła wzięwszy, niechaj cię niesie, śpiewającą ponad ziemię. Twojem jest życie moje. Kocham cię.

Oczy miała rozbłyśnięte cichym blaskiem szczęś-

cia, pierś jej podnosiła się szybko. Patrzyła w przestrzeń przed siebie, patrząc w jakieś szczęśliwe widmo. Rzeka wielką powagą głosu:

— I ja kocham ciebie. Chciałam lecieć, a miałam tylko jedno skrzydło, teraz mam ich dwoje. I teraz boję się śmierci, bo widzę życie, które rośnie. Kocham cię za to, że pragnę żyć. Kocham cię całym moim smutkiem, bo radości jeszcze nie widziałam; każdy mój oddech jest słowem mojej miłości, każde spojrzenie moje mówi o niej. Szczęśliwa jestem przecuciem szczęścia, które może nigdy nie przyjdzie. Lecz jeśli umrę, będę cię kochała więcej jeszcze przez śmierć moją. Nie smuć się, że o niej mówię. Miłość moja mocna jest jak śmierć, a może od niej mocniejsza. Chwyć się rękoma twojego serca i zostanę na ziemi, śmierć mnie od niego nie oderwie. Uśmiechnij się, wiesz przecie, że cię kocham. Mów o tem, co być musi, nie o tem, co być może.

Mówiłem:

— Pójdziemy przed siebie, wzięwszy się za ręce. Idziesz ze mną?

Idę z tobą.

— Droga się wznosi w górę, a z jej szczytu widać obraz bezmierny przyziemnego trudu. Jęczy spracowana ziemia, jak olbrzym, co wysiłek czyni, a stokrotne echo ludzkiego jęku jej odpowiada. Czy słyszysz?

— Słyszę.

— Od wschodu do zachodu, jedno jest tylko: żal. Od ziemi ku niebu jedno jest tylko: ból, a nigdzie niema miłości. Dławi się sam sobą wielki trud ludzki i krwawym potem ocieka, aż ci serce popęka na sam widok. Wtedy ziemię, nie znającą fałszu, wezwawszy na świadectwo, że serca nasze są czyste, będziemy błogosławili rękoma chleb ludzki, aby zbył gorczy, będziemy rozdzielać spokój i miłość. Niema na świecie ludzi złych, są tylko bardzo nieszczęśliwi, a nieszczęście uczy człowieka złości. Trzeba ludziom mówić o szczęściu i ofiarą własnego serca dać świadectwo prawdzie. Niech uwierzą w życie, zamiast go nienawidzić za podszeptem swego trudu. Niech się modlą o słońce, zamiast je kląć, że nie zachodzi i przedłuża pracę. Trzeba ich nauczać o pięknie, aby się ich spojrzenie stało jaśniejszem. Nie krew zbawi człowieka, lecz piękno, kiedy będzie przy nim od chwili narodzin i wejdzie w niego i całego go przepoi, aż się poczuje anielskim w słonecznej dumie piękna i nigdy od tej chwili nie zniży się w proch. Wtedy się stanie boskim i ciężki trud swój zmieni w tworzenie, w czyn wolny i dumny i wtedy ziemię orać będzie w zachwyceniu, potężny pan wolnego ducha, co się w nim rozśpiewa. Miłość go ogarnie i wszystko będzie z niej i słowo i myśl i czyn, w niebo godzący, ona jest bowiem siłą jedyną i największą mocą,

którą człowiek przeczuwa, lecz jej jeszcze nie zna. Nauczanie miłości jest celem człowieka, na którego serce padł jej promień. Niech idzie w tłum i niech woła o niej i śpiewa o niej hymny. Jeśli go ukrzyżują, wstanie inny i będzie świat przebiegał z ogniem radosnym w oczach i znowu zginie. I tak będzie przez tysiąc lat, aż uwierzą komuś, co będzie miał twarz podobną do słodkiej twarzy jesusowej i ten dokona dzieła. Od tej chwili pocnie się nieśmiertelność świata, który teraz ma we wnętrzu swoim zwątpienie i dręczy się przeczuciem śmierci.

— Pójdziemy razem...

— O, tak, pójdziemy razem. Bezsilne jest serce ludzkie, kiedy jest samotne, w potęgę rośnie, kiedy czuje przy sobie serce drugie, tym samym bijące rytmem, tym samym prześwietlone blaskiem i zaślubione mu tem samem przeczystem pragnieniem. Kiedy się jedno znuży, czuwa drugie, gdy jedno osłabnie, wesprze go drugie i napoi własną krwią. Dwie dusze w jedną się złączą i siły sobie słoneczne oddadzą na wieki wieków, na życie szczęśliwe.

— Pragnę żyć, teraz pragnę żyć!

— Będziesz żyła. Oto idzie ku tobie moja dusza, aby ci podać rękę i wydobyć z topieli smutku. Rozpalę w tobie radość, bo sam jestem radosny. Wiosna się staje na świecie i wiosna się staje we mnie, bo już nie jestem sam. Mierzy pęd mój w niebo i po mlecznej drodze, po gościńcu

z gwiazd goni jasna młodość moja "po siłę, co
uzdrowia, po ogień, co grzeje i po światło na ludz-
kie głowy. Już nie jestem sam.

— Jestem z tobą.

— Jesteś ze mną, a wśród nas niema już
miejsca na śmierć. Niech się krzepi młodość nasza
i z wieńcami na głowie niech tańczy wśród roz-
kwitłego sadu. Jesteś ze mną i nikt nas nie roz-
dzieli. Tulę się do twoich rąk i czuję, że mi w serce
wyzięble napływa ciepło; czuję w oddechu twoim
bliskim miłość i siły moje rosna; piję światło z twoich
oczu i widzę jaśniej. Pięknieje mi w oczach cały
świat i zakwita mi w nich nawet to, co strupieszalo.
Wszystko kwitnie mi we wzroku, że mi się zdaje,
jakgdybym był w niezmiernym rajskim ogrodzie, po
którym chodzi miłość w swojej postaci najjaśniej-
szej. O, jak jasne są oczy miłości! Spójrz na świat:
chmury są srebrne i pędzą w radosnym biegu,
drzewa są jeszcze bezlistne, a korony mają w blasku
złote i pełne, niebo się nachyla ku ziemi, a ona
pierś mleczną ku słońcu przegina, siły w sobie
krzepi i drży przecuciem wielkiego szczęścia, co
wszystkich nakarmi, ludzi i ptactwo, zwierzęta, ryby,
owady i rośliny. Nikt tak patrzeć i widzieć nie
umie, jak miłość. I ona jedna spojrzeniem swoim
błękitnem dotrze do tej niezmiernej głębi, w któ-
rej spoczywa prawda. Bo ona sama prawdą jest
najjaśniejszą, najwyższem przykazaniem, celem osta-

tecznym. Mędrzec widzi aż po kres śmierci, miłość widzi dalej a rozkosz tego poznania jest nieludzka. Szczęście miłości jest w jej poczuciu bezkresu i nieśmiertelnego trwania.

— Jestem szczęśliwa.

— W oczach twoich jest radość, na ustach twoich drży słowo o szczęściu.

Spojrzałem na jej usta młode, lekko rozchylone, nabrzmiałe od mocnych tęsknot; tęczowe wiry zaczęły krążyć przed moimi oczyma i przyszło na mnie słodkie, tkliwe pragnienie. Czulem w głowie szum myśli radosnych i dobrych. Po niej przebiegł nagły dreszcz, kiedy się spotkała z moim wzrokiem i ciało jej, biedne i wynędzniałe, wyprężyło się w spazmie.

Pochyliłem się nad jej dziecinną twarzą i ucałowałem ją w usta.

XVII.

Kiedy późnym wieczorem powróciłem do domu, zastałem drzwi zamknięte od wewnątrz, bo klucz tkwił w zamku. Na moje pukanie nikt nie odpowiadał. Zaniepokoiłem się, bo co by to właściwie być mogło? Szczygieł jest z pewnością w domu, bo nigdy wieczorem z dzieckiem nie wychodził, a samego nie zostawiłby w domu za nic na świecie, zresztą klucz w zamku jest najlepszym dowodem. Zapukałem gwałtowniej, co musiał słyszeć, bo cały nasz strych drżał w posadach. Nikt nie odpowiadał. Zacząłem więc stukać rękoma i nogami, w głębokim przekonaniu, że Szczygieł oszalał i chce, abym nocował na schodach. Tysiąc przypuszczeń poczęło mi się roić w głowie, żadne jednak nie mogło być prawdopodobne. Nagle jakiś cichy szmer usłyszałem za drzwiami.

- Szczygieł! — zawołałem.
- Kto to? — zapytał on cicho.
- Kto może być? ja jestem.
- Sam jesteś?

Szewska pasja mnie porwała.

— Nie urządźaj kawałów, bo nie pora na to, otwieraj!

— Daj słowo, że jesteś sam.

Moje przypuszczenie o nagłym obłędzie mojego przyjaciela poczęło nabierać wyraźnych cech prawdopodobieństwa. Żądanie jego było oszalone, wiedziałem jednak, że choćbym miał umrzeć na schodach, to mnie nie wpuści, bo mu się coś tak w bujnym łbie ubrdało. Wolałem więc odpowiadać.

— Daję słowo, że jestem sam.

— Obejrzyj się, czy nie ma kogo na schodach?

— Nie ma nikogo.

— Dobrze obejrzałeś?

— Doskonale, otwieraj drzwi.

— Poczekaj chwilę, bo muszę odsunąć szafę.

Czekałem na to z niepokojem. Coś się widocznie musiało stać, bo żeby drzwi zastawiać bez najmniejszego powodu szafą, tego i Szczygieł nie potrafi; musiał się mocno zabarykadować, bo długo odsuwał rozmaite sprzęty, wreszcie po kwadransie uchylił ostrożnie drzwi.

— Wejdzź prędko! — szepnął.

Byłem już do tego stopnia przejęty sytuacją, że mi się zdawało, iż znajduję się na prerji i wpuuszczają mnie do fortu, za mną zaś przez szczelinę drzwi wtargnie w tej chwili gromada Indjan Komanców. Wślizgnąłem się do mieszkania i chciałem

Szczygła zapytać o rozsądny powód obłędu, on jednak położył tylko palec na ustach i szepnął:

— Pomóż zamknąć!

Zastawiliśmy więc z powrotem drzwi w niemem podnieceniu szafą, sztalugami, czem się dało. Wreszcie Szczygieł otarł pot z czoła i rzekł:

— Przestraszyłeś mnie...

— Co się stało, gadajże już raz, kogo się boisz? Hania gdzie?

— Tu, — rzekł, — w sypialni.

Nigdy nie zamykane drzwi do sypialni były zamknięte, przy nich zaś, w samym ich środku stało krzesło, na którym widocznie Szczygieł dotąd siedział i w tej chwili zaraz na niem usiadł. Obok miał pod ręką ciężki, złamany pogrzebacz do pieca.

Niczego nie rozumiałem.

— Po co więzisz dziecko? Człowieku, opamiętaj się.

W tej chwili dopiero dojrzałem, że jest blady i w najwyższym stopniu rozstrojony. Mówił cicho, jakby się bał, że go ktoś podsłuchuje.

— Schowałem... powiem, że niema... nikt nie znajdzie!

— Hanezki?

— Tak,... rozpląkała się, a we mnie serce,... Ja zabiję, przysięgam, że zabiję...

— Kogo? za co?

Szczygieł dyszał ciężko i wreszcie rzekł:

— Bo ty niczego nie wiesz. Dziś popołudniu, trzecia godzina, czy ja wiem, może czwarta... Ty nie wiesz...

— Spokojnie, Eustaszku drogi, spokojnie. Widzę, że o Haneczkę idzie. Zachorowała?

— Nie, ona zdrowa, Pan Bóg się nią opiekuje. Ale my dziś popołudniu, czwarta godzina, tak, ... pewnie już była czwarta.

— Coś się stało o czwartej godzinie?

— Straszna rzecz. Idziemy, a Haneczka mówi: tędy!... Ha! poszliśmy tędy... Ona mówi: konie jadą, bo konie właśnie jechały. Nagle ja widzę, Boże drogi, na rogu ulicy... Ktoś idzie... Patrzę, patrzę i oczom nie wierzę. Myślę sobie: zwarzowałem, — ale nie! Ona idzie...

— Kto?

— Zasielska.

— Aa! — zdumiałem się i powstałem z krzesła. Szczygieł powstał także.

— A widzisz, przestraszyłeś się.

— Tak, tak. I co? widziała was?

— Ja nie wiem, ale nie, nie widziała. Oglądała wystawy. Ja wtedy dziecko na ręce i w boczne ulice. Ludzie patrzyli, a ja nic... Uciekłem... (Upadłem na schodach, wtedy Haneczka się rozplakała. Zamknąłem drzwi, wtem widzę: szafa, stolki, więc pod drzwi, co było. I czekałem. Ja dziecka za nic... Wszak pojmujesz?

— Pojmuję, mój drogi, pojmuję, tylko się uspokój. Nie bój się, dziecka nam nikt nie odbierze.

Szczygieł chwycił mnie za obie ręce.

— Jak mówisz, — krzyknął, — nie odbierze?

Serce się we mnie ścisnęło. Dziecko nam odbiorą z całą pewnością, nie dziś — to jutro, Szczygłowi jednak nie ważyłbym się tego powiedzieć. Trzeba było jednakże rzecz całą obmyśleć, gdyż mógł on uczynić rzecz jakąś nierozsądną. Przygotowania jego do obrony świadczyły o tem najdokładniej, że się to wszystko gładko nie odbędzie, że będzie bronił naszej córki z rozpaczą.

— Zobaczmy, co ona robi? — szepnąłem.

Szczygieł, zdaje się, przez jedno mgnienie zastanawiał się, czy i mnie można bezpiecznie pokazać Haneczkę. Trwoga o nią przejęła go do tego stopnia, że bał się wszystkiego, otworzył jednakże cichutko drzwi i stanęliśmy ze świecą na progu.

— Śpi — szepnął.

Dziewczynka leżała na łóżku Szczygła, śliczna, cichutka i jeszcze bardziej nam droga niż zwykle; patrzyliśmy na nią w niemem zachwyceniu, słyszałem tylko niespokojny stuk jego serca. Chciał coś szepnąć, lecz szepot ten w sobie zdławił, oczy tylko jego, z których na chwilę zginął niepokój, mówiły o tem, że kocha to dziecko z całej duszy i nic go z niem nie rozłączy. Mnie się uczyniło bardzo smutno; kochałem to małeństwo, jak i on, a dziś

kochałem je więcej jeszcze, bo miałem serce szczęśliwe. Żal mi się wielki zrobiło i Hani i Szczygła, myślałem więc, że trzeba będzie uczynić wszystko możliwe, a nawet wszystko niemożliwe. Rozumiałem w tej chwili obłąkaną ostrożność Szczygła z barykadowaniem drzwi; czułem, że byłbym to samo uczynił. Trzeba będzie jednak coś postanowić, — dziecka w każdym razie nie oddamy.

Nagle Szczygiel poruszył się niespokojnie. Wypchnął mnie z pokoju, zamknął drzwi i nasłuchiwał.

— Ktoś idzie, — szepnął.

Podszedłem ostrożnie do zatarasowanych drzwi i cały zmieniłem się w słuch. Szczygiel począł drzeć na całym cieple, pomyślałem więc, jakie męki musiał biedaczysko przechodzić, kiedy ja się gwałtownie dobijałem do mieszkania.

— Nikogo niema, — rzekłem, — zdawało się.

Kiedy się uspokoił i potrząsnął szafą przy drzwiach, badając, czy mocno wparta w ziemię i kiedy niespokojnie obejrzał kilka razy szyby w suficie, kombinując, czy najeźdźcom nie przyjdzie przypadkiem do głowy pomysł wdarcia się do nas tą drogą, przez dach, — szepnął:

— Co robić, poradź na miłość boską, co robić?

— Rozważmy tę sprawę, tylko spokojnie. Mamy czas, — pani Zasielska dziś przecie po dziecko

nie przyjdzie, bo już na to zapóźno, jedenasta minęła. Zresztą, widać, że jej się niebardzo spieszy.

— To dobrze, och, to dobrze, — szeptał on, patrząc we mnie, jak bardzo chory człowiek na lekarza.

— Ale jutro może przyjść...

Szczygiel chwycił kurczowo za poręcz krzesła.

— Po co? — zapytał.

— Jak to, po co? drogi mój, po dziecko.

— Ja nie dam! — rzekł zduszonym głosem.

W tej chwili się zirytował i wybuchnął: — A ty skąd wiesz, że ona przyjdzie, może się z nią już widziałeś, czy co? Może ty chcesz oddać Hanię?

— Eustachy, Eustachy... — rzekłem z cichym wyrzutem.

Biedaczysko spojrzał na mnie, jak zalekłe dziecko z taką trwogą i taką rozpaczą, że patrzeć nie było można. Już nie mówił, lecz płakał głośno:

— Nie gniewaj się, ja ot tak, ja sam nie wiem, co mówię. Ale ja to dziecko, Boże mój, ja to dziecko, przecież ty wiesz... To wszystko, co miałem w życiu. Całe szczęście moje... Ja bym dla niego krew z serca, ja nie wiem, ja bym wszystko... Nie będę spał, nie będę jadł, tylko niech mi je zostawią, niech zostawią... Co komu po niem, a ja umrę, ja się zabiję... Będę pracował jak wół, będę wszystko, ale niech mi ją zostawią, niech mi ją zostawią... Och, Jezus Marja! Ja jej całe życie, temu

małaństwu mojemu, tej Hance najdroższej... Ja jej matce do nóg padnę, będę prosił... Co robić, co robić?

Miał łzy w oczach i był taki zbiedzony, jakby wstał po ciężkiej chorobie.

— Eustachy, — rzekłem, — uspokój się, przecież jeszcze niczego nie wiemy. Może ona tutaj tylko przejazdem, możeś źle widział i kogoś nieznanego wziąłeś za nią?

— Ja się nie mylę, to była ona.

— W takim razie ja z nią jutro pogadam. Na wszelki wypadek jednakże trzeba będzie z dzieckiem...

— Mów, mów!

— Może do księdza, co?

Szczygłowi rozjaśniła się nagle twarz.

— Prawda, do księdza, tak! że też ja o tem nie pomyślałem.

— Tak, ale co potem?

— Potem? u księdza szukać nie będą, potem ja do Rzymu, na koniec świata, wszystko jedno...

Pomyślałem, że będzie to zwyczajna kradzież dziecka, które wreszcie i tak znajdą, ale nie było innej rady. Postanowiliśmy więc rano przemknąć się cichaczem, aby stróż nie widział, że wychodzimy z dzieckiem, potem je ukryć u Łosia, albo u Zablockich, a potem niech już Szczygieł radzi, biedak, jak może. (Uspokoilem go cokolwiek, że przez noc

nic nam nie grozi i radziłem, aby się przespał. On jednak ani sam oka nie zmrużył, ani mnie spać nie dał; przesiedział całą noc na krześle, niby drzemał i głośno majaczył, bo się nagle zrywał, zapalał światło, patrzył, czy dziecko jest i najmniej dwadzieścia razy chodził badać, czy wśród głębokiej nocnej ciszy nikt się nie dobiera do barykady u drzwi.

Od wczesnego ranka napadł go dawny niepokój: uśmiechał się nieszczęśliwym uśmiechem do Hanki, odwróciwszy się zaś w moją stronę, patrzył przestraszony i dawał mi nieme znaki, abym jej przypadkiem słowa jednego nie powiedział o matce. Potem, ni stąd — ni zowąd, rzucił się na Haneczkę i całował, jak szalony, jej ręce i nóżki. Dziecko było dziś smutne i uśmiechało się smutno do swego najukochańszego Szczygła.

Okolo ósmej poszedłem na zwiady, on zaś pozostał z bijącym sercem, przytuliwszy Hanię do piersi. Na schodach nie było nikogo, ulica była jeszcze zupełnie pusta, stróż jednak zamiatał chodnik przed domem. Trzeba było czekać. Na wszelki wypadek dziecko, które czuło, że coś się dzieje niezwykłego, bo mieliśmy miny strapione, Szczygieł zaś nie mógł ukryć niepokoju, — było ubrane do drogi. Wychodziłem kilka razy, on zaś zamykał za mną najdokładniej drzwi; wypatrzyłem wreszcie chwilę, w której — zdawało się, — nikogo nie

było na schodach i w największej ciszy dałem mu znak ręką, aby się zachowywał jak najostrożniej.

Zbladł jeszcze bardziej i przeżegnał się. Wziął Hanię na ręce, ona zaś oplotła mu szyję ramionami. Była dziewiąta godzina. Serca w nas były głośno; nie zapomnę tej chwili.

Zaczęliśmy schodzić ostrożnie, aby nawet schody nie skrzypnęły; ja szedłem naprzód, Szczygiel za mną i tak doszliśmy do połowy schodów. W tej chwili usłyszałem na dole jakąś rozmowę i położyłem palec na ustach. On zmartwił i oparł się o ścianę; blady był, jak płótno. Z zaleku opuściła nas przezorna przytomność umysłu i nasłuchiwaaliśmy zbyt długo, bo nagle na zakręcie schodów ujrzałem jakiegoś wysokiego jegomościa, za nim zaś panią Zasielską.

Szczygiel jęknął głucho i zawróciwszy, chciał wbiec na górę, nie mógł jednakże biedaczysko, siły go opuściły; stapał powoli, jakgdyby dzwigał wielki ciężar. Miałem wrażenie, że za chwilę zemdleje, podbiegłem więc, aby go podtrzymać. Tamci szli za nami i zdaje się, przyspieszyli kroku, ujrawszy dziecko. Nie mieliśmy już czasu na zamknięcie drzwi, zresztą na nic to się przydać nie mogło, — matka przychodziła po swoje dziecko. Ale nie, ona nie przyszła, pozostała na schodach, do nas wszedł tylko ów jegomość. Stał we drzwiach, pojawiwszy zaś sytuację, uśmiechał się bezczelnie.

Szczygiel niczego nie widział, przyparł się do

ściany, aby nie upaść i tulił do siebie swoje dziecko najukochańsze jakimś rozpaczliwym, drapieźnym ruchem.

Ów jegomość rzekł:

— Przepraszam, że panów niepokoję o tak wczesnej porze, widzę jednak, że nigdy nie jest za wcześnie.

Usłyszawszy ten głos, Szczygieł drgnął. Spojrzałem na owego jegomościa tym wzrokiem, który uderza po twarzy.

— Czego pan? — zapytałem.

— Mam zaszczyt być mężem tej pani, do której należy to dziecko. Przyszliśmy po nie.

Szczygieł jęknął i osunął się na krzesło.

— Panowie zechcą je oddać do rąk matki, która składa swoje najserdeczniejsze podziękowania. Co zaś do kosztów, które zapewne były, to już ja...

Sięgnął do kieszeni, chcąc wyjąć portfel. W tej chwili jednakże zatrzymał się w tym ruchu, bo Szczygieł, postawiwszy dziecko na ziemi, skoczył ku niemu jak żbik. Nigdy nie widziałem takiej twarzy Eustachego; błąd był, jak trup, każdy nerw drgał w nim, oczy miał podobne do oczu szaleńca. Nie mówił, lecz rzeził:

— Precz, precz, bo ja ci, łotrze...

— Szczygieł! — krzyknąłem.

— Zabiję, jak psa zabiję... Mnie pieniądze za

dziecko... Ja bym dla niego... Precz, precz w tej chwili!...

Mąż pani Zasielskiej zbladł również i obejrzał się po za siebie. Drzwi pozostały otwarte i pani Zasielska, stojąca za niemi, musiała i widzieć i słyszeć wszystko. W tej chwili ukazała się w nich z twarzą zirytowaną i nieco niespokojną, mąż zaś jej się cofnął.

— Hankal — zawołała ostrym głosem.

Dziecko spojrzało zdumione z wielką trwogą w jasnych swych oczętach; potem zwróciło wzrok na Szczygła i ujrzalo w jego oczach wielkie łzy; wtulił głowę w ramiona, jakby się złamał i jakby go wszystkie siły opuścily.

— Hankal — powtórzyła silniej pani Zasielska.

Dziewczynka podeszła do niej powoli i wtedy jej zacna matka urządziła przedstawienie na nasz użytek; bez wielkiej miłości, lecz z należytyim entuzjazmem poczęła ją ścisnąć i całować. Dziecko zaś nie mogło oderwać oczu od Szczygła.

Wtedy pani Zasielska, zwróciwszy się w jego stronę, lecz nie patrząc na niego, rzekła głosem dość cierpkim, któremu chciała nadać z trudem ton uprzejmy:

— Ja panu bardzo dziękuję, bardzo. Nie wiedziałam, że pan Hankę tak kocha. To było lekko-myślnie z mojej strony. Trudno. Bardzo panu dziękuję. Dziecko zdrowe i dobrze wygląda. Pe-

wnie były kłopoty... Mój mąż chciał w najlepszej intencji, nie aby obrazić... Tu niema przecież obrazy; jeszcze raz bardzo dziękuję, bardzo. Pójdźmy, Haneczko!

Dziecko w tej chwili zrozumiało wszystko i w tej chwili Szczygiel, usłyszawszy ten wyraz, spojrział na nie. Krzyknęło biedactwo i wyrwawszy się z rąk matki, podbiegło do niego. W nim się coś targnęło, schylił się, podniósł ją z ziemi i począł całować po włosach, po oczach, po twarzy. Pomieszaly się ich łzy i tak płakało tych dwoje dzieci najdroższych, żem się odwrócił i rękawem zasłoniłem oczy.

Mąż pani Zasielskiej wyszedł na schody, ona zaś spuściła oczy ku ziemi. Podeszła wreszcie nieśmiało do Szczygła i lekko, miękko wzięła dziecko z jego ramion. Zbliżyłem się i ucałowałem je. Poczulem na twarzy gorące łzy córki naszej.

W tej chwili pani Zasielska wyszła szybko. Szczygiel uczynił ruch, jakby chciał wybiec za nią, lecz nie miał siły do uczynienia kroku.

Coś szeptał, lecz nie mógł nic powiedzieć, bo łzy zalewały mu słowa.

XVIII.

Było kilka dni słoty i zdrowie panny Zabłockiej pogorszyło się; na cały dom padł lęk, ona jedna tylko nie lękała się niczego, bo uśmiech nie schodził z jej twarzy. Przypisywano to mojemu na nią wpływowi i pozwalano na to, że nieraz przez dzień cały nie wychodziłem z jej pokoju, w którym mieszkało teraz ciche, łagodne szczęście, nie nadużywające słów, pokorne i nieśmiałe wobec własnej rozbłyśniętej wielkości, zapatrzone niebieskimi oczyma w przyszłość, która się w pysznym rozblasku miała ukazać na niebie, kiedy wiatr rozpedzi zbałwanione, postrzępione młode chmury wiosenne. Dnie były ciemne, przesiąkłe wilgocią, zasnułe deszczem, a myśmy rozpalali sobie w duszach radosne, buchające djamentami iskier ognisko, rozświecaliśmy w oczach małe, złote, okrągłe słońce i pieściliśmy się blaskiem.

Już nikt nie mówił o śmierci — radość była z nami, duch święty życia unosił się w powietrzu nad beztróską naszych młodych głów.

Rozprawialiśmy o wszystkim, bo nam się

zdawało, że każdego przedmiotu, każdej myśli, każdego zdarzenia trzeba nam dotknąć choćby jednym słowem, aby na wszystkim pozostał cudowny ślad naszego szczęścia. Zosia mówiła mi o tem, co jej się snuje w rozbudzonej duszy, ja mówiłem o tem, co kiedyś było smutne, a co teraz ma teraz w blasku obmytą, o tem co się dzieje i co będzie. Oповідаłem jej o nieszczęściu Szczygła i o zabranii nam Haneczki. Ponieważ jedną tworzyliśmy rodzinę, panna Zofja uważała Hanię za małą swoją siostrę; współczuła szczerze niedoli Szczygła, który siedział godziny całe niewzruszony i obojętny na wszystko. Mówił ze mną rzadko, ja czyniłem podobnie, bo nie chciałem, aby słyszał mój głos w którym zbyt wiele było teraz radości. Czasem znowu wychodził Szczygiel na cały dzień z domu i wałęsał się po ulicach, patrząc pilnie w twarz każdego dziecka, lub w dni pogodne, kiedy korzystając z wiosennego słońca, bawiły się dzieci w ogrodzie, biedny człowiek opierał się plecami o drzewo i tak stał, wpatrzony w gromadę dziecięcą rozgorzałemi oczyma. Smutek najmilszego przyjaciela mojego był jedynym cieniem, który się włócił za radosnem szczęściem mojem, któremu w tej chwili nie było pewnie równego na świecie. Podobne ono było do młodego księżycyca, co się złotym sierpem rzucił na niebo, aby kosić gwiazdy i będzie rósł z każdym dniem, aż urośnie w pyszny krąg, świetny, rozblęśnięty na świat cały.

Nie żądałem już niczego od życia, zbyt bowiem hojne było dla mnie, zbyt łaskawe i nazbyt dobroczynne; wybieliło oto serce moje, obmyło mi duszę w swoich promieniach i z oczu starło ziemski proch. Samotność moja zakwitła i bieli się kwieciami, w bisiorach wielkiej łaski miłosnej chodzi teras nędza moja, spogląda w gwiazdy, wśród których błąka się dostojna dusza Eremity, co w serce moje ugodził dłonią, aby się zbudziło. Pełne jest teraz głosów z jego księgi męczeńskiej, gotowe na wszystko, pragnące wielkości, napojone dumą, rozgorzałe miłością spraw czystych i rzeczy świętych.

Zasypiałem teraz każdej nocy z tą myślą, że dzień następny szczęśliwszy będzie jeszcze i bardziej jasny, silniejszy w mocy swojej słonecznej i że tak będzie co dnia przez wiele lat, aż do chwili, w której się serce płonące wypali do końca i runie jak bryła marmurowa wielkim, szlachetnym ciężarem na wagę czynu i zaważy na niej ogromną siłą, co się sprzęgnie z temi, co świat chcą dźwignąć w górę. A potem niech już przyjdzie na mnie spokój wieczny.

Przez te zaś dni wszystkie będzie mnie krzepić i kruszce sypać będzie w ogień serdeczny — miłość moja. Objęła mnie całego i napełniła siłą, że dźwignę w ramionach tę dziewczynę jedyną, co marzyła o śmierci, a teraz wielkimi oczyma wygląda życia, co teraz gdzieś w świętych gajach,

w których pierwsze zielone, lepkie słodyczą, wypełniły pąki, uczyły swoje radosne odprawia i zawrotne wonie wiosenne jak kadzidła na ołtarzach dymiących pali, a potem przyjdzie tutaj, do tego cichego domu, rozkwitną gałęzią przez okno ku niej się nachyli i rosą z kwiatów obmyje jej czarne oczy i zdrowi.

Marzyłem o tem dziś rano, bo dzień się nareszcie uczynił pogodny i słońce brylantowym gradem, roześmiane, lekkomyślne i szalone biło o szyby naszej pracowni, na których czarne swoje drogi w kurzu wyżłobiły wielkie lzy deszczu. Szczygieł przymknął oczy i twarz poddawał pod światło, aby ją ukoilo, mnie zaś uczyniło się w duszy swobodnie i śpiewnie, bo w niej takie samo drgało złotym blaskiem wiosenne rano, jakie było na świecie. Nabiorę pełne dłonie tego słońca, co przyszło się błąkać i tańczyć wśród obrazów Szczygła i zaniosę jej, jak uzdrawiającą wodę z zakłętego źródła; niech pije blask słoneczny i niech się roześmieje czystym śmiechem, którym się śmieje rozegrana woda, lub młody las, nagle ciepłym wichrem ruszony. Niech się śmieje, bo się chmury rozbiegły, a niebo jest takie niebieskie, jak kartka papieru, na którym listy miłosne się pisze, takie jest czyste, jak dziecięce oczy i takie dobrotliwe, jak matczyne uśmiech.

Wyciągnąłem dłonie pod strugę światła, co ciekło przez szyby, jak struga wody z marmurowej

studni i nie mogłem go schwytać, bo przeciekało przez palce, rozbawione i pełne złotej pustoty.

Ktoś zapukał.

Uśmiechnąłem się do tego niewidzialnego jeszcze gościa, bo przychodzi razem ze słońcem, — niech będzie pozdrowiony w to wiosenne rano. Przychodzi pewnie z nowiną radosną.

Na progu stała ciocia Isia.

Opuściłem ręce, które trzymałem jeszcze wyciągnięte pod blask i spojrzałem przenikliwie na jej zalekłą twarz. Szczygieł nie otworzył nawet oczu. Ona skinęła na mnie, żebym się zbliżył; bałem się uczynić kroku, coś bowiem nadzwyczajnego stać się musiało, bo w żadnym innym razie ciocia Isia nie byłaby się ważyła na wizytę u nas. Podszedłem wreszcie ku niej i nachyliłem głowę, widziałem bowiem z jej twarzy, że chce mi coś wyjawić szeptem.

Boże miłosierny!

Ona mówiła:

— Niech pan pójdzie ze mną... zaraz...

— Co się stało?

— Nic, nic się nie stało, ale niech pan idzie.

— Czy panią przysyła panna Zofja.

— Nie, nie, to ja sama... Niech pan zaraz idzie...

Chwyciłem ją za rękę, tak silnie, że ból przemknął po jej twarzy.

— Gorzej ?

— Nie, nie gorzej, nawet lepiej... tak, o wiele lepiej... ale niech pan tam w tej chwili... Woła pana... Ja jedna słyszałam, serce mi pęka... więc przyszedłam... Niech pan...

Wszystko pewnie zgasło na świecie, bo przez chwilę nie widziałem nic, potem mi zaczęły w oczach wirować ogromne czerwone kręgi, a w ich środku widziałem bladą, przerażoną, a starającą się boleśnie uśmiechnąć dobrą twarz cici Isi. Dziwnie wyraźnie wryła mi się w pamięć jej głowa i starałem sobie nagle przypomnieć, skąd ja znam tę twarz? Zdaje mi się, że się zbudziłem i nie mogę sobie zdać dokładnie sprawy z tego, co się dzieje. Potem z trumny echa wstały tylko dwa słowa, które zaczęły brzmieć coraz głośniejsze, aż się rozwydrzyły w wielki, nieustający krzyk: woła pana, woła pana...

Zbiegłem po schodach, jak szalony, za mną starała się zbiec szybko ciocia Isia.

Po pokoju, przylegającym do pokoju panny Zofji, chodził sztywnym, automatycznym krokiem pan Zabłocki; miał twarz z kredy, zupełnie nieruchomą i jakby zmartwiałą. Spojrzał na mnie zdumiony, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu i poszedł dalej. Stałem bezradny i wpłem wzrok w drzwi; on w pochodzie swoim, który w sobie miał coś z niesamowitej, nieśpieszącej się

wędrówki trupa, przystanął nagle przedemną, przetarł ręką czoło i rzekł cicho:

— To pan... to dobrze, tam jest lekarz.

I począł chodzić znowu wzdłuż ścian cicho, jakby się czaił. W tej chwili wsunęła się cicho zadyszana ciocia Isia i przysiadła na fotelu obok drzwi. Nikt z nas nie przemówił słowa. Czekałiśmy. Czulem w głowie dziwny szum, lecz czekałem bardzo cierpliwie. Tam jest lekarz. Tak. Stary mason ma rację, mówiąc, że tam jest lekarz. Rzecz prosta. Po chmurnych, wilgotnych dniach przyszło słońce i podziało na nią, jak zbyt nagle radość; serce w niej pewnie uderzyło silniej, ale to zaraz przejdzie. Musi przejść. Woła mnie, bo się chce podzielić radosną nowiną o słońcu. Ciocia Isia źle zrozumiała i przestraszyła mnie, pocziwa, zacna ciocia Isia. Teraz jest to zupełnie jasne, a ciocia Isia w swojej wielkiej dobroci...

Ktoś wyszedł z jej pokoju, — to lekarz. Przez chwilę jego oczy spoczęły na mojej twarzy i odbiło się w nich zdumienie; naturalnie, musiał się zdumieć, gdyż nagle twarz moja stała się pogodna. Chciałem mu tym wyrazem twarzy powiedzieć, że go niepotrzebnie wzywano, bo ta panienska najśłodsza nie jest wcale chorą, ją tylko upoiło słońce i woła mnie po to, żeby się przełamać ze mną tą hostją świętego słońca, jak oplatkiem. A on, stary biedaczysko w okularach, dał się zwieść i jest

pewnie przekonany, że ona jest chora. Dziwnie śmieszni są ci starzy ludzie.

Podszedł teraz do pana Zablockiego i coś z nim począł szeptać; nie spuszczałem z nich obu spojrzenia, aby w odpowiedniej chwili wyjawić właściwy stan rzeczy. Zablocki jednakże ani drgnął, tylko na chwilę przymknął oczy, potem znów począł chodzić.

Lekarz wyszedł do sąsiedniego pokoju, ciocia Isia do Zosi. Ja zostałem z masonem.

Minęła może jedna godzina, może dwie, nie wiem. Ja siedziałem w jednym kącie, Zablocki w drugim. Czasem przez pokój przeszła ciocia Isia, czasem lekarz, czasem znów przesuwał się cichym, bezszelestnym krokiem jakiś cień. W tym domu chodzą cienie. Trzeba ją będzie stąd wywieźć, bo tu za smutno. Na dworze jest słońce i wiosna, a tutaj mrok się tuła, jak mgła, nie wiedząca, gdzie opaść. Cały świat śpiewa, a tu jest milczenie. Ona jedna tylko mówi. Słyszę najwyraźniej, że mówi i że mnie woła poprzez zamknięte drzwi, przez które widzę, bo mam wzrok dziwnie jasny; widzę jej oczy, wpatrzone we mnie, wielkie, czarne, w których jest niezmierna słodycz. Twarz ma w blasku i w aureoli szczęścia, bo szczęście jest święte i sieje blask. Na ustach jej drży jedno, cudowne miłosne słowo, którem Bóg rządzi. Mówi do mnie: kocham cię! a ja jej odpowiadam wzrokiem, który śpiewa.

Przymknąłem w zachwyceniu oczy i tak trwałem w słodkim bezwładzie. Ktoś dotknął mojego ramienia i postyszałem po nad sobą cichy szept:

— Woła pana...

Tak! wiem, że mnie woła, słyszę to przecież od wielu godzin i odpowiedziałem jej, że jestem przy niej. Idę do niej.

W pokoju jej był złoty blask. Słońce ze złotego uczyniło się czerwone. Czyżby tak szybko minął krótki wiosenny dzień? Tak, pewnie mija, bo już w blasku słonecznym widać bledziutką, ledwie rysującą się za mgłami smutną, dobrą twarz księżycy.

Ona nie siedziała jak zwykle w głębokim fotelu, lecz leżała w łóżku, wysuniętem na środek pokoju, aby można z niego widzieć, co się dzieje za oknem.

Uśmiechnęła się do mnie i chciała podnieść rękę, lecz nie mogła. Ukląkłem przy łóżku i wpiłem się oczyma w jej oczy. Co to się właściwie stało? To nie były jej oczy, wielkie, czarne, piękne jak przepaść, lecz jakby zbladły i jakby się zmniejszyły. Dotknąłem ustami jej ręki, aby ją ogrzać, bo była zimna. Po poruszeniu warg, które niedawno rozkwitły jak czerwona róża w ciepłe pocałunku, a teraz były blade, poznałem, że coś mówi, lecz nie słyszałem szeptu; pochyliłem się więc nad nią, aby słyszeć każde słowo, bo przecież mamy sobie do powiedzenia tajemnice, których nikt słyszeć nie może, największe tajemnice na ziemi, bo

o szczęściu i o miłości. Byłem w tej chwili spokojny jak człowiek, który wierzy w miłość. Nic stać się nie może, bo ona jest z nami.

Usłyszałem szept:

Czekałam na ciebie, aby cię ujrzeć... Widzę cię... Ja dzisiaj umrę...

Czułem zapach jej oddechu, jak zapach kwiatów; szept jej obejmował głowę moją, jak cicha woń. Nie rozumiałem słów, czułem tylko, że coś miękko, łagodnie gładzi moje oczy i przesuwa się po moich ustach.

Mówiła:

— Odchodzę z pocałunkiem twoim na ustach... Bóg się zmiłuje... Powiem, że cię Kocham z całej duszy i ze wszystkich sił... Ale mi ich zabrakło... To nie śmierć mnie zabierze, lecz miłość, mocniejsza od śmierci... Ja cię nie przestanę kochać po śmierci... Nigdy nie przestanę... Jestem spokojna i radosna... Ja nie mogę żyć, bo cię Kocham za bardzo... Ja dzisiaj umrę...

Światło umierającego słońca poczęło dzwonić w powietrzu, jak kryształowe dzwonki. Powietrze uczyniło się blade złote i za chwilę zakwitnie liljami.

Miałem oczy pełne światła, więc nie było miejsca dla łez. Jakżeż zresztą mogło być inaczej? Szczęście moje było za wielkie, za wielkie, aż się upomniała o mnie dola moja. Serce moje zbyt bujnie

rozkwitło, — jakżeż to być może? Oszalałe serce moje, wygniecione nędzą, porysowane pazurem... Zamarzyła mu się wiosna, więc niech cierpi, aż się zachłyśnie krwią.

Usłyszałem szept:

— Żegnam cię, ty jedyny, który widziałeś moje serce... Myśl o mnie, bo ja będę zawsze z tobą... Dziękuję ci za wszystko, za każde słowo i za każdą myśl... Nasze myśli były, jak kwiaty... Żegnam cię... Dusza moja nie odejdzie daleko, serce moje jest związane z tobą... Mieliliśmy pójść razem, ale widzisz, że ja nie mogę... Uśmiechnij się, jak ja się uśmiecham...

Uśmiechnąłem się. Bóg widział.

Potem mi ktoś serce ścisnął w dłoni, bo z nagłego bólu zwałem się na kolana. A to dziecko coś szeptało i uczyniło wielki wysiłek, bo poczułem jej rękę na mojej głowie, gładząc ją miękko.

Coś się potem działo, nie wiem co. Ksiądz Łoś przeszedł przed moimi oczyma w białej komży, wyniosły i blady. Jakieś głosy piakały w powietrzu, jakiś głos ludzki łkał. Ach, to ciocia Isia. Ukłękła na ziemi, wtuliła twarz w fotel i płacze. Potem była jedna krótka chwila strasznej ciszy, następnie jakieś jedno niezrozumiałe słowo załomotało w powietrzu i znowu nastąpiła cisza, przetkana złotem promieni księżycowych, po których ona odeszła.

Tego wieczora księżyc w pełni zatrzymał się w podróży swojej obłądnej nad naszym oknem i szeleścił na szkle szyb. Patrzyłem, spokojny cichym spokojem.

Szczygiel podniósł zbiedzoną głowę, wpatrzył się w księżyc, uśmiechnął się, jak dziecko i rzekł:

— Powiedz księżycowi niech tu przyjdzie...

Zwrócił swoją twarz do mnie i dodał:

— Ona tak mówiła, Haneczka...

A ona mówiła: spłynę na ziemię z powrotem i będę wszędzie. Kiedy umrę, czekaj mnie pierwszej miesięcznej nocy. Zjawię się tak cichutko, jak blask. Wtedy ręce wyciągnij i nabierz w dłonie tej jaśni, jak srebrzystej wody. Będzie lżej, lżej, — sercu samotnemu będzie lżej...

W tej chwili oświetlił księżyc wielki witraż Szczygła. Uśmiechnęła się do nas cicha, przezczysta, słodka twarz jezusowa.

Szczygiel podniósł się, usiadł przy mnie i ujął mnie za rękę. Byliśmy znowu sami, wszystko od nas odeszło. Może nas chyba nawiedzi ła, przez księżyc z oczu wyciśnięta, aby nam było lżej, lżej... Może chyba duch eremity, zbudzony księżycowym szmerem, zapuka cichutko w ścianę.

Jezus, Marja, co to? Czy kto puka? Przywarliśmy do siebie sercami, bo się nam zdawało, że ktoś ku nam idzie i ktoś szeleści:

— Spalcie księgę moją i zamknijcie księgę

waszą... Małe w niej były sprawy... Czy wam nie wstyd leż? Czyście widzieli lzy moje? A ja cierpiełem ponad siły ludzkie... Ponad siły... A nikt nie widział moich łez. Nie męczcie serc, aby silne były, kiedy nadejdzie godzina. Nie marnujcie łez. Trzeba, abyście mieli oczy jastrzębie, a nie zasnutę śniedzią i smętkiem... Gnajcie precz małe smutki, o Polacy młodzi, abyście mogli czystem sercem przyjąć wielką nowinę. Mija wszystko i wszystko jest pył i wszystko jest marność... Tylko Ona jest najświętsza i wieczysta i niezmienna. Tylko Ona ma prawo do serc i do dusz. Nie patrzcie w księżyc, bo jest umarły. To jest światło grobu i katakumby. Tylko słońce jest święte i świeci nad Jej głową, nad głową Tej, którą umiłowałem ze wszystkiej duszy i ze wszystkich sił moich... Krzeczcie duszę, aby były mocne, a serca wasze niech się radują radością wielką! Radośni bądźcie, aby się roześmiały Jej oczy... Albowiem Ona jest jedna i wszystko po za nią jest marność i drobny pył... Ojczyzna!... Ojczyzna!...

Uczulem w tej chwili nagły skurcz serca. A potem, nagle wpadła w nie fala krwi, rozszumianej i gorącej.

I czulem jak moje ciche, zbiedzone serce nagle rośnie, rośnie, rośnie!...

KONIEC.

Sierpień, 1916 roku.



